REPORTAŻ

Albert Jawłowski

MIASTO BIESÓW

Czekając na powrót cara

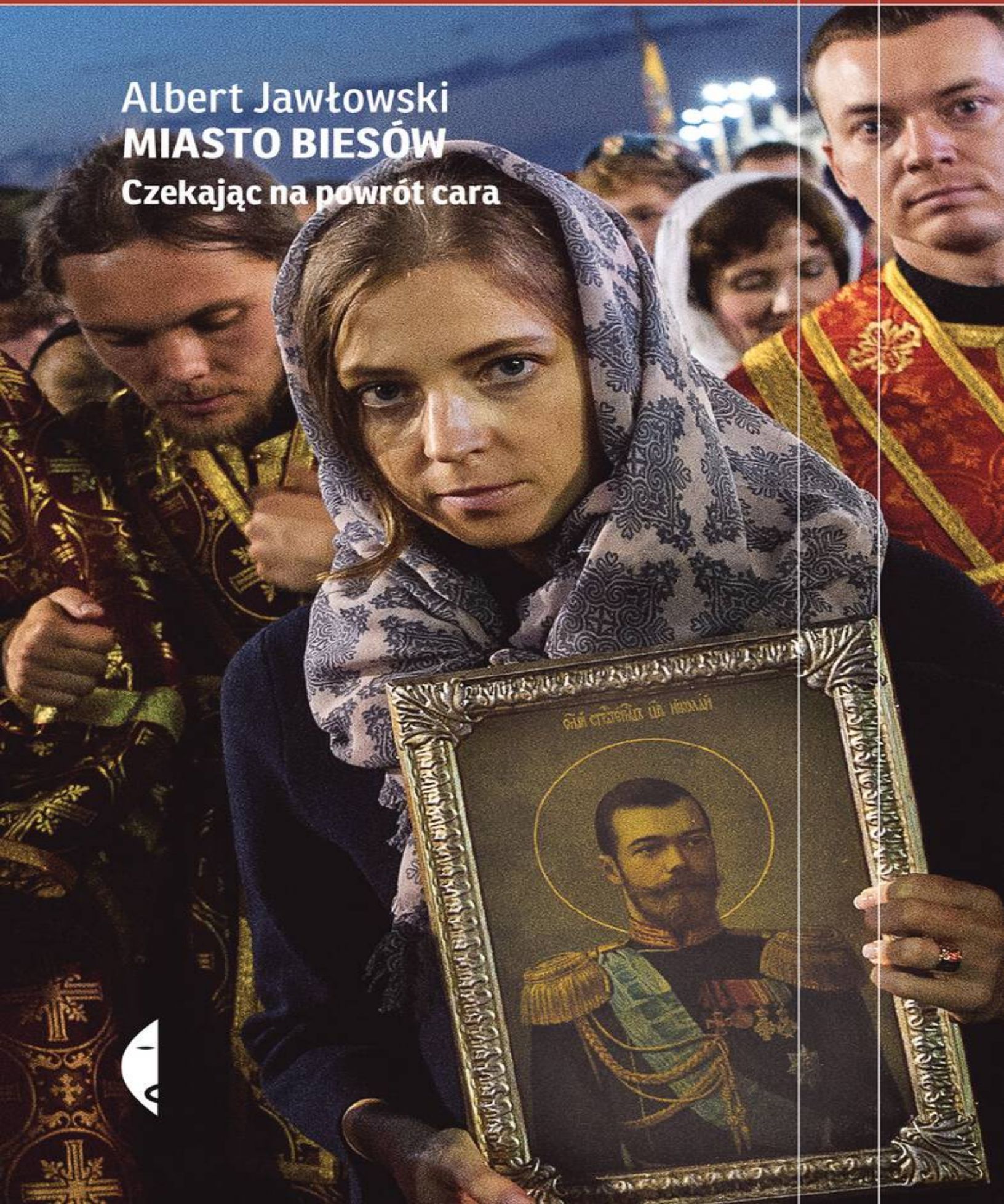

W serii ukazały się ostatnio:
Jacek Hołub *Żeby umarło przede mną. Opowieści matek niepełnosprawnych dzieci*
Marcin Michalski, Maciej Wasielewski *81 : 1. Opowieści z Wysp Owczych* (wyd. 2)
Grzegorz Szymanik, Julia Wizowska *Długi taniec za kurtyną. Pół wieku Armii Radzieckiej w Polsce*
Barbara Demick *W oblężeniu. Życie pod ostrzałem na sarajewskiej ulicy* (wyd. 2)
Paweł Smoleński *Wnuki Jozuego*
Dariusz Rosiak *Żar. Oddech Afryki* (wyd. 3)
Dionisios Sturis, Ewa Winnicka *Głosy. Co się zdarzyło na wyspie Jersey*
Marta Madejska *Aleja Włókniarek* (wyd. 2)
Grzegorz Stern *Borderline. Dwanaście podróży do Birmy*
Karolina Bednarz *Kwiaty w pudełku. Japonia oczami kobiet* (wyd. 2)
Jacek Hugo-Bader *Biała gorączka* (wyd. 4)
Kate Brown *Czarnobyl. Instrukcje przetrwania*
Ilona Wiśniewska *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen* (wyd. 3 zmienione)
Liao Yiwu *Prowadzący umarłych. Opowieści prawdziwe. Chiny z perspektywy nizin społecznych* (wyd. 2)
Renata Radłowska *Nowohucka telenowela* (wyd. 2 zmienione)
Aleksandra Boćkowska *Można wybierać. 4 czerwca 1989*
Agnieszka Rybak, Anna Smółka *Wieża Eiffla nad Piną. Kresowe marzenia II RP* (wyd. 2)
Jacek Hugo-Bader *W rajskiej dolinie wśród zielska* (wyd. 3)
Marta Sapała *Na marne*
Piotr Lipiński *Gomułka. Władzy nie oddamy*
Karolina Przewrocka-Aderet *Polanim. Z Polski do Izraela*
Marcin Kącki *Białystok. Biała siła, czarna pamięć* (wyd. 3)
Lars Berge *Dobry wilk. Tragedia w szwedzkim zoo*
Ojczyzna dobrej jakości. Reportaże z Białorusi, pod red. Małgorzaty Nocuń
Jelena Kostiuczenko *Przyszło nam tu żyć. Reportaże z Rosji*
Jacek Hołub *Niegrzeczne. Historie dzieci z ADHD, autyzmem i zespołem Aspergera*
Lene Wold *Honor. Opowieść ojca, który zabił własną córkę*
Małgorzata Sidz *Kocie chrzciny. Lato i zima w Finlandii*
Wolfgang Bauer *Nocą drony są szczególnie głośne. Reportaże ze stref kryzysu*
Filip Skrońc *Nie róbcie mu krzywdy*
Karolina Baca-Pogorzelska, Michał Potocki *Czarne złoto. Wojny o węgiel z Donbasu*
Maciej Wasielewski *Jutro przypłynie królowa* (wyd. 2)
Anna Sulińska *Wniebowzięte. O stewardesach w PRL-u* (wyd. 2)
Anna Sulińska *Olimpijki*
Wojciech Górecki, Bartosz Józefiak *Łódź. Miasto po przejściach*
Lidia Ostałowska *Farby wodne* (wyd. 2)
Peter Pomerantsev *Jądro dziwności. Nowa Rosja* (wyd. 2)

W serii ukażą się m.in.:
Swietłana Aleksijewicz *Ostatni świadkowie. Utwory solowe na głos dziecięcy* (wyd. 2)

Ilona Wiśniewska *Hen. Na północy Norwegii* (wyd. 2)
Patrick Radden Keefe *Cokolwiek powiesz, nic nie mów. Zbrodnia i pamięć w Irlandii Północnej*

Albert Jawłowski

Miasto biesów

Czekając na powrót cara

wydawnictwo zarne

Wołowiec 2020

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

prawolubni

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Fotografia na okładce © by Donat Sorokin / Getty Images

Copyright © by Albert Jawłowski, 2020

Opieka redakcyjna Przemysław Pełka
Redakcja Wojciech Adamski
Korekta Iwona Łaskawiec, Kamila Zimnicka
Skład Małgorzata Poździk / d2d.pl

ISBN 978-83-8191-083-5

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

Spis treści

Seria
Strona tytułowa
Strona redakcyjna

1 Nocne rozmowy w psychuszce
2 Człowiek z betonu
3 Centrum liberalnych bylin
4 Usłyszeliśmy was, Nikito Siergiejewiczu
5 Siedem dni stworzenia
6 Rosyjska Golgota
7 Patriarsze *skriepy*
8 Z wizytą u państwa Romanowów
9 Żołnierzyki na kredowym papierze
10 Prawnuk kucharza i jego wrogowie
11 Kosmokrator i odkupiciel
12 Na rozkaz tajnych sił
13 Szaleństwa „kruchej dziewczynki”
14 Męczennicy i dobroczyńcy
15 Dzień czekisty
16 Wokół kłamstwo, zdrada i tchórzostwo
17 Układ odpornościowy
18 Miasto biesów

Podziękowania
Bibliografia
Kolofon

1 Nocne rozmowy w psychuszce

– Obudźcie wszystkich. Trzeba zejść do piwnicy – zakomenderował Jakow Jurowski.

– Co się stało? – zdziwił się zaspany doktor Jewgienij Botkin.

– W mieście niespokojnie. Możliwy napad anarchistów na dom – odpowiedział powściągliwie Jurowski.

– Dobrze – Botkin kiwnął głową.

Zaufany lekarz carskiej rodziny cofnął się w głąb pokoju i zamknął za sobą drzwi. Jurowski wymienił spojrzenia z siedzącym w korytarzu wartownikiem. Kędzierzawy chłopak ściskał w dłoniach karabin. Nocną ciszę rozpraszało monotonne tykanie ściennego zegara. Jurowski starał się zachować spokój, ale pod maską chłodnego służbisty skrywał podniecenie. Niecierpliwie przechadzał się w półmroku korytarza. Nie mógł i nie chciał się wycofać. Zbyt długo czekał na tę chwilę.

Tymczasem wyrwani ze snu więźniowie domu inżyniera Ipatjewa powoli schodzili się do salonu. Przy długim stole byli już kamerdyner Aleksy Trupp, kucharz Iwan Charitonow i pokojówka Anna Demidowa. Cesarzowa Aleksandra schowała twarz w dłoniach i oparła się o kredens. Młode księżne Olga, Tatiana i Maria apatycznie patrzyły przed siebie. Nastoletnia Anastazja, najmłodsza z sióstr Romanowych, tuliła małego pieska. Nie rozstawała się z nim od kilku miesięcy.

Wreszcie zjawił się ojciec. Mikołaj wniósł na rękach schorowanego syna Aleksego. Posadził go na krześle. Dopinając guziki skromnej żołnierskiej gimnastiorki, przywitał się ze służbą, usiadł przy stole i zapalił papierosa. Ścienny zegar wybił drugą.

Do salonu wszedł Jurowski. Spojrzał na zebranych i nienaturalnie spokojnym, służbowym tonem zwrócił się bezpośrednio do Mikołaja.

– Proszę pójść za mną – nie czekając na odpowiedź, ruszył w kierunku przeciwległych drzwi. Mikołaj wstał i podniósł z krzesła słabowitego syna. Cesarzowa bez słowa udała się za mężem. Za nią poszły córki i służba. Ostatni opuścił salon doktor Botkin.

W milczeniu zeszli do piwnicy. W dole posępnym spojrzeniem przywitał ich wysoki, dobrze zbudowany czekista o szerokiej szczęce i turecko-semickich rysach twarzy. Szli w głąb, mijając stare meble i nikomu niepotrzebne graty. W końcu korytarza czuwał jeszcze jeden wartownik. Na ich widok zerwał się na równe nogi. Wąsaty, chłopski syn niepewnym wzrokiem przyglądał się Romanowom wchodzącym do jaśniejącej bladym światłem sutereny.

– Dlaczego nie ma krzeseł? – zapytała cesarzowa. – Czyżby nie wolno było usiąść?

– Przynieś dwa krzesła – Jurowski wydał wąsaczowi krótkie polecenie, po czym wyszedł na korytarz i szybkim krokiem udał się do sąsiedniego pomieszczenia. Tam, w kłębach papierosowego dymu, czekał niewielki oddział.

– Już pora, idziemy.

– Isztwan i ja nie będziemy strzelać do dziewcząt – mruknął z obcym akcentem jeden z żołnierzy.

Nie było czasu na awantury. Jurowski odwrócił się na pięcie, wyjrzał na korytarz.

– Nikulin i ty! Do mnie! Weźcie ich nagany – wydał rozkaz i wyszedł, nie czekając na odzew. Tuż za nim rozległ się stukot żołnierskich butów. Przed drzwiami sutereny Jurowski zatrzymał się na chwilę. Sięgnął po rewolwer i jeszcze raz sprawdził, czy jest naładowany.

– Przygotować broń… Celujcie w serce – dodał po cichu i otworzył drzwi na oścież. – Stańcie w szeregu! – huknął.

– Gdzie? – zapytał zaskoczony doktor Botkin.

– Tu – Jurowski wskazał na przeciwległą ścianę – w szeregu!

Aleksandra i Aleksy nie ruszyli się z krzeseł. Obok nich stał Mikołaj. Aleksandra chwyciła syna za rękę. Dziewczęta niepewnie patrzyły na Jurowskiego, Anastazja wciąż tuliła małego, łaciatego pieska. Kamerdyner Trupp i kucharz Charitonow usunęli się w kąt.

Jurowski i Mikołaj spojrzeli sobie prosto w oczy.

– Wasi krewni w Europie kontynuują natarcie na sowiecką Rosję… – Jurowski zaciął się w pół zdania, ale szybko zebrał się w sobie – …Uralska Rada postanowiła was rozstrzelać.

– Co? – szepnął Mikołaj. W odpowiedzi rozpętała się chaotyczna palba. Carewicz Aleksy zsunął się z krzesła. Nad jego głową fruwało pierze

z przestrzelonych poduszek. Jurowski stanął nad nim, spojrzał i dobił go jednym strzałem.

Właśnie tak wyglądał koniec dynastii Romanowów… w filmie fabularnym Karena Szachnazarowa.

Premiera filmu *Carobójca* odbyła się w maju 1991 roku. *Chudsowiety*, czyli rady artystyczne spełniające funkcje cenzorskie, przestały istnieć w trakcie kręcenia zdjęć. Nigdy wcześniej publiczność radzieckich kin nie miała okazji obejrzeć tak detalicznie zrekonstruowanej egzekucji ostatniego rosyjskiego cara i jego rodziny.

O samym filmie mało kto dzisiaj pamięta, ale scena rozstrzelania Romanowów od dawna żyje własnym życiem. Jest kopiowana, przemontowywana, puszczana w obieg w amatorskich produkcjach i teledyskach samoróbkach. Reportaże, rocznicowe artykuły, filmy dokumentalne i programy telewizyjne odtwarzają wydarzenia nocy z 16 na 17 lipca 1918 roku w podobny sposób. Czasem można odnieść wrażenie, że ich autorzy opisują niemal jeden do jednego reżyserską wizję Szachnazarowa.

Ekipa filmowa solidnie przygotowała się do nakręcenia scen pokazujących ostatnie dni życia Romanowów. Na planie zdjęciowym skrupulatnie zrekonstruowano jekaterynburski dom inżyniera Ipatjewa, w którym od kwietnia do połowy lipca 1918 roku przetrzymywano carską rodzinę i jej osobistą służbę. Scenografowie otoczyli dom wysokim, podwójnym płotem z desek – podobnym do tego, który widać na kilku zachowanych archiwalnych fotografiach. Wnętrza zaprojektowano na podstawie planów domu i innych informacji dotyczących rozmieszczenia pokojów, piwnicy, schodów, korytarzy i okien. Samą scenę rozstrzelania odtworzono na podstawie wydanych poza granicami ZSRR opracowań dokumentacji sporządzonej przez grupę dochodzeniową śledczego sądu okręgowego w Omsku – Mikołaja Sokołowa.

Jesienią 1918 roku biali wyparli bolszewików z centralnego Uralu. Sokołow i jego ludzie mogli bez przeszkód rozpocząć śledztwo w Jekaterynburgu. W krótkim czasie ustalili całkiem sporo faktów. Ślady były jeszcze świeże, a z dotarciem do świadków też nie mieli większego problemu. Zdołali określić prawdopodobne miejsce ukrycia szczątków ofiar. Zebrane informacje wskazywały na okolice leśnych szybów kopalnianych nieopodal Jekaterynburga.

Grupa Sokołowa nie zdążyła odnaleźć ciał. Dochodzenie po kilku miesiącach przerwało bolszewickie kontrnatarcie. Śledczy musieli ewakuować się razem z ustępującymi na Syberię wojskami Aleksandra Kołczaka. Nie ma poważniejszych powodów, żeby ich ustalenia traktować sceptycznie. Wersja wydarzeń przedstawiona przez zespół Sokołowa współgra również z tym, co miał zrelacjonować sam komendant ochrony ipatjewskiego domu i dowódca grupy egzekucyjnej Jakow Jurowski.

Światową opinię publiczną niedługo po zabójstwie zaczęto epatować doniesieniami o cudownie uratowanych członkach carskiej rodziny. Snuto rozmaite fantastyczne teorie, włącznie z tą, że egzekucja była wielką mistyfikacją. Przez kolejne dekady kręcono filmy, pisano książki, publikowano niezliczone prace i artykuły na ten temat. Unosząca się nad zbrodnią atmosfera mrocznej tajemnicy od stu lat rozpala ludzką wyobraźnię. Zabójstwo Romanowów stało się wciąż opowiadanym od nowa, popkulturowym evergreenem. Tak jak katastrofa Titanica czy zagadki templariuszy.

Dla Rosjan okoliczności zabójstwa ostatniego cara są oczywiście czymś znacznie więcej niż kolejnym fascynującym dreszczowcem, w którym wyestetyzowana zbrodnia zaleca się do publiczności eleganckimi dekoracjami z końca epoki maszyny parowej. U progu lat dziewięćdziesiątych XX wieku filmowa opowieść o mordzie założycielskim sowieckiego państwa miała potencjał, by stać się kolejnym przyczynkiem szerokiej dyskusji nad istotą komunistycznego reżimu, nad represjami, zsyłkami, stosowaniem zasady odpowiedzialności zbiorowej, unicestwianiem całych rodzin. Mogła przenieść ją poza dotychczas wąskie grono dysydenckiej inteligencji i nieliczną grupę czytelników krążących z rąk do rąk samizdatów.

Temat był mocny i na czasie. Miał w sobie niemal wszystko, by stać się festiwalowym i frekwencyjnym sukcesem. Na to z pewnością liczył Szachnazarow. Udało się skompletować obsadę dającą filmowi szansę na międzynarodowy rezonans. Do zagrania roli Jurowskiego w ostatniej chwili pozyskano samego Malcolma McDowella.

Brytyjski gwiazdor miał już najlepsze lata za sobą, ale wciąż otaczała go aura specjalisty od niebanalnych, wielowymiarowych ról czarnych charakterów. Mimo upływu lat światowa widownia dobrze pamiętała brutalnego i czarującego chuligana Alexa DeLarge’a, którego McDowell zagrał u Stanleya Kubricka w ekranizacji *Mechanicznej pomarańczy*.

Sowiecka publika znała go przede wszystkim dzięki chałupniczej dystrybucji kaset wideo, zwłaszcza jako odtwórcę głównej roli w filmie *Kaligula*. W roli Mikołaja II Szachnazarow obsadził nietuzinkowego radzieckiego amanta Olega Jankowskiego. W ten sposób demonicznie urokliwy McDowell stanął oko w oko z nieco melancholijnym, błyskotliwym Jankowskim.

Dla lepszego efektu Szachnazarow zaplątał fabułę w dwa wymiary czasowe. McDowell wcielił się nie tylko w Jurowskiego, ale i w tajemniczego Timofiejewa, cierpiącego na rozdwojenie jaźni pacjenta szpitala psychiatrycznego, rojącego sobie, że jest mordercą rosyjskich carów – Mikołaja II i jego dziada Aleksandra II. Tymczasem Jankowski zagrał Mikołaja II, a przy okazji lekarza psychiatrę Smirnowa, nowo zatrudnionego w szpitalu, w którym od lat leczył się Timofiejew. W ten sposób historia zabójstwa ostatniego rosyjskiego cara trafiła do wnętrza kliniki psychiatrycznej.

Psychiatra Smirnow to umęczony życiem facet po przejściach. Prowincjonalny szpital, w którym podejmuje pracę i szuka ucieczki przed życiowymi zawirowaniami, znajduje się na terenie dawnego prawosławnego monastyru. Oczywiście nie przypadkiem. Bo nic w tej filmowej opowieści, zanurzonej w wielopiętrowym symbolizmie i dialogach wykuwanych w ciężkim granicie, nie dzieje się przypadkiem.

Smirnow zaczyna spotykać się po nocach z cierpiącym na rozdwojenie jaźni Timofiejewem. Pod wpływem rozmów z pacjentem stopniowo nabiera podejrzeń, że nie jest pierwszym lepszym lekarzem psychiatrą, tylko carem Mikołajem II we własnej osobie. W półmroku szpitalnego gabinetu Timofiejew *vel* Jurowski wyjaśnia mu, dlaczego musiał go zabić. A w kulminacyjnym momencie filmu rozgrywa się pieczołowicie odtworzona scena egzekucji cara Mikołaja Romanowa i jego najbliższych. Oprawcy w strugach deszczu wywożą ciała ofiar w ciemną leśną knieję. Potem widzimy również tragiczny koniec zmaltretowanego życiowym kryzysem psychiatry Smirnowa.

Tak zwany zwykły widz najwyraźniej ugrzązł w gęstym sosie mistyki, cytatów z babilońskich mitów, okultystycznych symboli i wszelkich najgłębszych prawd, których prostym umysłem pojąć nie sposób. Widz dowiedział się przy okazji, że strzelanie z nagana do dziewcząt tulących puszyste pieski jest głęboko metafizycznym wydarzeniem, a car świadomie

oddał życie w imię wyższego dobra, więc ktoś powinien się pokajać, ale nie do końca wiadomo kto i przed kim. Po czym chyłkiem zmył się z kin.

Na początku lat dziewięćdziesiątych *Carobójcę* wyświetlano przy pustawych salach i dość szybko wycofano z dystrybucji. Mniej więcej w tym samym okresie część duchowieństwa odradzającej się rosyjskiej Cerkwi zaczęła głosić konieczność obrachunku z najnowszą historią i powszechnej pokuty. Idea ogólnonarodowego pokajania nie przyniosła ani wspólnotowego *katharsis*, ani poważniejszego namysłu nad totalitarną przeszłością. Częściowo obumarła, a w ciemniejszych zakamarkach Cerkwi przepoczwarzyła się w polityczno-religijne sekciarstwo.

Z czasem odbudowa duchowej tożsamości, moralności i tradycyjnej kultury stała się głównym hasłem państwowej propagandy. Wyobrażona historia mocno wykręciła ręce teraźniejszości, a mętna metafizyka i duszna historiozofia wymościły sobie wygodne miejsce w ideologicznym mainstreamie.

Reżyser Szachnazarow miewa się dziś całkiem nieźle. Produkuje kolejne filmy i seriale współfinansowane przez Ministerstwo Kultury. Regularnie bryluje w wielogodzinnych propagandowych tokszołach. Przekrzykuje się z kilkoma innymi gadającymi głowami, które w niezmiennym składzie krążą między tymi samymi studiami telewizyjnymi. Baja o geopolityce, radzieckiej potędze, wielkości rosyjskiego imperium, kijowskiej juncie, ropie, gazie i światowej zakulisie. Potępia tych, którym należy się potępienie, a chwali tych, którym należy się pochwała.

2 Człowiek z betonu

Jeszcze niedawno wściekłe czerwcowe burze szarpały parasolami sezonowych piwiarni, a zmoknięci kibice wlewali w siebie piwo z plastykowych kubków. W mieście największą furorę zrobili Peruwiańczycy. Rozigranym korowodem przetoczyli się przez ulice i fanzony. Dudnili na bębnach, tańczyli, śpiewali, cykali sobie fotki. Bratali się z miejscowymi kibicami Uralu Jekaterynburg, wpadali im w objęcia, radośnie pokrzykując „*E viva Rusia, e viva Putin!*”. Pojawili się i zniknęli jak intensywny czerwcowy deszcz. Potem nad miastem zawisł parny lipcowy smog. Do zakończenia piłkarskich mistrzostw świata zostało jeszcze kilka dni, ale jekaterynburski stadion opustoszał.

Nad aleją Lenina wciąż górowało kolorowe logo „FIFA World Cup Russia 2018”. Tuż obok trzej Tadżycy rozlepiali nowy outdoorowy afisz. Spod wałków ubabranych klejem powoli wyłonił się napis: „Stulecie zwycięskiego czynu świętej carskiej rodziny”. Wreszcie ostatni papierowy rulon rozwinął się do końca. Tu i ówdzie ciekła szarobiała kleista maź, ale wielkoformatowy plakat dokładnie przywierał do powierzchni billboardu.

Teraz widać było cały program Międzynarodowego Festiwalu Kultury Prawosławnej „Carskie Dni”. Prawie dwa tygodnie koncertów, odczytów, okolicznościowych nabożeństw, spotkań modlitewnych, wieczorków poetyckich i promocji książek. Na noc z 16 na 17 lipca zaplanowano masową procesję. Miała wyruszyć z centrum Jekaterynburga, dokładnie w stulecie historycznego mordu na Romanowach.

Tadżycy zapalili papierosy. Przez chwilę przyglądali się efektom swojej pracy. W końcu jeden z nich sięgnął po telefon i sfotografował billboard. Dwaj pozostali zabrali się do składania wiader i drabin. Ten z telefonem poszedł w kierunku skrzyżowania alei Lenina z ulicą Czerwonoarmiejską. Strzelił fotkę wiszącej od ponad godziny ogromnej reprodukcji fotografii rodzinnej Romanowów. Na moment podniósł głowę znad telefonu i wbił wzrok w nienagannie umundurowanego Mikołaja Romanowa.

Jego Wysokość siedział w wygodnym fotelu. O jego ramię opierała się cesarzowa Aleksandra. Wokół rodziców uśmiechała się gromadka dzieci,

cztery córki i synek. Wyglądało to całkiem nieźle. Tadżyk przeniósł wzrok na kolejny billboard. Sfotografował reklamę atrakcyjnych sprzętów gospodarskich oferowanych w promocyjnych cenach przez sieć sklepów AGD „Eldorado”. Fachowym wzrokiem taksował to Romanowów, to wiszące obok nich żelazka. Wreszcie zaczął stukać palcami w ekran telefonu. Najwyraźniej wysyłał zdjęcia w dowód skończonej roboty.

Romanowowie nie zwracali uwagi na zadowolonego Tadżyka. Nie obchodziły ich ani supertanie żelazka, ani jedyne w swoim rodzaju wielofunkcyjne miksery. Dostojnie trwali z nieruchomymi uśmiechami. To nawet lepiej, że nie rozglądali się na boki. Gdyby jakimś cudem mogli spojrzeć w prawo, to z pewnością dojrzeliby monumentalną sylwetkę Jakowa Swierdłowa, przewodniczącego bolszewickiego Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego.

Przed stu laty to właśnie Swierdłow miał przekazać informację, że los Mikołaja II i jego najbliższych zależy od decyzji miejscowych czekistów. Trudno przypuszczać, żeby centrala pozwoliła prowincjonalnym czekistowskim watażkom decydować samodzielnie o życiu i śmierci ostatniego rosyjskiego cara. Uralscy towarzysze pojęli bez najmniejszych wątpliwości, co oznacza owa zawoalowana wiadomość. Kilka dni później Romanowowie już nie żyli.

Zastygły na kamiennym cokole Swierdłow nie patrzył na Romanowów. Spojrzenie kierował daleko przed siebie, w głąb alei Lenina. Wytężając wzrok, mógłby sięgnąć aż do tamy na rzece Iset. A kto wie, może nawet do znajdującego się nieco dalej placu 1905 Roku i stojącego w jego centrum spiżowego Włodzimierza Iljicza. Przed oczami miał jednak sznur samochodów, zakorkowanych w centralnej śródmiejskiej arterii.

Cisnących po klaksonach, spoconych kierowców nie interesowały ani carska rodzina, ani supertanie sprzęty kuchenne. Swierdłow tym bardziej nie robił na nich wrażenia. Tkwił tu już wystarczająco długo, żeby do niego przywyknąć. A nawet go polubić. Wyglądał przecież całkiem sympatycznie. Jak dobry wujaszek, który wyprowadził psa na spacer i przystanął na skwerku między reprezentacyjnym gmachem Jekaterynburskiego Państwowego Akademickiego Teatru Opery i Baletu a przyciężkim, neoklasycystycznym budynkiem Instytutu Nauk Humanistycznych i Sztuki Uralskiego Uniwersytetu Federalnego.

Kilka lat temu z okazji końca roku akademickiego jekaterynburscy studenci przebrali go w płócienną togę i włożyli mu na głowę uniwersytecki

biret. Prezentował się w nim naprawdę uroczo, jak stary kochany profesor. Może trochę zwariowany, ale zarażający studentów entuzjazmem. Trudno uwierzyć, że ów przemiły człowiek w drucianych okularach na nosie i z wiatrem we włosach w rzeczywistości był zamkniętym w sobie fanatykiem. Kimś, kto zdobywał posłuch nie ujmującym charakterem, tylko tępą przemocą i brakiem skrupułów wobec każdego, kogo uznał za przeszkodę w drodze do celu.

Współczesny Jekaterynburg to miasto sklecone z niepasujących do siebie elementów, z puzzli wyjętych z różnych zestawów. Pełne sprzeczności, porozrywane głębokimi szczelinami. Teoretycznie niemożliwe. A jednak owe nieprzystające fragmenty na co dzień tworzą spójną całość. Jak to możliwe?

Długo rozmawiałem na ten temat z Aleksiejem Iwanowem, pisarzem mocno osadzonym w tutejszych klimatach. Aleksiej wychował się w Permie, ale przedreptał niemal wszystkie zakątki Uralu, Powołża i zachodniej Syberii. Opisuje je realistycznie, reportersko, to znów wymyśla dla nich fantastyczne, baśniowe fabuły. Jakiekolwiek formy i gatunki by stosował, to zazwyczaj nie oddala się zbyt daleko od uralskiego „kręgosłupa Rosji", regionu znaczącego wyimaginowaną, nieistniejącą poza atlasami geograficznymi granicę między Europą Wschodnią i północno-zachodnią Azją.

– Wiesz, wielu ludzi interesuje się tym, jak to możliwie, że obok pomników morderców mogą znajdować się miejsca upamiętniające ich ofiary – Aleksiej wyraźnie ożywił się, mówiąc o przestrzeni i krajobrazie Jekaterynburga, miasta, któremu niedawno poświęcił jedną ze swoich książek. – Mnie też długo to zastanawiało. Tymczasem sprawa wydaje się dość prosta. Wbrew pozorom w Rosji mało kto zastanawia się nad sensem tego, co robi. Potem ktoś usiłuje nadawać temu jakieś znaczenie, coś uzasadniać. Najczęściej tylko po to, by doraźnie na tym zyskać. Właśnie z tego rodzi się nie tylko dzisiejsza ideologia, ale w ogóle rzeczywistość. Z uzasadniania spraw, które pierwotnie nie miały żadnego przemyślanego sensu, z nadawania banalnej głupocie pozorów głębokiego zamysłu, jakiegoś strategicznego planu, który rzekomo leży u jej podstaw.

– Na przykład tutaj w Jekaterynburgu była ulica Kraula. To, skąd wzięła się jej nazwa, bardzo wiele wyjaśnia – Aleksiej mówił dalej. – Ludzie oczywiście nie wiedzą, co to za jeden, ten cały Kraul. Co tam ludzie, tego nie wiedzieli nawet historycy i krajoznawcy. Nikt nie miał pojęcia, cóż

takiego zrobił ów Kraul, że aż uczczono jego pamięć nazwą ulicy. No i w końcu ktoś zorientował się, że kiedyś ta ulica nazywała się Krasnaja Ulica. Na starym planie miasta zmieścił się tylko skrót nazwy, Kra. Ul. Kiedy w latach dwudziestych ubiegłego wieku powstawał kolejny plan miasta, jakiś mało rozgarnięty kartograf napisał po prostu KraUl. Już bez kropek. No i poszło. Do ulicy przylgnęło imię jakiegoś nikomu nieznanego Kraula, który tak naprawdę nigdy nie istniał. Tyle że to i tak nie ma znaczenia, bo ludzi to nie interesuje. Co za różnica kim był jakiś tam Kraul? Albo Jurowski czy Swierdłow? Dlatego ulica Carska może w tym mieście łączyć się z ulicą Dzierżyńskiego. Ludzie mają to gdzieś.

– Tu nie ma jakiejś szczególnej, bardzo przemyślanej intencji, jakiegoś z góry przyjętego planu – rozkręcał się Aleksiej. – To bałagan w głowach ludzi, którym wszystko zwisa. Bałagan w umysłach władzy, która nie chce się na nic zdecydować. Nawet na to, do jakiego porządku chce się odwoływać. Do Imperium Rosyjskiego? Do Związku Radzieckiego? Do rynkowej fali, która poniosła ludzi władzy w latach dziewięćdziesiątych? Te wszystkie nazwy ulic, placów, stojące tu pomniki…, cały ten bajzel nie jest efektem jakiegoś strategicznego działania czy genialnej ponowoczesnej kreacji. Oczywiście władza lubi dawać do zrozumienia, że wszystko zależy od niej, że nad wszystkim ma kontrolę, wszystko jest wynikiem jej tajemniczych działań. Bo wtedy ludzie zaczynają ją uważać za wszechpotężną. Ale to raczej nieprawda. W gruncie rzeczy oni sami nie mają pojęcia, jak ten tworzony przez nich świat miałby wyglądać. Widzą tylko to, co mają przed nosem i nic więcej. A z tym na razie radzą sobie znakomicie – zakończył Aleksiej.

Pomnikowy Swierdłow stojący w centrum Jekaterynburga wygląda na znacznie starszego niż ten rzeczywisty. Realny Swierdłow nie dożył trzydziestu czterech lat i nie przeżył Romanowów nawet o rok. W marcu 1919 roku wykończyła go epidemia hiszpanki. Według innych wersji został ciężko pobity przez rozwścieczonych robotników, kiedy po drodze z Charkowa na moskiewski zjazd partii zatrzymał się w Orle. Miejscowi proletariusze ponoć wykrzykiwali przy tym antysemickie hasła. Swierdłow ostatkiem sił dotarł do stolicy na zjazd, ale już się nie pozbierał. Komuniści zrobili ponoć wszystko, żeby sprawę zamieść pod dywan. No bo jak by to wyglądało? Antysemicka klasa robotnicza własnymi rękami morduje wodzów rewolucji…

Krąży wiele innych, jeszcze bardziej sensacyjnych wersji jego śmierci. Swierdłowa mieli zabić pazerni towarzysze, którzy chcieli zrabować przechowywany przez niego majątek partyjny. A przy okazji wyeliminować go z walk frakcyjnych przed zjazdem. Mówi się również o czarnej magii, klątwach i udziale innych sił nadprzyrodzonych. Tak czy owak, Swierdłow zajął należyte miejsce w rewolucyjnym panteonie, a jego ciało pochowano pod murami Kremla. Na cześć zasłużonego towarzysza, w 1924 roku Jekaterynburg przemianowano na Swierdłowsk.

Przemysłowe miasto imienia Jakowa Swierdłowa rozwijało się w szybkim tempie. Osiedlały się w nim kolejne fale ludzi ściągających do pracy w potężnych fabrykach i kombinatach centralnego Uralu. Na przedmieściach rozrastały się industrialne strefy, w których produkowano czołgi, wozy pancerne, wagony, samochody ciężarowe. Wreszcie, w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, miasto przekroczyło liczbę miliona mieszkańców.

W tamtej epoce Swierdłowsk nie widywał obcokrajowców, może z wyjątkiem grupki mongolskich studentów czy nielicznych pracowników czechosłowackiej Skody, współpracujących z zakładami Uralmasz. Fabryczne wyziewy i granicząca z paranoją czujność przez długie dekady unosiły się nad przemysłową aglomeracją. Wewnątrz miasta tworzono zamknięte strefy, takie jak Uralskie Centrum Naukowe, odcięte od pozostałych dzielnic mieszkalno-przemysłowych. Zwożonych tu inżynierów i konstruktorów izolowano od pozostałych mieszkańców.

Swierdłowsk potrafił na swój sposób oddychać ciężkim przemysłowym powietrzem. Nie dał się zamienić w nieme skupisko ciągnących się kilometrami żelbetonowych ogrodzeń, kombinatów, kominów, zakazanych industrialnych stref i wsobnych osiedli. Milionowe miasto stopniowo stawało się centrum kulturalnym emanującym daleko poza Ural. Czuło się tutaj obecność licznej inteligencji, najczęściej o rodowodzie chłopskim i robotniczym. Gmachy swierdłowskich uczelni opuszczały kolejne roczniki inżynierów, architektów, muzyków, plastyków i humanistów. Zaczęto wydawać pismo literackie „Ural”, które zdobyło ogólnokrajową rozpoznawalność. Otwierano kolejne teatry i sale koncertowe. Pojawiały się również niszowe miejsca. Z restauracji Ocean ostrożnie i nie za głośno sączył się grany na żywo jazz. W domu kultury Automobilista działał dyskusyjny klub filmowy, w którym od czasu do czasu pozwalano sobie na swobodniejszą wymianę zdań.

Kultura podporządkowana władzy i jej celom z czasem zaczęła przebijać się przez sztywny gorset instytucjonalnej kontroli. Już w głębokich latach siedemdziesiątych w podswierdłowskiej wiosce Wołyny powstał pierwszy na Uralu niezależny kolektyw malarski. Dekadę później publikę domów kultury i kameralnych koncertów w prywatnych mieszkaniach rozgrzeje rockowa nowa fala. Ogólnokrajową sławę zyskają legendarni uralscy muzycy, z grupą Nautiłus Pompilus i Wiaczesławem Butusowem na czele. Czasy się zmieniały, ale spiżowy Swierdłow niewzruszenie trwał na kamiennym cokole. Jego rozgrzane czoło, jak igła kompasu, niezmiennie orientowało się zgodnie z prostą linią alei Lenina, ku rzece Iset i rozległemu śródmiejskiemu zalewowi.

W epoce Breżniewa urządzono nad Isetem kilka sympatycznych parków i skwerów. Zielone, przewiewne przestrzenie i sporych rozmiarów akwen do dziś działają jak naturalny respirator przywracający oddech zduszonemu smogiem przemysłowemu miastu. Nawet najgorętsze dni są łatwiejsze do zniesienia, kiedy przyjemny wilgotny powiew delikatnie połaskocze nos zapachem wody, trawy, drzew i dzikich krzaków.

Letnimi wieczorami bulwary nad miejskim zalewem na Isecie zapełniają się ludźmi. Wzdłuż nabrzeżnego deptaka ciągną się kawiarenki i lodziarnie. Gdzieniegdzie parkują food tracki z kanapkami i kawą w papierowych kubeczkach. Schodzą się tu stateczne rodziny z dziećmi. Nieco speszone pary przeżywają pierwsze randki, co jakiś czas uskakując przed rozpędzonymi rolkowcami albo mamilami na wypasionych rowerach. Grupki małolatów kręcą się bez celu, bo żaden cel nie jest im potrzebny, bez niego czują się znacznie lepiej. Wystrojone dziewuszki wpatrują się w komórki i cykają kolejne selfiaki. Tu i tam słychać trzask deskorolek, a z pobliskiego przejścia podziemnego dobiega dudnienie perkusji i rzężenie elektrycznej gitary podłączonej do przenośnego piecyka.

Kiedyś, w wolne dni, poważni ojcowie rodzin wiosłowali po zalewie w małych korytkowatych łódeczkach. Dzisiaj można śmignąć potężną wyścigową motorówką, pokręcić efektowne serpentyny i narobić fal, irytujących wędkarzy wystających rzędami na brzegu. Trochę to kosztuje, ale motorówki startują jedna po drugiej. Codziennie ktoś ma urodziny, jakiś chłopak chce zaimponować dziewczynie albo ten czy ów wypije i postanowi poczuć się jak Sonny Crockett.

Naprawdę trudno sobie wyobrazić, że całkiem niedaleko stąd przebiega geograficzna granica między Europą a Azją. Jedynymi obiektami

jakkolwiek kojarzącymi się z daleką Azją są szklane wieżowce, zbudowane już w XXI wieku. Jekaterynburskie city sprawia wrażenie kawałka wyciętego z centrum któregoś z chińskich miast. Bardziej prowincjonalnego Xinningu niż super high-techowego Szanghaju albo Kantonu.

W porównaniu z wieloma innymi wschodnioeuropejskimi postsowieckimi aglomeracjami Jekaterynburg jest całkiem dobrym miejscem do życia. Czuje się tutaj możliwości i pieniądze krążące wokół uralskich kombinatów. Mniejsze niż w stolicy – ale za to w Jekaterynburgu nie ma pretensjonalnej ostentacji, którą męczy gigantyczna, napuszona Moskwa. Oczywiście możliwości nie są dane każdemu. Nie wszyscy mieli tyle siły przebicia albo wystarczającą protekcję, żeby załapać się do pracy w którymś z biur podniebnego wieżowca Iset Tower. I nie wszyscy mają przyjemność przemieszczać się klimatyzowanym mercedesem wzdłuż szklano-plastykowych ulicznych fasad pokrytych toksycznym przemysłowym pyłem.

Nad brzegiem miejskiego zalewu, tuż obok nowiutkich szklanych biurowców, pnie się ku niebu siedziba dawnego obwodowego komitetu partii. Dwudziestoczteropiętrowy wieżowiec miał być dumą robotniczego Uralu i pokazywać niedowiarkom moc swierdłowskiej myśli architektonicznej. Żeby gmach swierdłowskiego obkomu mógł stanąć w możliwie najlepszym widokowym miejscu, bezceremonialnie wyburzono zabytkową kamienicę kupca Makarowa. Ludzie szybko oswoili nowy, strzelisty obiekt. Nazywano go czule „zębem mądrości władzy”. Albo ze złośliwym chichotem przezywano „członkiem partii”.

Oddany do użytku w 1982 roku Dom Rad wciąż prezentuje się okazale. Pierwszy naczelnik, który zajął najważniejszy gabinet w nowo powstałej żelbetowej wieży, miał wszystko, czego brakowało zmęczonym, starzejącym się kacykom ery schyłkowego Breżniewa. Był solą swierdłowskiej ziemi, Uralcem z krwi i kości, prostolinijnym, inteligentnym facetem, mówiącym do ludzi energicznym, niskim głosem.

Borys Nikołajewicz Jelcyn urodził się w początkach ery kolektywizacji, w wiosce Butka na południowych krańcach obwodu swierdłowskiego. Po ukończeniu szkoły w sennym miasteczku Bierezniki wyjechał do Swierdłowska, gdzie podjął studia inżynierskie na wydziale budownictwa. Uczył się dobrze i nie podpadał. W 1955 roku bez najmniejszych problemów uzyskał dyplom inżyniera. Niedługo potem w kraju zaczęła się

odwilż. Zaczęto mówić o błędach i wypaczeniach stalinizmu, a pomysłowi, nieszablonowi młodzi ludzie mogli łudzić się nadzieją, że właśnie nadchodzi ich czas. Szybko przekonali się, że pilnowanie miejsca w szeregu to podstawa spokojnego i bezpiecznego życia.

Dobrze zapowiadający się absolwent Uralskiego Instytutu Politechnicznego zaczynał karierę na jednej z wielkich budów ery Chruszczowa. W pierwszych latach pracy zdążył posmakować budowlanego fachu, zaczynając od prostej murarki, a na obsłudze skomplikowanych maszyn kończąc. Prosta fizyczna praca na budowie stanie się częścią legendy pierwszego prezydenta Federacji Rosyjskiej. Ale nie wybiegajmy zbyt szybko do przodu.

Po śmierci Stalina państwo wciąż z trudem podnosiło się z wojennych ruin. Powojenny skok demograficzny dawał Związkowi Radzieckiemu nowy impuls, ale mógł też zacząć rozsadzać go od środka. Kraj potrzebował wszystkiego. Nowych miejsc pracy, fabryk, szkół, szpitali. Budownictwo mieszkaniowe stało się problemem strategicznym. Plany były ambitne, a robota szła pełną parą. Symbolem nowych czasów stały się pięciopiętrowe murowane bloki, tak zwane chruszczowki, z bieżącą wodą, centralnym ogrzewaniem i kanalizacją.

Państwo potrzebowało tysięcy takich ludzi jak Borys Nikołajewicz. Zdolnych, pracowitych, z umiejętnościami organizatorskimi i cechami przywódczymi, a przy tym dobrze rozumiejących reguły partyjnych gier, potrafiących zgrabnie awansować i nie podpadać bez sensu. Jelcyn szybko odnalazł się w nowych warunkach i piął się w górę. W wieku trzydziestu pięciu lat został dyrektorem kombinatu budowlanego. Już wtedy biła od niego niezachwiana wiara w siebie. Potrafił zjednywać sobie ludzi efektownymi gestami, umiał do nich przemawiać i nimi manipulować.

Wyróżniającego się dyrektora kombinatu zauważył doświadczony partyjny prominent, szef obwodowego komitetu partii, Jakow Riabow. Pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku ściągnął Jelcyna z placów budowy do gabinetów regionalnej centrali Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Dalsze awanse przebiegały zgodnie z niepisanymi zasadami partyjnego feudalizmu. Patron Borysa Nikołajewicza wydeptywał sobie ścieżki w moskiewskim Komitecie Centralnym. Był coraz bliżej celu i potrzebował lojalnego sukcesora. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych Jelcyn został I sekretarzem swierdłowskiego obwodowego komitetu KPZR. Woda sodowa nie uderzyła mu do głowy.

Przeprowadził się z rodziną do lepszego mieszkania na nomenklaturowym osiedlu, ale nie zapomniał o swoich korzeniach. Nie zaczął demonstracyjnie wywyższać się. Nie zamykał się w niedostępnych gabinetach, co odróżniało go od większości regionalnej partyjnej wierchuszki. Nie za często korzystał z przysługującego mu służbowego samochodu i szofera, a jeśli już, to nie robił tego ostentacyjnie. Ludzie widywali go na ulicach, placach budów i w zakładach pracy. Regularnie składał gospodarskie wizyty w uralskich kołchozach i akademikach.

Tak jak dawniej potrafił rozmawiać z każdym. Stając przed ludźmi, bez różnicy – robotnikami czy wykładowcami uniwersyteckimi – nigdy nie zapominał języka w gębie. I potrafił przekonywać, że umie realnie zadbać o ich interesy. Za jego czasów zaczęto przekopywać swierdłowskie metro i budować nowe drogi. Tam, gdzie wcześniej stały gnijące drewniane baraki, rosły nowoczesne osiedla mieszkaniowe. Trzymał region mocno w garści.

Jelcyn znakomicie potrafił się dostosowywać, ale wiedział też, kiedy należy zaryzykować. Na początku lat osiemdziesiątych, długo przed pieriestrojką, ostentacyjnie sprzeciwił się przysłanym z Moskwy bezmyślnym planom kolejnej rozbudowy swierdłowskich fabryk. Zażądał wzięcia pod uwagę planów rozwoju infrastruktury mieszkaniowej, szpitali, szkół i sklepów dla robotników. Nie wszystko wyszło tak jak trzeba, ale pokazał, że potrafi się postawić. Ludzie widzieli to i doceniali. Oprócz chleba potrafił też dać im igrzyska. Kibice regularnie widywali go na meczach siatkówki. Osobiście doglądał dumy Swierdłowska, mistrzowskiej drużyny Urałoczka.

Kiedy w 1985 roku stary protektor Jakow Riabow ściągał go do Moskwy, był wystarczająco dobrze przygotowany, żeby nie tylko szybko odnaleźć się w chaosie ostatnich lat istnienia ZSRR, ale wkrótce samemu stanąć na czele zmian. Otwartość, z jaką występował, spodobała się i demokratycznej inteligencji, i przyduszonym kryzysem robotnikom. Jelcyn doskonale czytał nastroje jednych i drugich. Ze stanowiska I sekretarza Komitetu Miejskiego w Moskwie usunięto go za otwartą krytykę Michaiła Gorbaczowa. Jelcynowi nie podobała się zachowawczość radzieckiego przywódcy i fasadowość reform. Niedługo po październikowym plenum partii, na którym pozwolił sobie na zbyt wiele, wygłosił ostrożną samokrytykę. Na jakiś czas trafił na boczny tor, ale jego czas miał dopiero nadejść. Dobrze skalkulował bilans ryzyka i wygrał.

Był bodaj pierwszym sowieckim politykiem działającym w nowym stylu. Rozumiał siłę rażenia mediów, wizerunkowych gestów i zagrywek pod publiczkę. Jeszcze jako I sekretarz swierdłowskiego komitetu partii pojawiał się w regionalnej telewizji. Odpowiadał na listy i pytania mieszkańców. Sprawnie oczarowywał publiczność. Ze szczerą miną stawał wobec bolączek i problemów. Dobrze rozpoznawał potrzeby, które ludzie czuli, ale nie zawsze potrafili je formułować i nazywać. Tak rodził się nieznany dotychczas w Związku Radzieckim styl marketingu wizerunkowego i politycznego populizmu.

W lipcu 1991 roku Borys Nikołajewicz, były dyrektor kombinatu budowlanego na Uralu, stanął na czele Federacyjnej Socjalistycznej Rosyjskiej Republiki Radzieckiej. A niecałe pół roku później złożył podpis pod tekstem układu białowieskiego, symbolicznie kończącego erę ZSRR, i został pierwszym w historii prezydentem nowego państwa – Federacji Rosyjskiej. Blisko półtorej dekady później, w 2005 roku Władimir Putin, wygłaszając coroczne orędzie o stanie państwa, nazwie rozpad Związku Radzieckiego „największą geopolityczną katastrofą XX wieku i prawdziwym dramatem narodu rosyjskiego”.

W tym samym czasie, kiedy Putin wypowiadał cytowaną przy każdej okazji sentencję, gmach dawnego swierdłowskiego Domu Rad obrastał nowoczesnymi biurowcami, szklanymi pomnikami potęgi elit dojrzewającej putinowskiej ery. Niedaleko partyjnego wieżowca, nad samym brzegiem miejskiego zalewu rozpoczęto budowę nowoczesnego centrum biznesowego. Na cześć starego rodu uralskich przemysłowców, którzy uruchomili nad Isetem pierwsze warsztaty już w czasach Piotra Wielkiego, nadano mu dumną nazwę Demidov Plaza. Inwestycja grzęzła jednak w aferach, defraudacjach i prawniczych bataliach.

Jesienią 2009 roku podpisano decyzję o zorganizowaniu w Jekaterynburgu Prezydenckiego Centrum Borysa Jelcyna. Ogromny gmach wciąż niewykończonego centrum konferencyjno--handlowego Demidov Plaza okazał się idealnym miejscem dla przyszłego wielofunkcyjnego Centrum Jelcyna. Gigantyczny budynek został przejęty przez fundację imienia Borysa Jelcyna, po czym zabrano się do adaptacji niszczejącej postmodernistycznej bryły Demidov Plazy.

Obok dawnej siedziby swierdłowskiego obwodowego komitetu partii wyrósł ni to amfiteatr z przeszklonym dachem, ni to futurystyczna podkowa otoczona nieregularnymi przybudówkami, z doklajstrowanym do niej

wieżowcem biurowym, sporym tarasem widokowym, ławeczkami, fontannami i tak zwaną przestrzenią działań artystycznych. W grudniu 2015 roku, podczas uroczystego otwarcia centrum, zaproszonych gości powitał betonowy pomnik Borysa Nikołajewicza. Wielki budowniczy stał w lekko rozchełstanej marynarce i łypał z góry bystrym dyrektorskim spojrzeniem. W reformatorskim pędzie nie ma przecież czasu na sztywne konwenanse i równe zapinanie guzików.

Za plecami betonowego herosa ciągnął się podziurawiony setkami okrągłych szczelin nieregularny front budynku. Ściany wyglądały jak gigantyczne, posklejane kawałki taśm perforowanych, których używano w XX wieku do zapisu cyfrowych danych i programowania pierwszych komputerów. Przed oszklonym wejściem do wnętrza budynku sterczała prostokątna tablica, stylizowana na wyświetlacz zegarka elektronicznego z melodyjkami albo kalkulatorkiem, o jakim marzył każdy dzieciak zamieszkujący którąś ze zgrzebnych krain w czasach schyłkowej komuny. Na tablicy jaśniał rok wielkiego początku: 1991.

Kiedy odwiedziłem Centrum Jelcyna w 2018 roku, tablica wciąż stała przed szklanym wejściem. Na jej tle pozowała roześmiana nastolatka w zielonej minispódniczce. Oldskulowy, elektroniczny font wydał jej się wystarczająco atrakcyjny, by zagonić swojego chłopaka do trzaskania kolejnych fotek. Cierpliwy młodzian ocierał pot z czoła i wytrwale uwieczniał telefonem kolejne warianty dzióbków ukochanej wyginającej się w zalotnych pozach. Dziewuszka w zielonej mini urodziła się już w nowym tysiącleciu. Nieco wcześniej stary i zmęczony życiem Borys Nikołajewicz przekazał urząd młodemu, dynamicznemu sukcesorowi. Dziewczyna nie może więc pamiętać innego świata niż ten, nad którym od prawie dwudziestu lat czuwa niezmiennie ten sam człowiek. Kilka metrów dalej, w chodnikowej fontannie pląsała gromadka przedszkolaków. Za jakieś dwa lata pójdą do szkoły, a ich krajem wciąż będzie rządził pomazaniec Jelcynowskiej ekipy – Władimir Putin.

3 Centrum liberalnych bylin

Wewnątrz wibrował cichy, jednostajny szum należycie wyregulowanej klimatyzacji. Nawiew sterylnej nowoczesności osuszał plecy z lepkiego potu przesiąkniętego ulicznymi spalinami. Sympatyczna kasjerka rozsyłała uśmiechy zza wypolerowanej na wysoki połysk ciemnej lady. Razem z biletem wręczyła mi plik kolorowych folderów, mapek i ulotek opatrzonych logo piłkarskich mistrzostw świata.

W głębi hallu stał niski podest. Podobny do tych, na których dilerzy samochodów prezentują kolejne modele najbezpieczniejszych, superinteligentnych, empatycznych aut. Dzięki zawieszonym w kosmosie satelitom klient może już o niczym nie myśleć. Na bieżąco dowiaduje się, jak uniknąć korków, wie, czy korzystniej będzie skręcić w prawo, czy może jednak pojechać prosto. U jego boku uśmiecha się piękna żona, a wesołe urwisy na tylnym siedzeniu już planują swoją przyszłość. Klient ma miękko pod tyłkiem, więc nie musi przejmować się bólem w krzyżu ani hemoroidami. Z głośników sączy się czadowa muzyczka, więc klient czuje się wolny jak lew na sawannie albo kapitan pirackiego żaglowca wśród południowych archipelagów. W powietrzu unosi się wykwintny bukiet zapachów odświeżacza powietrza. A wszystko jest dostępne w niezwykle korzystnym systemie ratalnym, rekomendowanym klientowi przez najwyższej klasy konsultantów. Bo przecież to on jest najważniejszy.

Nie była to jednak superpromocja rodzinnego samochodu. Na reklamowym podeście stała masywna prominencka limuzyna marki Gaz należąca niegdyś do Borysa Jelcyna. Za podestem, limuzyną i błyszczącą metalową barierką otwierało się przestronne patio. Wokół pięły się lekkie konstrukcje balkonowych korytarzy i galeryjek. Jak w nowoczesnym centrum handlowym, które chce oszałamiać klientów nie tylko dziesiątkami markowych sklepów, stoisk, kawiarenek i innych atrakcji, ale przede wszystkim poczuciem nieograniczonej wygody. W głębi patio oszklona winda wystrzeliwała ku przejrzystemu, pleksiglasowemu sufitowi.

Idąc przed siebie bez jasno określonego celu, mijałem stoiska z gadżetami i pamiątkami, księgarnię oferującą literacką klasykę: Tołstoja,

Dostojewskiego, Czechowa, ale również kryminały Borysa Akunina i publicystykę krytyczną wobec władzy. W księgarni sprzedawano naścienne reprodukcje karykatur wyśmiewających sowiecką przeszłość, awangardowe komiksy, albumy z malarstwem, grafiką i designem. W Cafe 1991 można było napić się kawki i zjeść brownie. Albo zajrzeć do baru Boris, by w rytm nienarzucającego się smooth jazzu wypić któryś z kilku rodzajów świeżo wyciskanych soków i zamówić wegański kisz.

Multifunkcyjne centrum handlowe gładko przeistaczało się w nowoczesny biurowiec, wolny od anachronicznych gabinetów i ciasnych boksów. Pełen otwartych przestrzeni kreatywnych, w których mogą rodzić się innowacyjne idee zamiast kolejnych zapchanych nadziubdzianymi cyferkami słupków w Excelu. W głębi balkonowych korytarzy znajdowały się sale przeznaczone do rozmów i spotkań, z wygodnymi kolorowymi pufami i szerokimi stołami do wspólnej pracy. Nie było tu jednak nikogo, kto zdecydowałby się w tak upalny dzień obmyślać innowacje albo otwierać nowe horyzonty. Nieopodal, w strefie gier, czekały bezczynnie stoły do cymbergaja i ping-ponga. Za to w wiszące na ścianie ekrany gier telewizyjnych wpatrywało się kilku nastolatków z ogromnymi słuchawkami na uszach. Jeden z nich rozgrywał mecz piłkarski, a pozostali beznamiętnie rozstrzeliwali nacierające monstra.

Zjechałem ruchomymi schodami. Sporą część podziemnego poziomu zajmował elegancki butik Freedom Store, połączenie krawieckiej manufaktury i modnego sklepu ze specjalną ofertą dla wymagającego klienta. Można tu było przejrzeć katalogi, pogadać z profesjonalnym sprzedawcą, wypić herbatę, a nawet złożyć specjalne zamówienie szycia na miarę. Ale mało kto kupował coś czy zamawiał. Między butikami, biurami i kawiarniami krążyło niewielu ludzi. W większości zwykłych trzydziesto-, czterdziestolatków w zachowawczym posthipsterskim stylu, ubranych w markową, ale masowo produkowaną odzież. Tu i ówdzie przemknął jakiś elegant, raczej kombinujący co do wyglądu na własną rękę niż pod okiem stylistów.

Snując się po galeryjkach i korytarzach, prawie zapomniałem, że w tylnej kieszeni spodni wciąż mam bilet do muzeum. Wróciłem do hallu. Ponownie minąłem limuzynę Borysa Jelcyna, za nią wejście do galerii malarstwa współczesnego i znalazłem się w korytarzu prowadzącym ku starannie uporządkowanym audiowizualnym ekspozycjom czasów wielkiego przełomu.

Głównym celem Centrum są studia, refleksja i zachowanie spuścizny po pierwszym prezydencie Rosji – oznajmiał napis wykaligrafowany przed bramką wejściową. W korytarzu wisiała tablica uwieczniająca najważniejszych donatorów, dzięki którym owa spuścizna może dziś przemówić. Lista darczyńców okazała się spisem prominentnych postaci, instytucji i przedsiębiorstw współczesnej Rosji. Znalazły się na niej najpotężniejsze koncerny wydobywcze i przesyłowe: Rosnieft, Basznieft, Gazprom i Transnieft, obok VTB Bank i Sbierbank. I mnóstwo innych flagowych okrętów rosyjskiej ekonomii i gospodarki, wśród nich oczywiście regionalne uralskie kombinaty. Największe gwiazdy rosyjskiego establishmentu spotkał zaszczyt wymienienia z imienia i nazwiska.

Powstał tu cały nieboskłon, poczynając od królowej sowieckiej estrady, a potem szarej eminencji rosyjskiego przemysłu muzycznego Ałły Pugaczowej, poprzez niezatapialnych polityków takich jak Anatolij Czubajs czy Aleksandr Wołoszyn – były szef kancelarii prezydenta Federacji Rosyjskiej w czasach późnego Jelcyna i wczesnego Putina – po nazwiska potężnych oligarchów: od nękanego zachodnimi sankcjami Olega Deripaski do niezniszczalnego Romana Abramowicza. Na tablicy, skromnie, w środeczku, widniało imię i nazwisko: Władimir Putin. A nieopodal wisiała informacja, że Centrum Jelcyna działa pod oficjalnym patronatem Kancelarii Prezydenta FR.

Na przeciwległej ścianie umieszczono fragmenty wypowiedzi zagranicznych liderów zachwycających się wielkością ojca rosyjskiej wolności i demokratycznych przemian. Ze ściany płynęły pochwały z ust Billa Clintona, Tony’ego Blaira, Václava Havla, Helmuta Kohla, Aleksandra Kwaśniewskiego, Jacques’a Chiraca, Jiang Zemina, Ban Ki-moona. Swoje najwyższe uznanie wyrażali liderzy niepodległych państw, byłych republik związkowych, Aleksandr Łukaszenka, Nursułtan Nazarbajew i Leonid Krawczuk. Wśród nich znalazło się miejsce na wzruszające słowa Władimira Władimirowicza, wielkiego następcy Borysa Nikołajewicza.

Korytarz, niczym czasoprzestrzenna śluza, wsysał w głębiny starej dobrej epoki globalnego ładu końca XX wieku. By wzmocnić pożądany efekt, nieco dalej zawieszono reprodukcję słynnej propagandowej fotografii z okresu zakończenia II wojny światowej – przedstawiającą bratających się wiosną 1945 roku amerykańskich i sowieckich żołnierzy. Sympatyczni wojacy podawali sobie ręce na zniszczonym, ale wciąż dającym się przejść

moście w saksońskim miasteczku Torgau. Przyjazna i otwarta Rosja życzliwie uśmiechała się do zachodnich sojuszników.

Pokazałem wymięty bilet wysokiemu ochroniarzowi w modnie skrojonej marynarce. Uprzejmie skinął głową i zaprosił do środka. Znalazłem się w zaciemnionej salce, dudniącej kwadrofonicznym dźwiękiem. Spory szerokokątny ekran błysnął feeryczną animacją. Razem z kilkoma innymi zwiedzającymi pofrunęliśmy nad wygenerowanymi cyfrowo wschodnioeuropejskimi krajobrazami, nad rzekami i lasami. Poniósł nas epicki soundtrack. Animacja od pierwszych sekund oślepiała jaskrawymi kolorami, estetyką komputerowych gier fantasy wprzęgniętych w misję przekazania najgłębszego sensu tysiącletnich dziejów. Od dawnej Rusi do rozpadu ZSRR.

„Nie wszyscy wiedzą, że rosyjska demokracja rozwinęła się znacznie wcześniej niż rosyjskie samodzierżawie. Nurt światowej historii porwał dawną Ruś w momencie, kiedy pojawiły się w niej niezależne miasta. Zarządzały nimi ludowe kolektywy, wiece… – z offu przemówił charyzmatyczny kobiecy głos. – Od zarania swych dziejów Rosja jest polem bitwy. Ostatecznym celem owej odwiecznej walki jest znalezienie punktu równowagi między silną władzą i silnym społeczeństwem. We wszystkich przełomowych momentach historii rosyjscy kniaziowie, carowie i pierwsi sekreterze stawali wobec dylematu: podporządkować ludzi swojej woli czy dać im wolny wybór?”

„Tych, którzy chcieli podzielić się władzą i dać ludziom wolność, było niewielu. Tych, którym to się udało, było jeszcze mniej” – mocny kobiecy głos huczał ze wszystkich zakątków sali.

Obraz niesiony opowieścią narratorki i falami symfonicznych dźwięków poszybował wysoko w przestworza. Między śnieżnobiałymi obłokami, po nieskazitelnie błękitnym, wygenerowanym cyfrowo niebie przepłynął wielki napis: „Wolność”. Po chwili, jak wagonik rollercoastera, obraz pociągnął widownię w dół, wprost na staroruską agorę Nowogrodu Wielkiego.

Mieszczanie i kupcy sami wybierali sobie kniazia i zawierali z nim kontrakt – narratorka nie przestawała opowiadać – jeśli ten nie wywiązywał się z warunków umowy, to wyrzucano go za bramy miasta. Nawet legendarnego nowogrodzkiego kniazia Aleksandra Newskiego dwukrotnie wypędzano pod zarzutem naruszania swobód mieszczan. (Czytajcie: Miejska klasa średnia, zasiedlająca ziemię w czasach mitycznego Złotego

Wieku, zwalniała kniazia menedżera z pracy za przekraczanie uprawnień i niewywiązywanie się z umowy).

Nawet najazd Tataro-Mongołów nie przekreślił demokracji wiecowej. Wolność Nowogrodowi Wielkiemu odebrał dopiero moskiewski satrapa Iwan III, który „przemocą, pieniędzmi i dyplomacją" zmusił wolnych nowogrodzian do uległości i pogrzebał pradawną rosyjską demokrację, zastępując ją despotyzmem – wyjaśniała narratorka. Tymczasem na ekranie pomrukiwał monstrualny olbrzym w Czapce Monomacha, carskiej koronie symbolizującej absolutną władzę. Nieludzki, przerażający gigant zakuł w łańcuchy wolnych ruskich mieszczan. Animowany świat rozpadł się na kawałki i runął w ciemną otchłań. Pierwotny ład został zniszczony przez złego demiurga, kraina pierwszych ludzi zamieniła się w pole cyklicznej manichejskiej wojny między siłami światła i ciemności, demokracji i despotyzmu.

Po stu latach nadzieja powróciła. Oto w świecie ludzi narodził się bohater. Na ekranie zjawił się Aleksiej Adaszew, światły reformator z czasów Iwana Groźnego.

„Mądrość nie polega na uciskaniu ludzi, tylko na dogadywaniu się z nimi" – oznajmiła narratorka, cytując słowa Adaszewa.

Ale dobry bohater przegrał. Po jego upadku nastał czas donosicielstwa i terroru. Okrutny paranoik Iwan Groźny posłał przeciw ludziom sadystycznych opriczników. Infernalne postaci chłostały ciężkimi łańcuchami małe bezbronne figurki ludzi, które rozpadały się na drobne kawałki. W końcu wybuchła wojna wszystkich przeciwko wszystkim i nastała wielka smuta. Ciemności zasnuły ekran, a z głośników popłynęły krzyki mordowanych ofiar i metaliczny szczęk broni.

Po chwili ciemną salkę rozświetliła jasna łuna. Na ekranie zaiskrzyło czyste, błękitne niebo. Na jego tle stanął dorodny olbrzym z eleganckim wąsikiem.

„Piotr został pierwszym rosyjskim carem, któremu udało się przeprowadzić modernizację, nie zmieniając przy tym istoty reżimu politycznego. Były mu potrzebne europejskie armaty, ale nie potrzebował europejskich wolności – kobiecy głos nie milkł. – Zrobił to, nie licząc się z ceną. Wybicie okna do Europy pociągnęło za sobą krwawe ofiary. Kraj niewolników nie zdołał wejść do Europy".

W ułamkach sekund przeskoczyliśmy w czasie od epoki Piotra I do intronizacji Katarzyny Wielkiej. Na ekranie mieniły się już kolejne

jaskrawe obrazki, w uszach pulsowała kwadrofoniczna muzyka, szumiały głosy dworzan.

„Oświecony monarcha, powiadała wielka władczyni, może zmienić kraj, tworząc oświeconą klasę polityczną” – narratorka przeszła do opowieści o tym, jak „wielka władczyni” przestała używać w dokumentach państwowych słowa „niewolnik” i zastąpiła je słowem „poddany”. Ale na słowach się skończyło: „Mówiąc i marząc o oświeconych ludziach, Katarzyna doprowadziła do perfekcji system pańszczyźniany…”.

W kolejnej sekwencji nowy bohaterski reformator, graf Michaił Spieranski, przynosi wnukowi Katarzyny, carowi Aleksandrowi I, księgę przypominającą Biblię. Pierwsza konstytucja miała gwarantować podział władzy, wolność słowa, wolność wyznania i równość wszystkich wobec prawa, przemawiał głos z offu, ale nigdy nie weszła w życie. Kolejny despota, Mikołaj I, zamiast swobód daje ludziom „stagnację i nieograniczone samodzierżawie”. Finałem rządów surowego samodzierżcy staje się „poniżająca klęska z Zachodem” w wojnie krymskiej.

Potem znów powraca heros, który chce zmienić świat na lepszy. Aleksander II, „car wyzwoliciel”, próbuje skończyć z samodzierżawiem w imię „europejskiego systemu politycznego”. Zaczyna reformować samorządy ziemskie, znosi pańszczyznę. Ale reformy grzęzną. Aleksander II okazuje się fałszywym bohaterem. W końcu zabijają go terroryści z rewolucyjnej Narodnoj Woli.

„Aleksander II zginął nie przez reformy, ale z powodu odejścia od nich” – wyjaśnia krótko i zwięźle narratorka. Za chwilę dowiadujemy się, że w początkach XX wieku, pod panowaniem Mikołaja II, podjęto jeszcze jedną próbę przeprowadzenia radykalnych reform. W 1906 roku Rosja przyjęła konstytucję „na wzór europejski”. Kraj przeżył wzrost gospodarczy, ludziom zaczęło powodzić się lepiej.

Nadzieję zniszczył wybuch I wojny światowej i przewrót październikowy. Przez ekran przelała się znakowa sekwencja bolszewickiej rewolucji: Lenin przemawiający na piotrogrodzkim Dworcu Fińskim, krążownik Aurora, szturm na Pałac Zimowy, obrazki wojny domowej, odgłosy wybuchów, wystrzałów i krzyki ludzi.

„Rosyjskie imperium zamieniło się w Związek Radziecki” – dudnił kobiecy głos, a gigantyczne potwory w policyjnych szynelach znów okładały łańcuchami maluczkich ludków. Wyglądały bardzo podobnie do

opriczników Iwana Groźnego. Przekaz jest jednoznaczny: Stalin to nowe wcielenie Iwana Groźnego, NKWD to nowa opricznina.

„W czasach represji kraj stracił od 10 do 20 milionów ludzi, tak wiele, że do dziś nikt nie zna dokładnej liczby… Ale nawet to nie zniszczyło ludzi i ich ducha" – kobiecy głos nie przestawał mówić. Tylko szanujący się i niezłomni ludzie mogli zwyciężyć w „Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej i II wojnie światowej" – narratorka zgrabnie połączyła obie nazwy. Mimo to dowiadujemy się, że wojna zaczęła się w 1941 roku. O pakcie Ribbentrop–Mołotow nie słyszymy ani słowa.

„Oni wrócili jako zwycięzcy, ale represje trwały nadal, aż do śmierci Stalina. Wielu weteranów zamiast nagród dostało miejsce w stalinowskich obozach" – grzmiał kobiecy głos. Po Stalinie nastaje Chruszczow i „epoka, która przeszła do historii jako odwilż". W niebo wzbija się nowoczesna rakieta kosmiczna. ZSRR osiąga apogeum potęgi, ale w 1964 roku „partyjni aparatczycy odsunęli Chruszczowa od władzy", a epoka kolejnego genseka, Leonida Breżniewa, doprowadziła do stagnacji. Szansę powrotu na łono cywilizowanego świata, czyli Zachodu, Rosja dostanie dopiero w czasach Michaiła Gorbaczowa.

Gorbaczow próbował przebudować system i nazywało się to pieriestrojką. Okazało się jednak, że system jest niereformowalny. Można było go tylko zniszczyć. Przez ekran przejeżdża maszyna budowlana. Zbliża się do betonowego muru i wybija w nim dziurę. Maszyną kieruje animowany Gorbaczow. Osobiście niszczy żelazną kurtynę i mur berliński.

„Państwo potrzebowało lidera innego typu" – oznajmił głos w ciemnej sali zwiastujący wielki finał.

Naprzeciw kolumny czołgów sunącej moskiewskimi ulicami staje samotny bohater. To on. Borys Jelcyn. Za plecami komiksowego herosa wyrasta tłum ludzi gotowych pójść za nim do końca. Po wielu stuleciach walki światła z ciemnością zwycięża Jelcyn. Nie chce władzy dla siebie, „bo jako pierwszy w dziejach zaryzykował danie ludziom wolnego wyboru".

„Tak zaczęła się historia nowej, wolnej Rosji" – tryumfalnie oznajmił głos z offu. Na tle błękitnego nieba załopotała „biesikra", trójkolorowa biało-niebiesko-czerwona flaga Federacji Rosyjskiej. Przed widownią jeszcze raz pojawiają się bohaterzy cyfrowej animacji. Jak aktorzy na scenie po skończonym spektaklu teatralnym równym rzędem ustawiają się komputerowe figurki – Aleksiej Adaszew, Piotr I, Katarzyna II, Michaił

Spieranski, Aleksander I, Aleksander II, Siergiej Witte, Piotr Stołypin i na koniec Borys Nikołajewicz Jelcyn. Oklaski. Nawałnica dźwięków i obrazów ustaje. Uff.

Dynamiczna komputerowa animacja skierowana do młodocianego widza, z profesjonalnym soundtrackiem w hollywoodzkim stylu i modnymi wirtualnymi mykami, w gruncie rzeczy jest sequelem od dawna znanej opowieści. W jakiejkolwiek formie by ją podawać, jakiekolwiek postaci by do niej wrzucić, sama kanwa tej historii nie jest nowa. Kryją się w niej nadzieje, fantazje i porażki całych pokoleń nielicznej rosyjskiej burżuazji i części szlachecko-mieszczańskiej inteligencji.

Polityczny mit Nowogrodu Wielkiego ma dość długą historię. Po raz pierwszy opowiedziano go bodaj w czasach Katarzyny Wielkiej. Wówczas próbowano wpisać Nowogród Wielki w papierową ideę rosyjskiego oświecenia. W XIX stuleciu Nowogród Wielki powrócił jako historyczne marzenie zapadników i rosyjskich liberałów, w różny sposób ścierających się z ideologami samodzierżawia i dogmatycznymi konserwatystami.

W 2015 roku, tuż po premierowym pokazie kilkuminutowego filmu, rozpoczęła się kolejna runda zapasów w historycznym kisielu.

4 Usłyszeliśmy was, Nikito Siergiejewiczu

Jako pierwszy koszulę na piersiach porwał niezastąpiony Nikita Michałkow. A więc wszystko, co zdarzyło się przed 1991 rokiem, to ohydztwo, przemoc, niewolnictwo i krew? Jak można pokazywać coś takiego nieletnim uczniom, którzy jeszcze nic nie wiedzą o życiu? W tym filmie nie ma ani historii, ani nauki, ani sumienia, ani godności!
To przeżarta trucizną rusofobii dezinformacja. Przecież należy prowadzić politykę historyczną uświadamiającą dzieciom, że państwo, w którym żyją, było i jest wielkie. Tymczasem w Jekaterynburgu codziennie odbywa się niszczenie narodowej samoświadomości nieletnich. A to jest już problem bezpieczeństwa narodowego – czołowy Wielkorus X muzy, a wcześniej „zasłużony filmowiec ZSRR", zagrzmiał w autorskim programie publicystycznym *Biesogon* (w wolnym tłumaczeniu: *Młot na biesy* albo *Egzorcysta*).

Ile godzin taśmy filmowej Michałkow poświęcił słusznym rozważaniom nad tajnikami rosyjskiej duszy? A tu bęc. Niczego nieświadomi młodziankowie w kilka minut dowiadują się, że prawda może być inna niż ta, o której naucza filmowy wieszcz. A co to będzie, jeśli któremuś z młodzianków przyjdzie na myśl, że romantyczne opowieści o zakamarkach szerokiej rosyjskiej duszy, o cierpieniu i przemocy, które wycisnęły niejedną łzę wzruszenia, są w istocie dętą propagandową bujdą? Nie kryją się za nimi żadne święte racje, a tylko sute tantiemy i państwowe nagrody?

O niezwyciężonym carze Aleksandrze III, którego mistrz osobiście zagrał w *Cyruliku syberyjskim*, autorzy tego strasznego filmiku nie zająknęli się nawet jednym słowem. Michałkow miotał piorunami. I chyba trochę przesadził. Bo z rozpędu obraził swoją starą znajomą, Nainę Jelcynę. Kiedy jej mąż jeszcze żył, Nikita Siergiejewicz lubił pozować na przyjaciela, trzymał się blisko rodziny Jelcynów, uczestniczył w komitetach poparcia, a teraz co?

Wdowa po Borysie Nikołajewiczu wypomniała mu przy okazji, że mógłby się powściągnąć z krytyką miejsca, którego nie widział na własne

oczy. To akurat Michałkow wziął sobie do serca i udał się do Jekaterynburga. Otoczony wianuszkiem dziennikarzy wkroczył do Centrum. Bacznie przyjrzał się wszystkiemu, po czym oświadczył, że gdyby miał wypowiedzieć się ponownie, to byłby jeszcze bardziej surowy. Na wszelki wypadek dodał zaraz, że oczywiście nie chodzi mu o samego Borysa Nikołajewicza, którego przecież bardzo cenił i szanował.

Byłby strasznym niewdzięcznikiem, gdyby nie zachował resztek szacunku dla Jelcyna. W kryzysowych latach dziewięćdziesiątych miał się jak pączek w maśle. Nie zaznał biedy, o której tyle się nagadał, krytykując Centrum. Nie trawił czasu na wystawanie w długich kolejkach do sklepów. Tak się złożyło, że akurat w tamtym okresie kręcił wysokobudżetowe filmy albo wypinał pierś do państwowych odznaczeń. Ale z manipulacjami, których dopuszczono się w Centrum, nie może się pogodzić.

Awantura nabierała rozpędu. Do Nikity Siergiejewicza dołączali kolejni oburzeni. W bój ruszył literat i medialny politruk Zachar Prilepin, a w ślad za nim naczelny telewizyjny wodzirej i propagandysta Władimir Sołowjow. Zdolności krasomówczych nie można odmówić ani jednemu, ani drugiemu. Gdyby jednak streścić sens tego, co mieli do powiedzenia, to skończyłoby się na kilku przypisach do tyrad Nikity Michałkowa. W mniej lub bardziej subtelny sposób powtarzali te same zarzuty. Gadali o wojnie informacyjnej przeciwko Rosji. O kolonialnej mentalności, o zaprzedaniu się Zachodowi, o kodowaniu myślenia młodych pokoleń, które powinny uwierzyć, że ich ojczyzna to „państwo niewolników”, a wszyscy wielcy władcy byli despotami skupionymi głównie na umacnianiu nieograniczonej władzy. O inspirowanym z zagranicy ataku wewnętrznych wrogów i kolaboracjonistów, którzy postawili w Jekaterynburgu postmodernistyczny pomnik wielkości złodziejskich lat dziewięćdziesiątych. I tak dalej, i temu podobne.

Trudno powiedzieć, co doprowadziło ich do większej wściekłości: sama treść filmu czy może raczej to, że ktoś inny wziął do ręki ich własną broń i zrobił z niej użytek. W niecałe dziesięć minut, w błyskotliwie demagogicznym stylu, postawił do góry nogami całą propagandową gadaninę o geopolityce, wodzach, carach, pierwszych sekretarzach, armiach i flotach. No i ten ktoś przy okazji zgarnął niemałą kasę, którą powinni byli zarobić oni, prawdziwi patrioci.

W grudniu 2016 roku w prawosławnej telewizji Cargrad odbyła się kolejna dyskusja na temat Centrum Jelcyna. Andriej Norkin, prowadzący

publicystyczny program *Kroniki Cargradu*, uśmiechnął się znacząco do telewidzów i napomknął o stojącej za tym wszystkim „grupie ludzi”. Wszyscy wiemy, o kogo chodzi. Norkin szybko dał do zrozumienia, że nie o Władimira Putina. On oczywiście o niczym nie wiedział. Po prostu wmanipulowano go w patronowanie temu projektowi. Centrum Jelcyna nie patronuje przecież sam Putin, tylko Administracja Prezydenta Federacji Rosyjskiej. A w takiej administracji, jak wiadomo, kryją się po kątach rozmaite „grupy ludzi”.

No więc car jest dobry, ale bojarzy źli (pretensje o eksploatowanie spranego banału o carze i bojarach proszę kierować na adres telewizji Cargrad). A bojarzy, jak to bojarzy. Bywają skłóceni, a nawet śmiertelnie poobrażani na siebie. Jedni są bardzo ważni, inni trochę mniej. Ci ze starych rodów i nuworysze. Oddani druhowie i tacy, których nie dopuszcza się zbyt blisko komnat władcy.

Założycielem internetowej telewizji Cargrad i szefem rady dyrektorów stacji jest biznesmen Konstantin Małofiejew, człowiek o agresywnie obskuranckich poglądach. Małofiejew i niektórzy jego kumple bywają nieco kłopotliwi, ale w wielu sprawach są bardzo użyteczni. Od dawna mają dobre kontakty w środowiskach europejskich „antysystemowców”. Niektórzy z nich zajmują się ciekawszymi sprawami niż czytanie czy pisywanie czarnosecinnych artykułów i odezw politycznych.

Małofiejew nie od wczoraj fraternizuje się z liderami Austriackiej Partii Wolności i szefem dawnej Ligi Północy Matteo Salvinim. W 2014 roku sporo mówiono o jego pośrednictwie w załatwianiu rosyjskiego kredytu dla francuskiego Frontu Narodowego. Niedawno Front Narodowy przeszedł drobny rebranding. Zmienił nazwę na Zjednoczenie Narodowe i na potrzeby tak zwanego umiarkowanego wyborcy został troszkę dofajniony. Małofiejew ma bardzo dobre kontakty w Bułgarii. W Serbii podkarmia miejscową skrajną prawicę. W ostatnim czasie wspominał nawet o wejściu na serbski rynek informacyjny i stworzeniu tam holdingu medialnego.

W 2014 roku okazało się, że współfinansuje powstałą w Stanach Zjednoczonych sieć skrajnie konserwatywnych organizacji religijnych World Congress of Families (WCF). Z WCF współpracuje między innymi Instytut Edukacji Społecznej i Religijnej im. Piotra Skargi, związany ze stowarzyszeniem Ordo Iuris. Instytut Piotra Skargi był jednym z partnerów organizowanego w 2014 roku w Moskwie kongresu WCF.

Kilka lat temu Małofiejew próbował wejść do mainstreamowej polityki. Plan był dość prosty. Prawosławny oligarcha zamierzał wskoczyć bocznymi drzwiami na wakujące miejsce we władzach obwodowych, a następnie wywindować się jako przedstawiciel regionu do Rady Federacji. Nogę podstawili mu towarzysze z Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej. Złożyli odpowiedni donosik i Małofiejew zamiast uzyskać mandat deputacki, usłyszał zarzuty podkupywania głosów. W 2016 roku komitet śledczy w Wiaźmie uznał go za niewinnego. Ale plan przebicia się do Rady Federacji spalił na panewce.

Małe wojenki między postkomunistami a prawicowymi neoimperialistami są częścią rosyjskiego folkloru politycznego. Jedni drugim nie robią większej krzywdy, ale mają czym zajmować się w wolnych chwilach, zużywając przy okazji niepożądany nadmiar energii. W gruncie rzeczy w wielu sprawach więcej ich łączy, niż dzieli.

Kremlowscy trzymają Małofiejewa na dystans, ale nie dają mu umrzeć z głodu. Długo można by opowiadać o jego menedżersko-biznesowych przygodach na pograniczach zarządzania prywatnymi firmami, dojenia budżetu państwa, zagranicznych inwestycji i polityki. Życiorys Małofiejewa to bogata lista stanowisk w państwowych radach nadzorczych oraz prywatnych kompaniach i fundacjach. W 2009 roku zasiadał w radzie dyrektorów potężnej kompanii telekomunikacyjnej Swiazinwiest i miał około dziesięciu procent udziałów w związanym z nią Rostelekomie.

Zasłużył się między innymi zajazdami przeciw Pawłowi Durowowi, założycielowi portalu społecznościowego WKontaktie i komunikatora Telegram. Po odmowie współpracy z Federalną Służbą Bezpieczeństwa, w 2013 roku Durow wyjechał za granicę. Małofiejew w odróżnieniu od Durowa niczego nie modernizował i nie rozwijał nowych technologii. Ale zarabiał coraz lepiej. Dzięki swoim dochodom mógł wspierać różne zbożne inicjatywy i prawosławne fundacje. Niektóre z nich pomagają samotnym matkom i dzieciom. Niektóre zajmują się innymi sprawami.

Największą pasją Małofiejewa jest historia. Przewodniczy między innymi stowarzyszeniu historycznemu „Dwugłowy Orzeł”. Zrządzeniem losu taką samą nazwę nosiło emigracyjne, czarnosecinne pismo, wydawane najpierw w Kijowie, potem krótko w Berlinie i wreszcie w Paryżu. „Dwugłowego Orła” redagował między innymi były kozacki generał Piotr Krasnow i wielu innych skrajnie prawicowych emigrantów, którzy

w 1941 roku postanowili wyruszyć u boku Adolfa Hitlera na świętą, antybolszewicką krucjatę.

Rzecz jasna, tylko naprawdę małodusznym ludziom to wszystko może kojarzyć się ze współczesnym stowarzyszeniem historycznym Dwugłowy Orzeł, które zgodnie ze swoim statutem ma po prostu popularyzować wiedzę o dawnych dziejach. I tylko małoduszni ludzie ośmielą się twierdzić, że stowarzyszenie jest w istocie dość mętną organizacją propagującą imperialną ideologię i wielkoruski nacjonalizm.

Małofiejew jest założycielem Fundacji Świętego Wasyla Wielkiego – to przez nią przepuszczono pieniądze na rzecz ochotniczych oddziałów, które w 2014 roku znalazły się na Krymie, a potem wtargnęły na obszar Donbasu. W tamtym czasie Małofiejew finansował dobrych znajomych z okolic redakcji pisma „Zawtra" („Jutro") – nacjonalistę i politycznego zadymiarza Aleksandra Borodaja oraz znanego awanturnika, nacjonalistę z monarchistycznymi odchyłami Igora Girkina „Striełkowa". Po operacji krymskiej obydwaj znaleźli się na wschodzie Ukrainy, gdzie organizowali Doniecką Republikę Ludową.

Girkin też pasjonuje się historią. Nie chce być prostym awanturnikiem. Uwielbia rekonstrukcje historyczne. Najbardziej kręci go przebieranie się w mundury z epoki Mikołaja II, którego darzy wielką estymą i uważa za jednego z najwybitniejszych rosyjskich władców. Ma publicystyczną smykałkę, za którą do niedawna szły spore polityczne ambicje. Uwielbia snuć rozważania nad sensem przeszłości i wielkimi zadaniami na przyszłość. YouTube pęka w szwach od jego rozwlekłych analiz, geopolitycznych mądrości, dziejowych egzegez i bieżących komentarzy politycznych.

Zawsze chciał tworzyć historię. Po to na początku lat dziewięćdziesiątych jeździł jako ochotnik do Naddniestrza. Potem walczył w szeregach proserbskich formacji w Bośni, gdzie oskarżono go o udział w masakrach i zbrodniach wojennych. Do dziś nie udało się postawić go za to przed sądem. Później trafił do Czeczenii. W końcu ktoś w FSB doszedł do wniosku, że ów doświadczony i bezwzględny harcownik mógłby służyć resortowi na stałe. W 1996 roku wysłano go na kurs oficerski, po którym dochrapał się stopnia pułkownika specnazu FSB. W 2013 roku odszedł ze służby – oficjalnie na własną prośbę; a niedługo potem pojawił się w Ukrainie. Po powrocie z Donbasu trafił na boczne tory.

Od tamtej pory atakuje w internecie rosyjskie władze za uległość wobec Zachodu i niewystarczającą stanowczość w stosunku do „kijowskiego reżimu”. Zarzuca im zdradę. Przekonuje, że w 2014 roku otworzyła się możliwość zdobycia Ukrainy z marszu, ale dziejową szansę tchórzliwie zaprzepaszczono w przededniu ostatecznego zwycięstwa. Wiele osób zastanawia się, jak to możliwe, że udostępnienie złośliwego mema albo stanie na ulicy z antyrządowym transparentem może skończyć się w areszcie, a tymczasem Girkin, który pozwala sobie nazywać prostytutką samego Putina, swobodnie przemieszcza się po kraju, występuje na wiecach i publicznych spotkaniach, a w internecie bez przeszkód wygaduje, co mu ślina przyniesie na język. Może dzieje się tak dlatego, że w tej chwili mało kto traktuje go na serio. O zagraniczne sądy Girkin chwilowo może być spokojny. Na razie nikt go im nie wyda, bo w ten sposób władza okazałaby słabość.

Małofiejew też odsunął się od dawnego kompana. W swojej telewizji nie pozwala na podobne brewerie i dba o poprawność. Co jakiś czas wygłasza serwilistyczne przemowy i przemyca między wierszami własne marzenia. Opowiada, że to właśnie dzięki silnej, charyzmatycznej osobowości prezydenta w ludziach rodzi się tęsknota za monarchią. Społeczeństwo widzi mocnego, niezależnego przywódcę i lęka się, że w rezultacie demokratycznych procedur zmiany władzy może pojawić się ktoś inny. Dzięki Putinowi, zdaniem Małofiejewa, w ludziach odradza się naturalna potrzeba życia w systemie monarchistycznym.

Redaktor Norkin skrupulatnie wyjął więc Putina poza nawias wszelkich podejrzeń o kalanie historii. Jasno wyznaczył granicę między prezydentem a wspomnianą „grupą ludzi”. Po czym nie omieszkał zaatakować z imienia i nazwiska autorów koncepcji scenariusza oburzającego filmiku. W szczególności historyka i publicysty Nikity Sokołowa – „pseudouczonego grzebiącego w dziejach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej”, którą chce za wszelką cenę zohydzić. No bo po co Sokołow zajmuje się publikacjami na temat masowych deportacji, roztrząsa liczby ofiar i poległych? Po co chce rozbijać najważniejszy symbol integrujący naród, który przetrwał wszystkie zawieruchy najnowszej historii? Wnioski są proste. Chodzi o to, by zniszczyć wspólnotowe symbole, zdezintegrować społeczeństwo, doprowadzić Rosję do upadku. Jako potwierdzenie swoich przypuszczeń Norkin cały czas z zachwytem cytował wywody „zasłużonego filmowca” Nikity Michałkowa.

Latem 2018 roku Michałkow przeżył kolejne wzmożenie. Wygłosił następną, pełną oburzenia przemowę. Niewyobrażalne jest, oznajmił, żeby otwarto filię Centrum Jelcyna w Moskwie, i to jeszcze w historycznym domu należącym niegdyś do wielkich patriotów Dołgorukowych i Bublińskich. Znów bezskutecznie apelował do najwyższych władz. A przecież już wcześniej żalił się przed członkami Rady Federacji. I nic. Przewodnicząca Rady Walentyna Matwijenko wysłuchała go wówczas z pełną powagą i odpowiedziała:

– Usłyszeliśmy was, Nikito Siergiejewiczu.

Do dziś nie wiadomo, co Matwijenko chciała przez to powiedzieć Nikicie Siergiejowiczowi. Wygląda na to, że w ten sposób posłała „zasłużonego filmowca” na drzewo, bo jekaterynburskie centrum stoi, jak stało. A oburzający film wyświetlają, jak wyświetlali. Nikita Siergiejewicz nie powinien jednak narzekać. Dostaje pieniądze na swoje produkcje, mimo że widownia przyjmuje je z coraz mniejszym entuzjazmem. Jest prezesem stowarzyszenia filmowców, choć kiedyś byli tacy, którzy chcieli go z tego stołka wysadzić. No i władza „słyszy jego głos”, cokolwiek miałoby to znaczyć. Ale dopóki ścian Centrum chronią magiczne logotypy Gazpromu, Rosnieftu, Sbierbanku i inne nomenklaturowe amulety, żaden prawicowy zagończyk ani nawet najbardziej zasłużony filmowiec nic nie wskóra.

5 Siedem dni stworzenia

Prawda bieżącego etapu jest jasna: Rosja przed Putinem klęczała na kolanach. Zachód traktował ją niemal jak kolonię. W kraju hulali gangsterzy i liberałowie. Prości ludzie głodowali. Armia praktycznie nie istniała, a państwowy majątek rozkradali oligarchowie i globaliści. Dopiero na początku XXI wieku, kiedy nastał Władimir Władimirowicz Putin, kraj zaczął odzyskiwać suwerenność. Ojczyzna wstała z kolan i dumnie podniosła głowę, tak jak w czasach walecznych dziadów, którzy pokonali faszystów i przynieśli całemu światu wolność. Dlatego globaliści wprowadzili sankcje i sztucznie wywołują kryzys gospodarczy. Spuścili z łańcucha karłowatych banderowców, by oderwać bratnią, słowiańską Ukrainę. I rozszarpać na kawałki „ruski lud", który przed tysiącem lat wynurzył się ze wspólnej chrzcielnicy w krymskim Chersonezie.
Za plecami obrońców suwerenności knują opłacani zachodnimi grantami wrogowie wewnętrzni. Zdrajcy chcą zdestabilizować sytuację, rozchwiać łódź, którą silną ręką steruje sprawiedliwy i nieugięty prezydent…

Cała powierzchnia gmachu Centrum Jelcyna razem z przylegającym do niego biurowcem liczy około osiemdziesięciu pięciu tysięcy metrów kwadratowych. Jest prawie dwa razy większa, niż wnętrza petersburskiego Pałacu Zimowego. Skąd wyrosło coś takiego akurat teraz? Co to jest? Nagroda pocieszenia? Symbol postmodernistycznej hybrydowej dyktatury, która do niedawna potrafiła łączyć wszystko ze wszystkim, na zawołanie zmieniać maski, nie dając złapać się na żadnej jednoznaczności? A może to po prostu gigantyczny szklano-betonowy manekin, na którym mogą sobie używać wszyscy chętni, poczynając od świetnie opłacanych telewizyjnych propagandystów, kończąc na szczerych nacjonalistach?

W swoim czasie miałem okazję porozmawiać o tym z Siergiejem Parchomienką, rosyjskim publicystą, działaczem społecznym, współpracownikiem Kennan Institute w Waszyngtonie i rozgłośni Echo Moskwy. Siergiej siedział w zawodzie od głębokich lat dziewięćdziesiątych. Przy okazji nie tylko wiele widział, ale i w niejednym wydarzaniu brał udział. W grudniu 2015 roku uczestniczył w uroczystym

otwarciu Centrum Jelcyna. Słysząc te wszystkie pytania, uśmiechał się i odpowiadał w dość prosty sposób.

– Tu wszystko opiera się na osobistych relacjach. Na tym, kto kogo zna, kto z kim trzyma. Prawie wszystko zamyka się w kręgu znajomości. Centrum to przede wszystkim znak tego, że jelcynowska „Rodzina" wciąż ma jakiś wpływ na to, co się dzieje. Oczywiście bez porównania mniejszy niż przed laty. To już nie jest ta sama grupa co kiedyś. Mimo wszystko byli w stanie dogadać się z Putinem i po starej znajomości stworzyli to miejsce – Siergiej mówił powoli, starannie dobierając słowa.

Lista członków Rady Powierniczej Centrum Jelcyna mogłaby posłużyć za kanwę kilkutomowej opowieści o najnowszej historii Rosji. Zasiada w niej między innymi Aleksandr Wołoszyn, na przełomie stuleci jeden z najbardziej wpływowych ludzi w Rosji, ostatni szef kancelarii prezydenta w czasach Borysa Jelcyna i pierwszy szef kancelarii Władimira Putina. Osobny tom z pewnością należałoby poświęcić córce Borysa Jelcyna, Tatianie Jumaszewej, i prowadzonej przez nią fundacji. Tatiana Borysowna przez długie lata pozostawała jedną z głównych postaci „Rodziny", biznesowo-politycznego klanu wyrosłego jeszcze w latach dziewięćdziesiątych wokół jej ojca. W radzie powierniczej zasiada również jej mąż, Walentyn Jumaszew, weteran starego jelcynowskiego klanu.

Jumaszew to swojak. Pochodzi z Permu, obwodowego miasta na pograniczu zachodniego Uralu i Powołża. To on miał wskazać Władimira Putina jako idealnego kandydata na następcę gasnącego Jelcyna. Potem, między innymi razem z Wołoszynem i Borysem Bieriezowskim, wymościł Putinowi miejsce na Kremlu. Jumaszew wciąż ma odpowiednie dojścia i do dziś trzyma się nieopodal prezydenckiego gabinetu. Całkiem niedawno, w czerwcu 2018 roku, otrzymał oficjalne stanowisko społecznego doradcy prezydenta Federacji Rosyjskiej. Ale z pewnością to nie jego opinii Putin słucha dziś z największą uwagą.

Jumaszew zaczynał w mediach. U szczytu dziennikarskiej kariery kierował wpływowym tygodnikiem „Ogoniok". Pierwszy numer pisma ukazał się pod koniec XIX wieku. To bodaj jedyny magazyn, pierwotnie sprofilowany pod burżuazyjnego czytelnika, który z różnymi zawirowaniami przetrwał okres ZSRR i ukazuje się do dziś. Przed rewolucją można było przeczytać w nim wiadomości giełdowe, nowości polityczne i kulturalne. W ZSRR po starym, burżuazyjnym tygodniku została tylko nazwa. Mimo to pod koniec lat osiemdziesiątych redakcja „Ogonioka" stała

się jednym z medialnych filarów pieriestrojki i polityki wolności informacyjnej – głasnosti.

W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych Jumaszew gładko wszedł w politykę. Przez rok pracował jako szef administracji przyszłego teścia. Po odejściu Jelcyna nie przepychał się do pierwszego rzędu, ale i nie przysypiał na zapleczu. Podobnie jak wielki teść robił trochę w budowlance. Oczywiście działał w innym stylu, zgodnie z duchem nowych czasów. Zajmował się głównie deweloperką i rynkiem nieruchomości. Starał się inicjować działania umiarkowanie konserwatywnej, liberalnej prawicy. To on miał wpaść na pomysł wprowadzenia do polityki miliardera Michaiła Prochorowa, złotego chłopca rosyjskiej transformacji.

Prochorow urodził się w dobrze osadzonej w partyjnych układach nomenklaturowej rodzinie. W latach osiemdziesiątych przeszedł przez środowisko pragmatycznych, skoncentrowanych na osobistych karierach stołecznych komsomolców. Legitymację partyjną dostał zaledwie trzy lata przed upadkiem ZSRR, ale zdążył w tamtym czasie wskoczyć do zarządu Międzynarodowego Banku Współpracy Gospodarczej. W nową epokę wszedł więc z otwartą głową i świetnymi kontaktami.

W latach dziewięćdziesiątych Prochorow kontynuował błyskotliwą karierę bankiera. W pierwszym roku prezydentury Putina objął stanowisko prezesa Rosbanku. Po jakimś czasie został prezesem i współwłaścicielem koncernu Norylski Nikiel. Po konflikcie ze wspólnikiem Władimirem Potaninem sprzedał swoje udziały Olegowi Deripasce, zaufanemu kremlowskiemu oligarsze, dobremu znajomemu, a przez jakiś czas zięciowi Tatiany i Walentyna Jumaszewów. Dzięki pośrednictwu samego Putina Prochorow niespecjalnie stracił na tej operacji.

Był też dyrektorem generalnym firmy Polyus wydobywającej syberyjskie złoto. A do tego znano go i szanowano na świecie, w Paryżu, Londynie, na Wall Street i w Waszyngtonie. Hojnie dzielił się pieniędzmi, łożył i sponsorował. Jako że kochał koszykówkę, a nawet sam trochę w nią pogrywał, kupił sobie klub NBA New Jersey Nets i przeniósł go na nowojorski Brooklyn.

Był bajecznie bogaty i ze wszystkimi był w dobrych relacjach. W 2004 roku Rosyjska Cerkiew Prawosławna odznaczyła go Orderem świętego kniazia Daniela Moskiewskiego „za wkład w rozwój życia duchowego”. Trzy lata później, w uznaniu zasług na niwie umacniania

relacji kulturalnych Francji i Rosji, został udekorowany Orderem Legii Honorowej. Niestety świeżo upieczony kawaler Legii Honorowej nadszarpnął swoją reputację, kiedy francuska policja zainteresowała się grupą młodych kobiet, które ściągnął do alpejskiego kurortu Courchevel. Mimo tłumaczeń, że po prostu lubi towarzystwo pięknej i inteligentnej młodzieży, wszczęto śledztwo w sprawie domniemanego organizowania międzynarodowej siatki prostytutek. Dochodzenie zamknięto z braku dowodów, a sprawa ostatecznie rozeszła się po kościach. Do dziś krążą plotki, że cała sytuacja była ustawką, dzięki której Prochorow mógł pokazać się jako jurny macho i uciąć pogłoski na temat skrywanego homoseksualizmu.

W 2009 roku wywołał kolejny skandal, tym razem na polu ojczyźnianej pamięci historycznej. Podczas imprezy zorganizowanej na pokładzie legendarnego krążownika Aurora oznajmił, że chętnie weźmie na siebie finansowanie zabytkowego okrętu i przeprofiluje go w centrum rozrywkowe. Urażeni wyznawcy bohaterskich dziejów piotrogrodzkiego ludu trochę poszumieli, ale w końcu odpuścili. Wreszcie w czerwcu 2011 roku Prochorow postanowił zająć się polityką. I wtedy zaczęły się schody.

Karierę polityczną rozpoczął od krótkiego, ale burzliwego epizodu w partii Prawoje Dieło (Słuszna Sprawa), którą stworzono w 2008 roku, łącząc kilka pomniejszych ugrupowań opozycyjnych, by w ten sposób skanalizować rozproszonych, niezadowolonych, przeciwnych władzy polityków. Partia miała stać się kontrolowaną, liberalną frakcją systemowej opozycji, a w przyszłości ewentualną polityczną siłą liberalnego skrzydła kierownictwa państwa.

Do stanowiska szefa partii początkowo przymierzano ministra finansów Aleksieja Kudrina. W 2011 roku projektem dyskretnie zainteresował się ówczesny prezydent Dmitrij Miedwiediew, który wtedy dbał jeszcze o image nowoczesnego reformatora i technokraty. W tym samym roku na kongresie rozbałaganionej partii, rozchwianej między ideami liberalnymi, umiarkowanym konserwatyzmem i zachowawczym nacjonalizmem, zjawił się Prochorow. Na dzień dobry obiecał, że wyłoży sto milionów dolarów na rozwój ugrupowania i kampanię wyborczą, po czym natychmiast wybrano go na przewodniczącego. Spece od wizerunku zabrali się ostro do roboty. Zaczęli pozycjonować go jako samodzielnego, dynamicznego lidera, który nie daje sobą manipulować i nie ulega niczyim wpływom.

W trakcie kampanii wyborczej Prochorow skonfliktował się z wpływowym kremlowskim polittechnologiem Władisławem Surkowem i, co gorsza, podpadł Miedwiediewowi. Na czołowym miejscu listy wyborczej partii umieścił Jewgienija Rojzmana, późniejszego mera Jekaterynburga, człowieka licznych talentów i życiowych doświadczeń, kolekcjonera sztuki, wydawcę, profesjonalnego biegacza, poetę i polityka. Specyficznej romantyki dodaje biografii Rojzmana łobuzerska młodość, a zwłaszcza wyrok za drobne kradzieże i chuligaństwo, jaki odsiedział we wczesnych latach osiemdziesiątych. I właśnie to miało rozjuszyć Miedwiediewa, który dopiero co polecił przewodniczącym partii usunięcie z list wszystkich kandydatów obciążonych wyrokami sądowymi. Prochorow pouczony przez marketingowców, że ma pokazać się wyborcom jako niezależny twardziel, odmówił Miedwiediewowi zdjęcia Rojzmana z listy. Miedwiediew wściekł się, a odpowiedni ludzie wywołali przewrót w partii na przedwyborczym zjeździe. Niedługo przed wyborami Prochorow został usunięty ze stanowiska przewodniczącego.

Mimo to nie wycofał się z polityki. W grudniu 2011 roku udał się ze swym druhem Rojzmanem na aleję Sacharowa, gdzie na mityngu protestacyjnym zamierzał zamanifestować swój sprzeciw wobec przekrętów w wyborach parlamentarnych. Bezpośredni kontakt z narodem okazał się trudnym przeżyciem. Najpierw komuniści obrzucili go śnieżkami, a potem przyczepił się do niego jakiś namolny emeryt, żądając jednoznacznej odpowiedzi, co tak naprawdę sądzi o Władimirze Putinie. Na domiar złego zbiegli się dziennikarze i włączyli mikrofony. Prochorow wybrnął z sytuacji dość ogólnikowymi zapewnieniami, że naród powinien mieć wolny wybór i w ogóle dalej tak nie można.

Kiedy w 2012 roku Dmitrij Miedwiediew odchodził ze stanowiska prezydenta, Prochorow wystąpił jako liberalny, centrowo-prawicowy oponent Putina, do czego, jak wieść niesie, miał go zachęcić sam Władimir Władimirowicz. Wspierany między innymi przez część dawnej jelcynowskiej „Rodziny” wystartował w wyborach prezydenckich. Przed wyjazdem na spotkania z wyborcami otrzymał około trzydziestostronicową broszurę z opisem najważniejszych problemów, z jakimi boryka się naród. Nauczył się na pamięć cen litra mleka, bochenka chleba i kostki masła w różnych regionach. I ruszył w teren. W efekcie zebrał niecałe osiem procent głosów i zajął trzecie miejsce. Co i tak do dziś jest najlepszym

wynikiem zdeklarowanego liberała w historii rosyjskich wyborów prezydenckich.

Zachęcony sukcesem założył własną partię Grażdanskaja Płatforma (Platforma Obywatelska). Jej początki były całkiem obiecujące. Nowa partia uzyskała niezły wynik w wyborach regionalnych, ale z czasem sytuacja zaczęła się komplikować. W 2014 roku władza wychyliła się w stronę wojującego nacjonalizmu. Na początku 2015 roku demonstracyjnie zamordowano Borysa Niemcowa, ostatniego prawdziwie niezależnego i liczącego się opozycjonistę z dawnej ekipy „młodych reformatorów". Mniej więcej w tym samym okresie część działaczy Płatformy wykonała ostry zwrot przez prawą burtę, koniunkturalnie angażując się w szowinistyczny ruch Antymajdan. Prochorow wciąż był bajecznie bogatym człowiekiem i nie musiał bawić się w coraz bardziej ryzykowne polityczne spektakle. I tak oto w 2015 roku serial pod tytułem „niezależny liberalno-konserwatywny lider" skończył się po kilku niezbyt udanych sezonach.

Obejrzałem jeszcze raz cyfrowy epos o wielkim bohaterze wolności. I ruszyłem w głąb wystawy *Labirynt*. Przez kilkanaście minut kluczyłem między ekranami, wizualizacjami, zdjęciami i gablotami układającymi się w quasi-komiksową historię ZSRR, w którą zgrabnie wpleciono opowieść o rodzinie Jelcynów. Wreszcie szerokimi schodami wdrapałem się na drugie piętro poświęcone okresowi transformacji i dekadzie prezydentury Jelcyna. A przy okazji początkom demokracji, prywatyzacji, powstaniu nowych elit, albo przeorganizowaniu się starych – jak kto woli. Górna wystawa nosiła nazwę *Siedem dni* i podzielono ją na tyleż samo części. Każda opowiadała o jednym ważnym wydarzeniu z czasów przełomu i pierwszej dekady istnienia postradzieckiej Rosji.

Siedem dni pełni i doskonałości, można by powiedzieć, trzymając się biblijnej symboliki stworzenia świata w Księdze Rodzaju, niezbyt subtelnie podrzuconej przez twórców wystawy. Puściłem się w głąb owej biblii *pauperum*, przygotowanej zgodnie z najnowszymi muzealnymi trendami, pobłyskującej multimedialnymi instalacjami, czarującej makietami i ogromem ciasno upchniętych eksponatów, plakatów, obrazów i fotografii. U progu „dnia pierwszego" entuzjastycznie witał wykaligrafowany cytat z tekstu pieriestrojkowego przeboju kultowej nowofalowej grupy Kino: „Czekamy na zmiany!".

Czas cofnął się tutaj do końcówki lat osiemdziesiątych. Z dużego ekranu przemawiał charyzmatyczny reformator, który ogłaszał swoją rezygnację ze stanowiska szefa moskiewskiego komitetu partyjnego. W kolejnych pomieszczeniach wisiały dziesiątki nostalgicznych fotek pięknej subkulturowej młodzieży swobodnie koczującej na asfaltowych preriach Moskwy i Leningradu, koników sprzedających bilety na wieczorne seanse kinowe, uśmiechniętych dziewczyn popijających tani, kwaśny portwajn. I szarych ludzi czekających w kolejkach nie wiadomo na co. Czupurny Wiktor Coj, lider grupy Kino, śpiewał im wszystkim buntownicze songi o ostatniej paczce papierosów w kieszeni i sercach żądających zmian.

Można było tutaj pomarzyć o czasach, w których fajny naród miał fajnego lidera. Poczuć dreszcz nostalgii i ponucić legendarne przeboje. Na ekranach kineskopowych telewizorów śmigały teledyski „z tamtych lat" puszczane z kaset VHS. Na ścianach wisiały okładki płyt grup rockowych Akwarium, Nautiłus Pompilus, Sektor Gaza, Kino… W gablotach leżały modne wówczas książki, wśród nich stary, otwarty tom *Życia i losu* Wasilija Grossmana.

„Dzień drugi" rozpoczynał się w zrekonstruowanym sowieckim mieszkaniu, z meblościanką, wersalką, dywanikiem na ścianie. I jarzącym się telewizorem. Przez środek ekranu sunął rząd baletnic. Przypomniało mi się warszawskie spotkanie z Sergiejem Kowalowem, dysydentem i obrońcą praw człowieka. Zwłaszcza to, jak wspominał leniwy pobyt na daczy w sierpniu 1991 roku. Kiedy okazało się, że telewizja przerwała nadawanie i rozpoczęła niezapowiedzianą transmisję *Jeziora łabędziego*, nie miał wątpliwości, że coś się stało i trzeba pędzić do stolicy. Miał rację. Partyjni reakcjoniści postanowili zdławić rodzącą się w bólach republikę. Wypchnęli przed szereg zestresowanego, nieporadnego aparatczyka Giennadija Janajewa i rzucili wojsko na Moskwę.

W dalszej części ekspozycji, poświęconej puczowi sierpniowemu, można było pooglądać fotografie i zapisy wideo wjeżdżającej do Moskwy kolumny wojskowej, ludzi zatrzymujących czołgi, twarze przestraszonych żołnierzy, którzy nie chcieli strzelać do cywilów. Pucz zakończył się bodaj największym w dziejach zwycięstwem rosyjskich demokratów. Z gablot i ścian wylewała się radość i entuzjazm tłumów. Na ekranie wideoinstalacji Jelcyn unosił flagę nowego państwa, z głośników płynął jego tubalny głos.

„Podnosimy nasz rosyjski, trójkolorowy sztandar!"

„Przywrócona przez Borysa Jelcyna biało-niebiesko-czerwona flaga państwowa jest symbolem republikańskiej demokracji, wejścia w obszar »wolnego świata«” – głosił fragment opisu tej części wystawy.

Po wielkim tryumfie „dnia drugiego” przyszedł „dzień trzeci”, w którym zabrano się do ustabilizowania sytuacji gospodarczej. Czas ciężkich decyzji, które – jak to się mówi przy takich okazjach – musiał podjąć człowiek z odważną wizją. Tutaj na zwiedzających czekała krótka przypowieść o przeprowadzonej w 1992 roku reformie ekonomicznej Jegora Gajdara. Nosiła tytuł *Czas niepopularnych rozwiązań* i zaczynała się w zrekonstruowanym pustym sklepie. Radosny nastrój ustępował w tej sali należytej powadze i atmosferze koniecznego zrozumienia. Liberalna legenda wjeżdżała w pierwszy ostry wiraż.

W początkowym okresie reform Gajdara prawie połowa rosyjskiego społeczeństwa spadła poniżej granicy minimum socjalnego. Jako antidotum na puste półki i wciąż powiększający się deficyt Gajdar użył jednej z najcięższych neoliberalnych siekier, fundując społeczeństwu radykalną terapię szokową. Uwolnił ceny na większość towarów i zapełnił w ten sposób sklepowe półki. Ale rubel dramatycznie stracił na wartości. Inflacja rozhulała się na całego, a ludzie z dnia na dzień tracili oszczędności całego życia. Oczywiście ci, którzy jeszcze je mieli. Na początku lat dziewięćdziesiątych centra rosyjskich miast zamieniły się w wielkie uliczne targowiska, na których handlowano, czym się dało.

Spory o reformy Gajdara trwają do dziś. Część ekonomistów twierdzi, że inaczej po prostu nie dało się zrobić, a radykalna operacja na trupie sowieckiej gospodarki była jedynym możliwym sposobem uniknięcia całkowitego krachu, głodu i społecznej rebelii. Bez względu na to, kto w tym historycznym sporze ma rację, brutalne reformy skutecznie przekonały miliony Rosjan, że istotą liberalnej demokracji jest dziki bazarowy kapitalizm, w którym liczy się przede wszystkim bandycka siła. Nasze swojskie „Balcerowicz musi odejść” to nic w porównaniu z tym, co do dziś można usłyszeć w Rosji o Gajdarze. Tym emocjom nie daje umrzeć kremlowska propaganda, demonizując do granic absurdu ciężkie lata dziewięćdziesiąte i strasząc ludzi powrotem oszalałych liberałów i złodziei.

W 1993 roku fatalna sytuacja ekonomiczna zbiegła się z poważnym kryzysem politycznym. Od dwóch lat dość opieszale zabierano się do reformy ustrojowej, co w końcu musiało doprowadzić do czołowego zderzenia dwóch konkurujących ośrodków władzy. Mówiąc w największym

skrócie: po jednej stronie znalazł się prezydent i jego otoczenie, po drugiej Rada Najwyższa, wciąż legalny relikt po ustroju sowieckim. „Dzień czwarty” nazwano *Narodzinami Konstytucji*. Ktoś inny mógłby go jednak określić „dniem, w którym rozstrzelano parlament”, albo „szturmem na Ostankino”.

21 września 1993 roku Borys Jelcyn wygłosił orędzie telewizyjne, w którym poinformował o wprowadzeniu tak zwanego dekretu 1400, czyli decyzji o stopniowym wdrożeniu reformy konstytucyjnej. Jelcyn rozwiązał Radę Najwyższą i Zjazd Deputowanych Ludowych. W odpowiedzi część deputowanych spróbowała na mocy skleconej na kolanie uchwały odwołać Jelcyna ze stanowiska, a jego uprawnienia przekazać Aleksandrowi Ruckojowi. Pod hasłami obrony parlamentu komuniści i nacjonaliści skrzyknęli wielotysięczny tłum. Uzbrojeni bojówkarze zaatakowali sztab sił zbrojnych, siedzibę mera Moskwy i projelcynowskie centrum dowodzenia.

Na początku października resorty siłowe ostatecznie opowiedziały się po stronie prezydenta. Do Moskwy weszły elitarne jednostki armii i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zamieszki przerodziły się w dwudniowe potyczki na ulicach stolicy. Oficjalnie mówi się o ponad stu pięćdziesięciu zabitych. Liczba ofiar mogła być znacznie wyższa. Jelcyn wygrał, ale stało się jasne, że spontaniczny, demokratyczny zryw sprzed dwóch lat odsłonił zaledwie część prawdy o rosyjskim społeczeństwie.

Czerwonobrunatna koalicja była zbieraniną organizacji, które łączyła szczera nienawiść do Zachodu i tak zwanych liberałów. Nie przejmowano się przy tym semantycznymi zawiłościami pojęć. Sprawa była prosta. Liberałowie to zdrajcy ojczyzny. Tyle wystarczy. Zdrajcą był każdy, kogo z takich czy innych powodów uważano za agenta Zachodu, piątą kolumnę albo na przykład kryptosyjonistę. Antysemickimi hasłami wywijali prawie wszyscy, poczynając od jawnych neofaszystów z Rosyjskiej Jedności Narodowej Aleksandra Barkaszowa, poprzez „kozaków”, prawosławnych neoimperialistów, starych komuchów zakonserwowanych w poststalinowskiej formalinie, aż po młodych gniewnych nacjonal-bolszewików.

Jednym z symboli ich wspólnej walki była próba zajęcia telewizyjnego ośrodka Ostankino. Akcję poprowadził dawny korespondent wojenny i współpracownik KGB Wiktor Anpiłow, do spółki z byłym generałem sowieckiej armii Albiertem Makaszowem. Dla czerwonobrunatnych nacjonalistów jesień 1993 roku stała się nowym mitem założycielskim,

sakralną opowieścią o dniach bohaterskiej walki za ojczyznę, którą zdradziły i rozstrzelały zaprzedane zachodnim mocodawcom łże-elity.

„Dzień" kryzysu konstytucyjnego przedstawiono w Centrum Jelcyna z zadumą. Sami rozumiecie – ciężka sytuacja, niełatwa decyzja, na czele silny mąż stanu kierujący się dobrem ojczyzny. Tym razem wojsko do Moskwy wprowadzili niedawni demokraci. Osmolony, ostrzelany z czołgów budynek Rady Najwyższej robił fatalne wrażenie. Chroniąc republikę przed czerwonobrunatnymi zamordystami, rozniesiono gmach, bądź co bądź, legalnego organu władzy państwowej. „Ludzie w pagonach" nie zapomnieli o wystawieniu demokratom słonego rachunku za poparcie, jakiego im wtedy udzielili.

Duchy 1993 roku miały powrócić w XXI wieku. Po prawie dwudziestu latach czerwoni i brunatni bojówkarze spotkali się znowu, tym razem na ukraińskim Donbasie. W książce *Rosja – wielkie zmyślenie* Arkadij Ostrowski napisał o tym krótko i dosadnie: „Podobnie jak ludzie Barkaszowa, którzy uciekli podziemnymi tunelami, ich idee i hasła nadal tliły się pod powierzchnią rosyjskiego życia politycznego, od czasu do czasu lekko dymiąc i wydzielając cuchnące opary. Ogień ten nigdy nie został do końca ugaszony – zduszono go w nadziei, że sam się wypali. Dwadzieścia lat później na nowo podsycił go Władimir Putin, rozniecając płomienie, które pochłonęły część Ukrainy".

Pod koniec 1993 roku uchwalono nową konstytucję, która wzmacniała władzę prezydenta. Przy okazji uzależniono wymiar sprawiedliwości od polityków. W praktyce prezydent dostał prawo uznaniowego wybierania sędziów Sądu Najwyższego, Sądu Konstytucyjnego oraz sądów federalnych i prokuratora generalnego. Z czasem, znacznie bardziej niż na konstytucji władza zacznie opierać się na układach z finansową oligarchią. Biurokratyczno-polityczna kasta będzie chronić interesy oligarchów i liczyć na ich wzajemność. W końcu lat dziewięćdziesiątych sfery polityczna i biurokratyczna będą już funkcjonować w pełnej symbiozie ze sferą finansowo-biznesową.

W miejscu poradzieckiego Zjazdu Deputowanych Ludowych pojawiła się Duma Państwowa. 3 grudnia 1993 roku Rosjanie po raz pierwszy poszli wybierać deputowanych do nowego parlamentu. I pokazali demokratom środkowy palec. Wybory z ponad dwudziestoprocentowym wynikiem wygrała partia Władimira Żyrynowskiego. Ludzie masowo zagłosowali na ekipę prowadzoną przez wykrzykującego szowinistyczne hasła

operetkowego freaka. Demokratyczny Wybór Rosji zdołał uzyskać drugie miejsce, ale otrzymał niewiele ponad piętnaście procent głosów. Trzecie miejsce zajęła Komunistyczna Partia Federacji Rosyjskiej grająca na imperialnych i socjalnych, sowieckich resentymentach.

Fasadowości rosyjskiego systemu partyjnego nie wymyślił Władimir Putin. On po prostu doprowadził go do doskonałości. Już w 1993 roku kampania wyborcza dryfowała w kierunku telewizyjnej rewii fejkowych partii i polityków. Liberalno-Demokratyczna Partia Rosji Władimira Żyrynowskiego nie była przecież partią liberalną. Żyrynowski nie był nawet wojującym ksenofobem, na którego pozował. Wygadywał niestworzone rzeczy, obrażał, groził wszystkim wkoło. I niczego nie robił na serio. Do dziś jest niezastąpionym mistrzem tego gatunku.

Rok później wybuchła pierwsza wojna czeczeńska. Jej pierwszym symbolem stały się zdjęcia spalonych ciał żołnierzy porozrzucane między wrakami czołgów i wozów pancernych, po tym jak generał Pawieł Graczow wydał rozkaz noworocznego ataku na Grozny. I wprowadził do miasta kolumnę pancerną jak na paradę, bez żadnej osłony. Po grudniowej masakrze przyszły długie miesiące bezsensownych walk, pacyfikacji wiosek, ukrywania liczb zabitych cywilów i żołnierzy. Wszystko to zakończyło się kontrnatarciem czeczeńskich partyzantów, odbiciem Groznego i kompromitującym dla Rosji układem pokojowym w Chasawjurcie. A także dalszym gadaniem o zdradzie, spiskach, piątej kolumnie oraz konieczności odbudowy upokorzonego imperium.

Jelcyn grzązł w kaukaskiej wojnie i kolejnych skandalach, a w tym czasie Komunistyczna Partia Federacji Rosyjskiej czarowała elektorat nadziejami powrotu do starych, dobrych czasów. Komuniści obiecywali przywrócenie spokojnego bytu, mówili o potrzebach prostego człowieka, okiełznaniu złodziei i odbudowie potęgi państwa. Trudno powiedzieć, kto pierwszy w dziejach współczesnej Rosji rzucił hasło wstawania z kolan, ale komuniści bez wątpienia mają mocne podstawy, by ubiegać się o prawa autorskie. Tak czy owak, wstawania z kolan nie wymyśliła putinowska machina propagandowa. Co nie znaczy, że nie wycisnęła z tego sloganu wszystkich możliwych profitów.

W 1996 roku zmęczony, pijący coraz częściej i więcej Jelcyn musiał wystartować w kolejnych wyborach prezydenckich. „Dzień piąty”, w którym Borys Nikołajewicz starł się z komunistą Giennadijem Ziuganowem nazwano *Wyborczym maratonem*. Muzealna rekonstrukcja

kolejnego epickiego boju w imię wolności i demokracji niespecjalnie eksponuje wsparcie, które jego bohater otrzymał od biurokratów i oligarchów. W obawie przed nieprzewidywalnym komunistą rzucono do walki wszystkie dostępne aktywa. Pieniądze, media i zakulisowe wpływy. Establishment z trudem przeciągnął Jelcyna przez dwie ciężkie tury wyborów.

Być może niepotrzebnie tak bardzo się stresowano, bo – jak dzisiaj twierdzą niektórzy – Ziuganow nie był stuprocentowo zdeterminowany, żeby pod koniec „dnia" wygrać ów wyborczy maraton. Do dziś nieprzerwanie przewodniczy Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej, siedzi spokojnie w parlamencie jako jeden z liderów fasadowej, systemowej opozycji i nie stwarza poważniejszych problemów.

Po wyborach Jelcyn był wypalony. Rozpoczął drugą kadencję prezydentury bez dawnego entuzjazmu. Następne lata były kompletną porażką. Pijackie skandale, jawne panoszenie się potężnych oligarchów z Borysem Bieriezowskim i Władimirem Gusinskim na czele, prywatyzacyjna hucpa, tak zwana wojna bankierów – wszystko to starło ostatnie ślady jego dawnej popularności. Charyzmatyczny trybun potrafiący porywać za sobą ludzi nie istniał już od dawna. Tymczasem do najwyższych urzędów w państwie konsekwentnie ciągnęli doświadczeni, inteligentni oficerowie dawnych sowieckich służb i resortów siłowych. Powoli, bez zbędnego pośpiechu rozsiadali się w najważniejszych gabinetach.

W 1996 roku tekę ministra spraw zagranicznych uchwycił Jewgienij Primakow, dawny zastępca szefa KGB, a potem dyrektor rosyjskiej Służby Wywiadu Zagranicznego. Kompetentny, świetnie wykształcony, uczony orientalista, doświadczony analityk, specjalista w zakresie spraw bliskowschodnich, zwłaszcza – nazwijmy to eufemistycznie – problematyki arabskiego terroryzmu. Prozachodni kurs ministra spraw zagranicznych Andrieja Kozyriewa trafił do głębokich magazynów. Dwa lata później Primakow został premierem. Po nim stanowisko szefa rządu objął Siergiej Stiepaszyn – prawnik z habilitacją, były oficer radzieckich jednostek specjalnych MSW i szef rosyjskiego kontrwywiadu. Zanim Stiepaszyn został premierem, zdążył zaliczyć teki ministra sprawiedliwości i spraw wewnętrznych. Po ustąpieniu z funkcji premiera wszedł w struktury liberalnej partii Jabłoko.

Dzień szósty zapowiadał się melodramatycznie. Nosił hollywoodzki tytuł *Pożegnanie z Kremlem*. Złapałem za porządną mosiężną klamkę. Uchyliłem drzwi i wszedłem do sporego gabinetu. Znalazłem się w nim zupełnie sam. Stanąłem przed prezydenckim biurkiem. Masywne milczące telefony wylegiwały się na połyskującym blacie obok podstawki na pióra i innych, martwych atrybutów wybitnego męża stanu, człowieka wielkich decyzji i niełatwych wyborów.

W głębi gabinetu wisiało godło państwowe, pod ścianą stał regał z ozdobnymi woluminami, uszeregowanymi w równych żołnierskich rzędach. Był tu również telewizor. Sam nie wiem, który to już ekran w ciągu ostatnich dwóch godzin zaświecił mi w oczy. Borys Nikołajewicz wygłaszał ze swego gabinetu pamiętne, pożegnalne orędzie telewizyjne, z którym na przełomie tysiącleci zwrócił się do narodu.

Naród już od dawna miał go serdecznie dosyć. Zmęczony lider mówił ciężkim głosem do jeszcze bardziej zmęczonego społeczeństwa. Od kilku lat panował wszechogarniający tumiwisizm. W kolejnych raportach z badań socjologowie opisywali narastającą w ludziach apatię, cynizm, zanik wspólnotowych więzi, brak poczucia bezpieczeństwa i jakiegokolwiek wpływu na rzeczywistość. Jak to się mówi w eksperckim żargonie – w kraju pogłębiało się zatomizowanie społeczne. Ludzie nie ufali już nikomu. Władzy, instytucjom państwa, sobie nawzajem. Teoretycznie byli społeczeństwem, ale w praktyce stali się zbiorem jednostek działających na własną rękę, doraźnie łączących się w grupy, by skuteczniej załatwiać konkretne sprawy.

Ludzie koncentrowali się na własnych problemach, czyli – jak objaśniali mądrzy eksperci – na indywidualnych strategiach przetrwania. W 1998 roku przyszedł kolejny kryzys ekonomiczny, kurs rubla upadł, a załatwianie pozostawało podstawową techniką codziennego życia. Załatwiano pracę, towary, miejsca na studiach, w szpitalach i szkołach. Załatwiano skuteczne wykręty ze służby w wojsku albo skuteczne wkręty na wyższe stanowiska.

W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych myśl o przetrwaniu coraz intensywniej zajmowała również finansowy i biurokratyczny establishment. Poszukiwano kogoś, kto mógłby zastąpić starego przywódcę, uspokoić sytuację, a przy tym nie naruszać niczyich interesów. Elity całkiem serio obawiały się kolejnych fal buntów społecznych. Przebąkiwano o Jewgieniju Primakowie jako potencjalnym następcy.

Primakow był wówczas jednym z niewielu polityków, którzy cieszyli się popularnością. Ale oligarchowie i nowi biurokraci nie ufali staremu, szczwanemu KGB-iście. Primakow też nie rwał się do objęcia stanowiska głowy państwa. Dobrze rozumiał, że fotel prezydencki może okazać się dla niego krokiem za daleko. Potrzebowano kogoś innego. Nowego, atrakcyjnego, niezgranego w gabinetowych gierkach i publicznych wpadkach. A przede wszystkim kogoś, z kim da się bezpiecznie dogadać.

Władimir Putin wyglądał na średniaka. Dawny służbowy stopień pułkownika KGB na nikim nie robił wielkiego wrażenia. Spokojnie rósł sobie w petersburskim urzędzie miejskim pod okiem byłego partyjnego liberała Anatolija Sobczaka. W końcu został jego zastępcą, a w 1996 roku przeskoczył do Moskwy, wprost do administracji prezydenta państwa. Poszedł ścieżką, którą przedreptała petersburska kamaryla kremlowskich liberałów. U Sobczaka zaczynał między innymi niezmordowany Anatolij Czubajs. Pierwsze poważniejsze kroki stawiał u niego również aktualny szef Izby Obrachunkowej, a wcześniej minister finansów Aleksiej Kudrin. Spod ręki Sobczaka wyszedł German Gref, były minister rozwoju ekonomicznego i handlu, a od ponad dziesięciu lat prezes Sbierbanku i jeden z najbardziej wpływowych finansistów w kraju. Podopiecznym Sobczaka był też były premier i prezydent Dmitrij Miedwiediew.

Proces osadzania Władimira Putina na fotelu prezydenckim opisywano do znudzenia w najdrobniejszych szczegółach. Nie było żadnego przewrotu pałacowego ani spektakularnego gwałtu na demokracji. W 1998 roku Putin był już wystarczająco godny zaufania, by na krótko zostać szefem FSB. W sierpniu 1999 roku roku objął fotel premiera. Nawiasem mówiąc, po Primakowie i Stiepaszynie był już trzecim z rzędu byłym pracownikiem resortów siłowych na tym stanowisku. Jesienią 1999 roku rozpętano drugą wojnę czeczeńską, dzięki czemu przyszły prezydent mógł pokazać się jako silny wódz i obrońca narodu. Dla całkowitego bezpieczeństwa, na przełomie 1999 i 2000 roku Jelcyn ustąpił ze stanowiska, dzięki czemu Putin jako premier, zgodnie z konstytucją, przejął obowiązki prezydenta.

Ówczesny establishment prowadził go za rękę krok po kroku. Wyczyścił mu przedpole w politycznej walce. Dał fory w kontrolowanych przez siebie mediach. Opracował strategie wizerunkowe i stworzył obraz bezalternatywności jego kandydatury. Rosyjska demokracja nie zjadła własnego ogona w ciągu jednego roku. Wyniesienie na szczyt tajniaka średniej rangi było zwieńczeniem zaniechań, niemocy, systemowych

patologii i błędów beztrosko popełnianych przez całą dekadę. Ot i pierwsza tajemnica sukcesu czołowego demona światowych serwisów informacyjnych.

Od kilku minut patrzyłem w ekran telewizora. Wymięty, stary człowiek przemawiał ciężkim głosem do rodaków. Przepraszał ich za popełnione błędy i niedopatrzenia. Zapewniał, że sytuacja jest stabilna, choć nie wszystko poszło tak, jak powinno. Obiecywał, że kraj znajdzie się w dobrych rękach. Ogłosił, że teraz pełniącym obowiązki głowy państwa zostanie młody i dynamiczny Władimir Władimirowicz. Życzył wszystkim szczęścia. A gdy już ukończył swe dzieło, odpoczął dnia siódmego po całym trudzie, jaki podjął.

Opuściłem gabinet odchodzącego w odstawkę demiurga. Zgodnie z kierunkiem zwiedzania zostawiłem za plecami XX wiek i znalazłem się w Sali Wolności. Po gęstych, męczących zmysły ekspozycjach pusta przestrzeń ostatniego pomieszczenia pozwalała chwycić głęboki oddech. Za kilkusetmetrową szklaną ścianą otwierał się przyjemny widok na miejski zalew, który rozcinały dwie długie fale, rozczapierzające się za pędzącą motorówką. Jedyną ozdobą Sali Wolności był rząd haseł wykaligrafowanych wielkimi, równymi literami: wolność gospodarcza, wolność słowa, wolność zrzeszania się, wolność myśli, wolność sumienia i wyznania.

W dniu wyborów prezydenckich Jelcyn powiedział dziennikarzom, że jeśli zwycięży Putin, to wolność słowa będzie bezpieczna. Zapewnił, że tylko on może stać się jej gwarantem. To była bodaj ostatnia rzecz, którą powiedział publicznie. Potem usunął się w cień i nie zabierał głosu w sprawach kraju. 26 marca 2000 roku młody i dynamiczny sukcesor wygrał w cuglach wybory prezydenckie.

Wolność wypadła z katalogu najważniejszych wartości i retorycznych sloganów jeszcze w czasach prezydentury Jelcyna – trochę przez przypadek, bardziej z braku chęci i pomysłów. Odejście w politycznej praktyce od prób tworzenia modelu liberalnej demokracji ku rządom oligarchów i biurokratycznych koterii również nie było szczególnie przemyślanym procesem, którym z tylnego siedzenia, od początku do końca, kierowali spiskowcy z piekła rodem. Stanowiło raczej konsekwencję egoizmu, pazerności i doraźnych konfliktów wokół utrzymania wpływów, źródeł dochodów i kontroli nad złożami surowców. Problemem demokracji

w czasach Jelcyna nie były ani represje, ani autorytarne zamachy na prawa obywateli. Po prostu olano wolność jak wyświechtany frazes.

Establishment i społeczeństwo zamknęły się w paralelnych rzeczywistościach. Władza niespecjalnie interesowała się społeczeństwem i nie dbała o jego interes. Ludzie nie mieli wobec władzy większych oczekiwań. Bo niczego dobrego po niej się nie spodziewali. Każdy po prostu dbał o siebie. W 1991 roku społeczeństwo wyszło zza zamkniętych drzwi i ni z tego, ni z owego dostało wolność. Taką, jaką dostaje ktoś puszczony samopas z kluczem na szyi. Nikt od niego niczego nie oczekuje, ale też nie ma mu nic do zaproponowania. Nikt go do niczego nie zmusza, ale też nie czuje się w obowiązku, by mu w czymś pomagać. Jeśli ktoś taki ma ciekawy pomysł albo chce o czymś pogadać, to i tak nikt nie ma ani czasu, ani chęci, żeby go słuchać. Wie zatem, że sam musi sobie jakoś radzić, i zdaje sobie sprawę, że jego możliwości są bardzo mizerne. Dla świętego spokoju kogoś takiego zazwyczaj sadza się przed telewizorem.

Putin zaczął bardzo efektownie. Ludzie dowiedzieli się, że wszyscy złodzieje dostaną za swoje. I zaraz bezczelni, zadufani w sobie oligarchowie Borys Bieriezowski i Władimir Gusinski musieli pakować manatki i wiać za granicę. Ludziom coraz bardziej sugestywnie opowiadano, że są potomkami zwycięzców. Ich przodkowie stworzyli największe lądowe imperium na świecie, ich armie wkraczały do Paryża i zdobywały Berlin. A poza tym – uczeni radzieccy, bomba atomowa, balet, hokej, wielka literatura i lodołamacz Lenin…

W pierwszych latach XXI wieku rozpoczęła się dobra koniunktura na rynku surowców. Ceny ropy, gazu i innych kopalin poszły w górę. Reformy lat dziewięćdziesiątych w końcu zaczęły przynosić efekty. Ludziom wreszcie powodziło się lepiej. Ledwo wiążący koniec z końcem pracownicy budżetówki mogli sobie pozwolić na zagraniczne wakacje i zacząć umiarkowanie korzystać z życia. Z trudem odrastająca od ziemi klasa średnia poczuła, że chyba nadszedł lepszy okres, a nowy prezydent nie przestawał jej opowiadać o konieczności wzmacniania drobnego i średniego biznesu, niwelowaniu różnic majątkowych, uczciwym prawie i obniżeniu podatków.

W ten sposób w pierwszej dekadzie XXI wieku zaczął krzepnąć niepisany putinowski konsensus. Społeczeństwo miało zostawić sprawy państwa w rękach „poważnych ludzi”, nie przejmować się niczym i w nic nie wnikać. A zwłaszcza nie zawracać sobie głowy polityką i działalnością

społeczną. W zamian „poważni ludzie” mieli zatroszczyć się o to, żeby każdemu dostało się co nieco ze wspólnego tortu. Okazało się, że dotąd nikt nie zaproponował ludziom niczego atrakcyjniejszego.

W 2003 roku do więzienia trafił niechcący się podporządkować oligarcha Michaił Chodorkowski, a do rąk kumpli nowego prezydenta trafiło należące do niego tłuste przedsiębiorstwo naftowe Jukos. Ludzie niespecjalnie się tym przejęli. Bo niby dlaczego mieli się przejąć? Czy wcześniej ktoś przejmował się nimi? Wyglądało na to, że nowi po prostu zaprowadzają swój porządek. Może trochę na rympał, no i przy okazji sami kradną, ale przynajmniej w odróżnieniu od tamtych trochę się podzielą. Wreszcie zbliżała się względna stabilność.

Co by się stało, gdyby po chudych latach dziewięćdziesiątych wiatr ekonomicznej koniunktury złapał w żagle ktoś inny? Co by było, gdyby egoistyczni biurokraci i oligarchowie pomyśleli dalej niż czubek własnego nosa, a „czekiści” nie dali rady rozepchnąć się w rządowych gabinetach? Gdyby kolejnym prezydentem Rosji został na przykład Borys Niemcow, najzdolniejszy z grupy „młodych reformatorów”? Odważny, intelektualnie przerastający pozostałych o głowę. Utalentowany fizyk, który do polityki nie trafił zza prezydialnych stołów dawnych komitetów partyjnych ani zza zgrzebnych biurek na Łubiance, tylko z laboratorium Gorkowskiego Naukowo-Badawczego Instytutu Radiofizyki, jednego z czołowych ośrodków fizyki teoretycznej w ZSRR.

Jako gubernator obwodu niżnonowogrodzkiego pokazał, że można dobrze zarządzać administracją obwodową, nie będąc wcześniej regionalnym kacykiem partyjnym. Jako minister paliw i energetyki potrafił postawić się Bieriezowskiemu, kiedy ten był u szczytu potęgi i zabierał się do przejęcia kontroli nad Gazpromem. Jako wicepremier w rządzie Czernomyrdina i Kirijenki udowodnił, że nawet pod koniec lat dziewięćdziesiątych dało się być uczciwym urzędnikiem państwowym. Przecież Jelcyn traktował go niemal jak syna i przez jakiś czas ponoć właśnie jego widział w roli swojego następcy. Zaiste piękna byłaby to historia. Tyle że to wszystko są gdybania bez najmniejszej wagi.
Co najwyżej mogą dziś poruszyć serca starych ideowych demokratów.

Wróciłem myślami do Sali Wolności. Wciąż patrzyłem przez szklaną ścianę, czując przyjemny nawiew klimatyzacji. No więc komu jest dziś potrzebny ten gigantyczny rezerwat liberalnych mitów? Czemu ma służyć? Kiedy w grudniu 2015 roku przecinano wstęgi i uroczyście otwierano

Centrum, nie minął nawet rok od śmierci Niemcowa, bezczelnie zastrzelonego niemal pod samym murem Kremla. We wschodniej Ukrainie trwała wojna. Zachód wprowadzał sankcje, a państwowe media kontynuowały bachanalia na cześć „powrotu Krymu do rodzimej przystani".

Tymczasem na otwarciu Centrum osobiście zjawił się Władimir Putin. Wygłosił krótką przemowę, w której ciepło wypowiadał się o idei Centrum. Już sam fakt, że w ogóle pofatygował się do Jekaterynburga, bardzo wiele znaczył. Oczywiście impreza odbyła się poza ramami głównych propagandowych widowisk dla telewizyjnego ludu.

O to również zapytałem Siergieja Parchomienkę, który tamtego wieczora był w Centrum Jelcyna. Siergiej dość konsekwentnie trzymał się osobistych motywacji.

– Centrum jest jednym z ostatnich ogniw wiążących Putina z jego początkami – zaczął wyjaśniać.

No i co? W 2015 roku, w kulminacyjnym momencie neoimperialnej balangi, niecały rok po śmierci Niemcowa, tuż po wprowadzeniu armii do Syrii nagle ogarnęły go sentymenty? Zebrało mu się na wspominki starych dobrych czasów, kiedy nie musiał wstrzykiwać botoksu w policzki, nie łupało go w krzyżu, a na międzynarodowych szczytach wszyscy witali go radosnymi uśmiechami?

– Centrum Jelcyna nie stoi w kontrze do systemu – tłumaczył Siergiej.

Coś podobnego, pomyślałem. Ale z drugiej strony byłoby to bardzo w stylu Putina, człowieka cierpiącego na chorobliwą chęć kontrolowania wszystkiego. Najpierw otworzyć potężne gmaszysko, które skupiałoby opozycyjne symbole i idee. Potem stanąć na czele kontestatorskiego środowiska, następnie w obliczu historycznej próby samemu się obalić. I zamienić u steru siebie samego na samego siebie. To dopiero byłby napoleoński manewr, a jaka piękna telewizyjna transmisja wyszłaby z tego.

– Tu chodzi raczej o pokazanie innych możliwości – Siergiej rozwijał swoją myśl – na przykład wobec dominującej dziś, bardzo konserwatywnej, nacjonalistycznej polityki kulturalnej i historycznej. Takiej, jaką prowadzi minister kultury Władimir Miedinski. I wszyscy krążący wokół niego filmowcy, usłużni artyści czy zideologizowani historycy z Rosyjskiego Towarzystwa Wojenno-Historycznego. To oni dostają dziś ogromne środki finansowe od państwa. Kręcą hurapatriotyczne filmy o wojaczce. Otwierają potężne muzea, urządzają wystawy, wydają tony publikacji. Manipulują

historią tak, jak im się podoba. Wykoślawiają sens stalinowskich zbrodni. Czasami wprost wychwalają Stalina. To właśnie oni odpowiadają za zamykanie takich miejsc jak muzeum pamięci ofiar łagru Perm-36. Odwracają do góry nogami znaczenia takich wydarzeń jak zbrodnia katyńska i mord na waszych oficerach. Nie można całkowicie oddać im pola.

– I co? Państwo za to płaci? Ot tak sobie? – zapytałem.

– Większość środków na działanie Centrum pochodzi z prywatnych dotacji. To dobrze, że są wpływowi ludzie, którzy nie ograniczyli się do postawienia Jelcynowi pomnika pod same chmury, tylko stworzyli przestrzeń, w której pewne idee mogą przetrwać – Siergiej mówił dalej. – Jelcyn to bardzo niejednoznaczna postać, z różnymi ciemnymi stronami – dodał sentencjonalne zdanie, obowiązkowo wygłaszane przy okazji rozmów o Jelcynie. – Ale to nie jest tylko muzeum jego wielkości. Tutaj odbywają się konferencje, projekcje, seminaria, bardzo różne działania. Innymi słowy, pewni ludzie dostali możliwość robienia czegoś alternatywnego. Daleko od stolicy, w bardzo ograniczony i niszowy sposób. I na razie nikt się w to nie wtrąca. Oczywiście są pod ścisłą kontrolą. Muszą się samoograniczać, działać bardzo ostrożnie, żeby się nie podłożyć. To szalenie wąska przestrzeń, dokładnie taka, jaką udało się wykroić w dzisiejszych warunkach. Nie należy utożsamiać jej w sensie dosłownym z działalnością opozycyjną – podsumował ostrożnie.

Kiedy wyszedłem z wielkopowierzchniowej rekwizytorni ideowych alternatyw, chłodek klimatyzowanych sal i korytarzy ustąpił popołudniowemu, miejskiemu zaduchowi. Z oddali odezwały się cerkiewne dzwony. Monotonny dźwięk metalicznych uderzeń niósł się po szerokiej powierzchni miejskiego zalewu. Spojrzałem w kierunku strzelistej świątyni górującej na wzgórzu za przeciwległym brzegiem.

W niskim popołudniowym słońcu pobłyskiwało pięć półokrągłych czasz zaprojektowanych w bizantyjskiej manierze. Dokładnie tyle, ile nakazuje jeden z kanonów prawosławnej architektury. Cztery kopuły i cztery dzwonnice to czterech ewangelistów. W środku piąta, najwyższa – Chrystus Zbawiciel. Nad nią, wysoko ku niebu wyprężał się złoty krzyż. Dolna belka krzyża migotała słonecznymi refleksami. Jej lewy kraniec unosił się ku niebu, wskazując drogę do raju, którą zgodnie z tradycją miał udać się skruszony łotr. Prawy kraniec opadał w dół, wskazując drogę do piekieł niechcącemu się pokajać zatwardziałemu łotrowi.

Monumentalną Cerkiew na Krwi pod wezwaniem Wszystkich Świętych w Ziemi Rosyjskiej Jaśniejących wzniesiono dokładnie w miejscu, gdzie stał dom inżyniera Ipatjewa. Jej fundamenty sięgały pozostałości po piwnicy, w której przed stu laty zamordowano Mikołaja II, jego najbliższą rodzinę i służbę.

6 Rosyjska Golgota

U zbiegu ulic Karla Liebknechta i Pierwszomajowej, z wyżyn szerokiego billboardu po ojcowsku uśmiechał się brodaty mężczyzna w patriarszym kukole na głowie. Kukoł sięgał wyprodukowanych w fotoszopie bieluśkich obłoków, które unosiły się na tle czyściutkiego, błękitnego tła. Pod jego okiem kilku facetów zabierało się do blokowania chodnika. Uwijali się w pośpiechu obuci w stare sznurowane traperki, okutani w znoszone kangurki, z poważnymi minami, z rumianymi policzkami, wilgotnymi od potu czołami. Brakowało im tylko wiaderek z grzybami w rękach. Skończyli. Przed chwilą był tu jeszcze zwykły chodnik i kawał trawnika, a teraz pojawiła się zakazana strefa. Faceci rozstawili się za rozciągniętą w poprzek chodnika foliową taśmą i posyłali czujne spojrzenia spod spranych polowych czapek.

Udało mi się wyminąć ich w ostatniej chwili. Grupę starszych kobiet, które szły ciut z tyłu, zatrzymała foliowa zapora. Strażnicy w leśnym kamuflażu stanęli rzędem i gorliwie pilnowali ekskluzywnej przestrzeni, niedostępnej dla zwykłych ludzi. Oni mogli tu stać, inni nie mogli. Kobiety gestykulowały, starały się coś tłumaczyć, pokazywały ikonę, którą przyniosły ze sobą w dużej ortalionowej torbie. Na próżno. Nie wolno i już. Odpuściły. Przez chwilę stały zdezorientowane, aż wreszcie ruszyły z powrotem, niepewnie rozglądając się na wszystkie strony.

Znalazłem się na tyłach Cerkwi na Krwi. W dole łagodnie opadającego zbocza Wzgórza Wozniesienskiego ciągnęła się zielona parkowa połać. Przemknąłem wzdłuż cerkiewnej nawy i wpadłem na szeroki plac, niemal w sam środek grupy jeszcze poważniejszych facetów w średnim wieku. Brodatych, ubranych w wymyślne galowe mundury, spodnie z lampasami i oficerskie czapki z żółtymi otokami. Na ich piersiach wisiały krzyże, ordery, wstążki, wisiorki, fikuśne odznaki upamiętniające niecodzienne zasługi, rocznice, otwarcia, zamknięcia i obchody. Na rękawach mieli czerwono-żółte naszywki z dumnym napisem „Uralskie Wojsko Kozackie”.

Obwieszeni orderami brodacze skupili się wokół krępego popa, który przemawiał do nich niskim głosem. Wyglądali jak ucharakteryzowani

statyści, którym asystent reżysera tłumaczy coś podczas próby generalnej, w przeddzień operetkowej premiery. Uśmiechnąłem się do popa i automatycznie skinąłem głową. Spojrzał trochę zdziwiony, ale nie przestał mówić do grupki brzuchatych atamanów. Wyprostowałem plecy i ruszyłem sprężystym krokiem przed siebie, starając się sprawiać wrażenie, że dobrze wiem, co tu robię i dokąd idę. Bądź co bądź, też miałem brodę.

Ukradkiem rozglądałem się jak ktoś, kto pomylił adresy i prosto z ulicy wpadł w sam środek urodzinowego balu przebierańców, nie zna gospodarza, ale podaje wszystkim rękę, zastanawiając się, komu należałoby złożyć życzenia. Grunt to nie wypaść z roli. Paradnym krokiem sunąłem przez plac. Przed okazałym gmachem prawosławnego Centrum Carskiego minąłem wystrojone kobiety, czynowników w obcisłych garniturach i spiczastych pantoflach, kilku hierarchów w pysznych omorfionach i mniej ważnych diakonów w skromnych orarionach, niecierpliwie kręcących się z telefonami przy uchu. Przed wejściem do Centrum Carskiego zbiła się w kupkę grupa uczennic miejscowej szkoły medycznej, przebranych w pielęgniarskie fartuchy sióstr miłosierdzia z czasów I wojny światowej.

Parne lipcowe popołudnie wyciskało ze wszystkich ostatnie poty. Ale co zrobić, patriarcha mógł nadjechać w każdej chwili. A wraz z nim relikwie wielkiej księżny Elżbiety, które przyleciały do Jekaterynburga prosto z monasteru Świętych Marty i Marii w Moskwie. W końcu wydostałem się z zamkniętego placu między świątynią a Centrum Carskim i siedzibą uralskiej eparchii. Trafiłem na asfaltowy podjazd, mijając grupkę policjantów, zszedłem na dół i myknąłem pod taśmą wprost na ulicę Carską. U podnóża otoczonego metalowymi płotkami i taśmami Wzgórza Wozniesienskiego wszedłem między grupki gapiów czekających na przyjazd patriarszej kolumny z relikwiami wielkiej księżny Elżbiety Romanowej.

Żonę wielkiego księcia Siergieja Romanowa zabito w kolejną noc po śmierci Mikołaja II w niewielkim miasteczku Ałapajewsk, oddalonym od Jekaterynburga o jakieś trzy godziny jazdy samochodem. W 1992 roku sobór Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej wyniósł Elżbietę na ołtarze, co było czystą formalnością. Przeszło dziesięć lat wcześniej Elżbietę kanonizowała emigracyjna Rosyjska Cerkiew Prawosławna Poza Granicami Rosji, wówczas jeszcze oddzielona od krajowej Cerkwi. Relikwie wielkiej księżny Elżbiety po raz pierwszy trafiły do Rosji w 2004 roku. Wtedy przybyły z Jerozolimy, dokąd wywieźli je biali uciekinierzy. Przez rok krążyły po

Rosji i kilku innych krajach byłego ZSRR jako symbol narodowego pokajania za dekady bezbożnego komunizmu.

Stanąłem na chodniku. Tak jak inni zadarłem głowę i wbiłem wzrok w wysmukły gmach Cerkwi na Krwi. Z tej perspektywy wydawała się jeszcze wyższa. Zza elektronicznych bramek i metalowego płotka sympatycznie uśmiechał się przystojny mężczyzna w wykwintnym huzarskim mundurze. Kilkumetrowy, brodaty dżentelmen przyglądał się ludziom z wielkiego baneru, zawadiacko trzymając się pod boki.

O Mikołaju II napisano już chyba wszystko, co było do napisania. Sam też zdążył sporo o sobie opowiedzieć. Z dzienników, które zaczął prowadzić jeszcze w dzieciństwie, wyłania się obraz człowieka inteligentnego i nie najgorzej posługującego się piórem. Nie ma sensu wymyślać, jak w głębi duszy mógł czuć się w roli władcy, która spadła na niego z racji urodzenia. Być może gdyby miał jakiś wybór, to trzymałby się z dala od tronu, generałów, ministrów i ludu, który wiecznie czegoś od niego chciał, a przy tym, delikatnie rzecz ujmując, raczej nie darzył go bezgraniczną miłością.

Mikołaj Romanow urodził się jako następca tronu. Miał być carem i nim został. Nadawał się do tej roli czy nie, musiał rządzić potężnym imperium ciągnącym się od Drwęcy i Warty do Morza Japońskiego. Wychowywał się w cieniu dominującego, silnego i zawsze zwycięskiego Aleksandra III. Mikołaj nie był typem przywódcy na wzór i podobieństwo ojca. Miewał problemy z podejmowaniem decyzji, gubił się w sytuacjach kryzysowych.

Za młodu trochę poszumiał, ale życie rodzinne dość szybko przypadło mu do gustu i sprawiało większą radość niż rządzenie krajem. Był kochającym ojcem i dość spolegliwym mężem. A przy tym człowiekiem głęboko i szczerze wierzącym. Znacznie lepiej odnajdował się w zaciszu podstołecznej rezydencji w Carskim Siole, gdzie z czasem coraz bardziej izolował się od świata. Możliwe, że ktoś inny na jego miejscu stałby się lepszym władcą.

Pierwsze tragiczne wydarzenia położyły się cieniem na panowaniu Mikołaja, zanim jeszcze zdążył zasiąść na tronie. W maju 1896 roku na polach podmoskiewskiej Chodynki urządzono wielki festyn z okazji koronacji. Przygotowano podarki, ogromne ilości jedzenia i picia. Gawiedź skuszona darmowymi bufetami już w nocy zaczęła tłumnie ściągać na miejsce. Wczesnym rankiem ktoś puścił plotkę, że obsługa bufetów rozdaje jedzenie i prezenty znajomym. Tłum ruszył w kierunku stoisk. Ludzie

zaczęli się tratować. Ci, którzy napierali z tyłu, nie widzieli, co dzieje się z przodu. Radosne święto zamieniło się w katastrofę. Tysiące spanikowanych ludzi zadeptywało się, usiłując znaleźć wyjście z pułapki.

Mimo to zdecydowano, że koronacja powinna odbyć się zgodnie z planem. Poddani poczuli się zignorowani. W przypadkowej tragedii zaczęto dopatrywać się złej wróżby. Od samego początku lud uważał, że za nowym carem ciągnie się nieszczęście. Niecałe dziesięć lat później poddani znowu poczuli się zdradzeni przez monarchę.

Na przełomie 1904 i 1905 roku skapitulowała rosyjska załoga Port Artur. Wojna z Japonią zaczęła się źle, a najgorsze dopiero miało nadejść. W kraju pogłębiał się kryzys. Ceny za niektóre towary podniosły się prawie o połowę, dochody ludności spadały. W Petersburgu wybuchły potężne strajki. W styczniu 1905 roku około dwustutysięczny tłum prowadzony przez prawosławnego duchownego Gieorgija Gapona ruszył przez miasto, wierząc, że car wysłucha skarg swojego ludu. Pokojowo nastawieni demonstranci szli z ikonami i portretami Mikołaja II, wznosili hasła antyrządowe, ale wychwalali cara. Tymczasem ich monarcha zadekował się w Carskim Siole, kategorycznie odmawiając wyjazdu do stolicy i spotkania z delegacją demonstrantów.

Wojsko niespodziewanie otworzyło ogień do ludzi. Kozacy ruszyli na nich z szablami. Zamieszki trwały do wieczora. Władze przyznały się do śmierci prawie stu osób, ale realna liczba ofiar mogła być wielokrotnie wyższa. Wydarzenia przeszły do historii jako krwawa niedziela. Mikołaj II zyskał przydomek „Krwawy”. I miał coraz więcej powodów, by unikać poddanych.

Po dwóch latach I wojny światowej Mikołaj II stał się skrajnie niepopularny. W wojsku narastało zniechęcenie. Spora część przemysłowców, handlowców i elit finansowych miała serdecznie dość monarchii. Decyzja o przewrocie dojrzała pod koniec 1916 roku. Spiskowcy bez większych problemów przekonali do swoich planów część frontowych generałów, a więc ludzi mających wówczas realny wpływ na wydarzenia. W marcu 1917 roku car wyruszył pociągiem z Mohylewa do Piotrogrodu. W Pskowie pociąg zatrzymano, a Mikołaja zmuszono do podpisania manifestu, w którym zrzekł się tronu. Koronę przekazano jego bratu, wielkiemu księciu Michałowi. Ten jej nie przyjął. Władza trafiła w ręce Komitetu Tymczasowego Dumy, a niedługo potem uformował się Rząd Tymczasowy.

Rosyjska Cerkiew, stojąca dotychczas wiernie u boku Romanowów, przyjęła to do wiadomości bez demonstracyjnych gestów. Car abdykował, a jego brat nie przyjął korony. Synod uznał więc nową władzę za legalną. Z nabożeństw w cerkwiach wycofano modlitwę za cara i dynastię. Wielcy książęta, krewni i bracia Mikołaja również zaakceptowali stan faktyczny. Jeden po drugim uznawali legalność władzy. Do szefa Rządu Tymczasowego, księcia Gieorgija Lwowa, płynęły telegramy z gratulacjami od wielkiego księcia Aleksandra, wielkiego księcia Mikołaja, wielkich książąt Michała, Borysa i Gieorgija. Mikołaj miał prawo czuć się oszukany i porzucony przez wszystkich.

Po zrzeczeniu się tronu „obywatel Romanow” został odeskortowany do Carskiego Sioła, gdzie na jakiś czas zamieszkał z rodziną. Po kilku miesiącach pod naciskiem Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich został aresztowany. Rząd Tymczasowy niespecjalnie się temu sprzeciwiał. Wszyscy woleli, żeby pozbawiony korony władca nie pozostawał zbyt długo w pobliżu stolicy. Mógł stać się niebezpiecznym symbolem konsolidującym zwolenników ancien regime’u i innych niezadowolonych. Pod pretekstem groźby samosądów i zamieszek na przełomie lipca i sierpnia 1917 roku Romanowowie zostali przewiezieni do Tobolska.

Po przewrocie październikowym problem „obywatela Romanowa” zmienił znaczenie. Na początku 1918 roku bolszewicy po raz pierwszy zaczęli mówić o konieczności osądzenia cara pod zarzutem zdrady narodu. Do roli przewodniczącego komitetu oskarżycielskiego rwał się Lew Trocki, który uwielbiał monumentalne spektakle z sobą samym w roli głównej, co oczywiście nie wróżyło Romanowom niczego dobrego. Plan Trockiego, by przeprowadzić widowiskowy sąd nad „ciemiężcą ludu”, nigdy nie został urzeczywistniony.

W kwietniu 1918 roku bolszewicy przetransportowali Romanowów na Ural. Elżbietę z częścią krewnych uwięziono w Ałapajewsku. Mikołaj z żoną, dziećmi i osobistą służbą z Tobolska trafił do Jekaterynburga. Osadzono ich w samym centrum miasta w domu inżyniera Ipatjewa na zboczu Wzgórza Wozniesienskiego. Dom ogrodzono dwoma wysokimi płotami, okolicę obsadzano wojskiem, a wewnątrz zakwaterowano pododdział zaufanych wartowników.

Wczesnym latem 1918 roku bolszewicy tracili kontrolę nad kolejnymi regionami. W kierunku Uralu parł Korpus Czechosłowacki i wojska

admirała Aleksandra Kołczaka. Decyzja o egzekucji Mikołaja II i jego najbliższych zapadła najprawdopodobniej około 12 lipca. Bolszewicka wierchuszka, niepewna dalszych losów wojny, nie chciała brać na siebie bezpośredniej odpowiedzialności. Uralscy czekiści zlikwidowali Romanowów w pośpiechu i bez procesu. Na ulicach Jekaterynburga rozwieszono obwieszczenia, w których podano do wiadomości, że w mieście wykryto białogwardyjski spisek. Lakonicznie poinformowano, że ktoś chciał uwolnić „ukoronowanego kata", więc prezydium uralskiego komitetu obwodowego musiało podjąć decyzję o rozstrzelaniu. I tyle. Ludzie niespecjalnie przejęli się tą informacją. Mieli na głowie wystarczająco dużo własnych problemów.

Odpowiedzialność za śmierć Romanowów spadła na Jakowa Swierdłowa. To on, a nie Lenin, był w tamtym okresie przewodniczącym Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego, a więc formalnie najważniejszą osobą w państwie. Swierdłow miał na Uralu rozległe kontakty, które zaczął nawiązywać jeszcze jako nastolatek, tuż przed rewolucją 1905 roku. Przedstawiciel Komitetu Centralnego na Uralu, niejaki Szaja Gołoszczekin, był jego zaufanym człowiekiem. Swierdłow dobrze znał Jakowa Jurowskiego, dowódcę ochrony domu i szefa grupy egzekucyjnej.

Jurowski wspominał po latach swoją znajomość ze Swierdłowem. Twierdził, że poznał go w Jekaterynburgu w 1905 roku. Właśnie wtedy Swierdłow miał zwerbować go do kolportowania komunistycznej bibuły. Po wpadce Jurowski ulotnił się za granicę. Przez jakiś czas mieszkał w Stanach Zjednoczonych, skąd wyjechał do Niemiec, gdzie przeszedł na luteranizm. Za granicą nie stracił kontaktu z komunistyczną siatką. Uzbierał trochę grosza i potajemnie wrócił do Rosji. W Tomsku otworzył pracownię jubilerską, a potem wyniósł się do Jekaterynburga, gdzie założył zakład fotograficzny i punkt naprawy zegarków. Nie klepał biedy.

Mimo wszystko poczucie poniżenia i resentyment musiały tkwić w nim od wczesnego dzieciństwa. Urodził się na zsyłce, dokąd jego ojciec Chaim, niebogaty żydowski szklarz, trafił za drobne kradzieże. Jurowski wyrósł na człowieka gruboskórnego i bezwzględnego. Z pewnością ciekawiej byłoby zobaczyć w nim dramatyczną, skomplikowaną postać. Demonicznego apostoła zemsty ludu albo wykuty w kuźni wielkich idei grom historycznych burz. Jeśli pozbędziemy się jednak pokusy tworzenia

skrzydlatych metafor, to naprawdę niewiele zostanie z tej postaci. Swierdłow cenił go przede wszystkim za brak wahania w działaniu.

Egzekucją na ostatnim rosyjskim carze kierował zdemoralizowany, pozbawiony skrupułów bandzior. Idealny młot rewolucji. Dostał do ręki nagan, a że mordowanie przychodziło mu bez trudu, zrobił to, co do niego należało. Tysiące takich jak on służyło potem w NKWD i likwidowało ludzi na masową skalę. Bez żadnej metafizyki, tajemniczych głębin i drugiego dna.

Po wszystkim Jurowski miał opisać nocne wydarzenia z 16 na 17 lipca 1918 roku. Swobodnie opowiedział o tym, w jaki sposób on i jego ludzie dobijali swoje ofiary strzałami z rewolwerów i dokłuwali je bagnetami. O tym, jak w sprawnym mordowaniu przeszkadzały im drogocenne kamienie zaszyte w ubraniach ofiar, bo ostrza bagnetów trafiały na twarde przedmioty. A potem o tym, jak jego ludzie powrzucali ciała na ciężarówkę i bez jasnego planu jeździli nocą po lesie, szukając miejsca, w którym mogliby się ich pozbyć. Najpierw usiłowali wrzucać je do starych zalanych sztolni, potem próbowali palić, zalewali kwasem siarkowym i zakopywali w różnych miejscach. Gdzie dokładnie? Tego nie sprecyzował.

Spojrzałem jeszcze raz na wielką reprodukcję fotografii młodego Mikołaja II. Od strony ulicy Feliksa Dzierżyńskiego zbliżała się grupa chłopaków w strażackich mundurach. Przeszli przez chodnik i wyszli na środek ulicy Carskiej. Rozstawili się równym szeregiem na asfalcie. Teraz nie można było nawet podejść w pobliże bramek i barierek odgradzających świątynię od chodnika. Kolumna z patriarchą i relikwiami była już ponoć niedaleko.

Pod cerkiew schodzili się ludzie, wśród nich starsze kobiety, te same, które kilkanaście minut wcześniej zostały przegnane przez poważnych spoconych facetów w grzybiarskich uniformach. Kobiety stanęły naprzeciw świątyni i z dużej sportowej torby wydobyły ikonę. Święta rodzina Romanowów spoglądała z niej w kierunku miejsca, w którym przed stu laty popełniono morderstwo.

Dom inżyniera Ipatjewa stał tu jeszcze przez ponad pół wieku po śmierci Romanowów. W połowie lat siedemdziesiątych rozeszły się pogłoski o planach wpisania go na listę obiektów światowego dziedzictwa UNESCO. W 1975 roku ówczesny szef KGB Jurij Andropow zwrócił się do Biura Politycznego KPZR z poufnym poleceniem jak najszybszego usunięcia kłopotliwego budynku. Dom był jednym z ostatnich wyrazistych symboli

wiążących ówczesny Swierdłowsk z dawnym Jekaterynburgiem. Stał w centrum miasta jak niebezpieczna wiadomość z przeszłości, dowód dokonanego tu mordu założycielskiego.

Aleksiej Iwanow tak napisał o miejscu zbrodni sprzed lat:

> Szczery i uczciwy fabryczny chłopaczyna Swierdłowsk nie chciał mieć nic wspólnego z tą zbrodnią. Nic mi do tego! Morderstwo popełniono w Jekaterynburgu! W centrum radzieckiego, robotniczego Swierdłowska stał zakazany, nietykalny dom Ipatjewa – przeklęta wyspa starego miasta, ostatni ślad imienia Jekaterynburg. Już tylko śmierć carskiej rodziny, owa straszna ofiara, utrzymywała imię miasta, nieprzerwaną ciągłość historii i spójność duszy.

W 1977 roku, niedługo przed sześćdziesięcioleciem egzekucji, dom Ipatjewa przestał istnieć. O rozbiórce zdecydowano na najwyższych szczeblach, a „fabryczny chłopaczyna Swierdłowsk" nie miał zbyt wiele do gadania. Chcąc nie chcąc, bezpośrednio odpowiedzialnym za zniszczenie historycznego symbolu stał się ówczesny sekretarz swierdłowskiego obwodowego komitetu partii Borys Jelcyn.

Likwidacja domu Ipatjewa pociągnęła za sobą znacznie poważniejsze konsekwencje, niż miałoby pozostawienie go w spokoju i pozwolenie mu na ciche popadnięcie w ruinę. Dopóki był, ludzie mijali go raczej obojętnie. Kiedy zniknął, pozostawił po sobie wyrwę, puste miejsce, które przyciągało uwagę, niepokoiło.

„Rozbiórka domu Ipatjewa wyglądała tak, jakby władza zacierała ślady przestępstwa. Akcja władzy przyniosła odwrotny efekt: nieobecność domu okazała się gorsza od jego obecności" – napisał o tym Iwanow.

Ludzie zamiast zapominać, zaczynali interesować się przeszłością miasta. Na początku lat osiemdziesiątych ukazała się książka Borysa Riabinina *Gorod gdie żywiom* [Miasto, w którym żyjemy]. Riabinin przeprowadził rozmowy o Swierdłowsku z artystą Lwem Epple, przyrodnikiem Władimirem Bolszakowem i architektem Giennadijem Bieliakinem. Książkę wydano w stosunkowo niewielkim nakładzie. Mimo to wywarła spory wpływ na miejscową inteligencję.

Pierwszy raz tak szczerze mówiono o dewastacji krajobrazu kulturowego miasta i niszczeniu przez uralskie kombinaty środowiska naturalnego. To z kolei prowadziło do kolejnych dyskusji. Przecież unicestwiano nie tylko ekosystem i stare domy. Sowiecki walec przejechał przede wszystkim po żyjących tutaj ludziach. Również puste miejsce po

domu Ipatjewa, milczenie wokół zamordowanej tam carskiej rodziny nabierały nowego znaczenia. Nad nieopłakanymi ofiarami i niezwerbalizowanymi, skazanymi na zapomnienie krzywdami zaczęły unosić się toksyny.

Pod koniec lat osiemdziesiątych wokół pustego wzgórza zakręcił się swierdłowski dziennikarz i społecznik Jurij Lipatnikow – energiczny organizator o wyrazistych, nacjonalistycznych poglądach. To on miał po raz pierwszy skrzyknąć ludzi w rocznicę śmierci Romanowów. 16 lipca 1989 roku kilkadziesiąt osób przyszło na zbocze wzgórza nad miejskim zalewem, by upamiętnić ostatniego rosyjskiego cara. Ludzie przynieśli ze sobą krzyże i świece.

Na miejscu zjawiła się milicja. Jeszcze kilka lat wcześniej pewnie wszyscy na długo trafiliby za kratki, ale w 1989 roku władza nie była już tak ostra. Ludzie zostali pobici i przepędzeni, ale zatrzymanych zwolniono. Rok później na zboczu Wzgórza Wozniesienskiego postawiono drewniany krzyż, który wkrótce ukradli nieznani sprawcy. Następnego, metalowego krzyża nikt już nie ruszył. Miejsce zaczęto nazywać Rosyjską Golgotą, a nieistniejący ipatjewski dom stał się obecny jak nigdy dotąd.

Z czasem zniszczenie domu wpisano w czarną legendę Borysa Jelcyna. Uznano, że podniósł rękę na święty ofiarniczy ołtarz, na którym przelano krew ostatniego rosyjskiego cara. Prawicowi ortodoksi bez zbędnych subtelności wmontowali rozbiórkę domu w mit wielkiej antyrosyjskiej zdrady, która miała dokonać się w czasach prezydentury Jelcyna. Wojna ciemnych sił przeciw ojczyźnie to dzień świstaka, który wciąż zaczyna się od nowa i nie ma końca. Świętokradcza profanacja, rozpad imperium, reformy Gajdara, upokarzający finał pierwszej wojny czeczeńskiej, złodziejska prywatyzacja… – to proste kontinuum. W tej opowieści wszystko łączy się ze wszystkim: także komunista żydowskiego pochodzenia Jurowski z regionalnym partyjnym sekretarzem, który potem został pierwszym prezydentem Rosji, a morderstwo w ipatjewskim domu z hiperinflacją i kryzysem gospodarczym w ostatniej dekadzie XX wieku.

Na początku lat dziewięćdziesiątych ze wzgórza po raz pierwszy wyruszyła skromna, nocna procesja. Niewielka grupka wiernych zabrała się wieczorem 16 lipca 1990 roku w miejscu, gdzie kiedyś stał dom Ipatjewa. Po plenerowym nabożeństwie ludzie udali się do podmiejskiego, leśnego uroczyska Ganina Jama, już wtedy uważanego za prawdopodobne miejsce ukrycia szczątków carskiej rodziny.

Za jednego z odkrywców tego miejsca uchodzi Gielij Riabow, scenarzysta, pisarz i prawnik, a przy okazji konsultant Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ZSRR. W 1976 roku Riabow wspólnie z geologiem Aleksandrem Awdoninem rozpoczęli poszukiwania szczątków ciał. Po mniej więcej trzech latach pracy, analizowania relacji Jurowskiego, przeglądania starych map i planów podmiejskich kopalni, eksplorowania terenu i badania gleby poszukiwacze znaleźli fragmenty ludzkich kości w podmiejskim lesie, niedaleko wioski Koptiaki. Riabow upublicznił to odkrycie dopiero w 1989 roku, udzielając wywiadu gazecie „Moskowskoje Nowosti".

Innym znanym poszukiwaczem carskich szczątków był poeta i reportażysta Władimir Sołouchin. Na miejsce ukrycia ciał miał go przyprowadzić stary mieszkaniec Koptiaków. Staruszek zarzekał się ponoć, że kiedy był jeszcze dzieckiem, widział na własne oczy, jak w pobliskim lesie palono szczątki carskiej rodzinny. Nie wszyscy uwierzyli w sensacyjne opowieści Sołouchina. Ekscłonek kolegium redakcyjnego pisma „Młoda Gwardia" był znany z bujnej wyobraźni i dość bezczelnych konfabulacji.

Sołouchin wypłynął na szerokie wody w 1958 roku. Jako początkujący działacz związku literatów wygłosił na moskiewskim zjeździe pisarzy kwiecistą przemowę, domagając się w imieniu młodzieżowego aktywu usunięcia z kraju Borysa Pasternaka. Z poetycką subtelnością nazwał go między innymi zgniłym jajem i wyciśniętą cytryną. Zaszczuwanego ze wszystkich stron Pasternaka zmuszono w końcu do odmowy przyjęcia przyznanej mu wówczas Literackiej Nagrody Nobla.

Sołouchin nie błyszczał talentem. Był za to członkiem słusznych literackich kółek i stowarzyszeń. Zajmował się głównie opiewaniem prostego życia wiejskiego ludu. Dość topornie łączył sowiecką propagandę z nacjonalizmem, ledwie skrywanym pod fasadą klasowego zamiłowania do prostego „ruskiego człowieka". W końcowym okresie pieriestrojki definitywnie porzucił sierp i młot na rzecz prawosławnego krzyża i wielkoruskich fantazji. Na początku lat dziewięćdziesiątych stał się ulubionym pieszczochem jekaterynburskiej eparchii i jednym z bardów kultu Mikołaja II. Na stronie prawosławnego klasztoru w uroczysku Ganina Jama można nawet przeczytać, że to właśnie on odnalazł miejsce ukrycia zwłok rodziny Romanowów.

Na początku lat dziewięćdziesiątych sprawą carskich szczątków oficjalnie zajęła się prokuratura obwodu swierdłowskiego. Zbadano nieczynne szyby w okolicach Koptiaków. Wydobyte szczątki trafiły do laboratorium medycyny sądowej w Jekaterynburgu. Przez kilka lat badali je genetycy. Dotychczas udało się zidentyfikować i potwierdzić tożsamość dziewięciu osób. Wśród odnalezionych znacznie później, bo dopiero w 2007 roku, były szczątki następcy tronu, carewicza Aleksego Romanowa.

Pierwszy krzyż w Ganinej Jamie poświęcono w połowie lat dziewięćdziesiątych. Nocą z 16 na 17 lipca 1995 roku, w rocznicę śmierci Romanowów, odprawiono przed nim pierwszą liturgię upamiętniającą carską rodzinę. Od tamtej pory specjalne nabożeństwo odbywa się regularnie przy okazji corocznych nocnych procesji. Klasztor Świętych Cierpiętników Carskich na uroczysku Ganina Jama zbudowano dopiero w XXI wieku.

Znienawidzona przez ultrakonserwatywną prawicę i nacjonalistów jelcynowska ekipa, chcąc nie chcąc, przyłożyła rękę do kształtowania się współczesnego kultu Mikołaja II. Zabójstwo Romanowów przedostało się do szerokiej świadomości społecznej w czasach Jelcyna. Latem 1998 roku odnalezione pod Jekaterynburgiem ludzkie kości pochowano w soborze Pietropawłowskim w Sankt Petersburgu. Za organizację uroczystego pochówku w soborze Pietropawłowskim odpowiadał demokrata i zdeklarowany liberał Borys Niemcow. Pochówek miał odpowiednią oprawę. Wzięli w nim udział rosyjscy oficjele i pracownicy zagranicznych placówek dyplomatycznych. Ale ówczesny patriarcha Moskwy i Wszechrusi Aleksy II nie przybył. Przyczyna nieobecności zwierzchnika rosyjskiej Cerkwi była dość prozaiczna. Cerkiew do dziś nie potwierdziła autentyczności szczątków Mikołaja II. W 2015 roku wznowiono śledztwo, a prace badawcze trwają.

Pierwszą społeczną zbiórkę środków na budowę cerkwi w pustym miejscu po domu inżyniera Ipatjewa przeprowadzono jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych. Sporządzono plany architektoniczne przyszłej świątyni. Bogaci przedsiębiorcy i prości wierni nie poskąpili datków. Mimo to budowa nie ruszyła, a zebrane środki zniknęły. W 1995 roku z dwoma milionami dolarów przeznaczonymi na zbożny cel ulotnił się świątobliwy ojciec Joann Gorbunow. Przez kilka kolejnych lat trwały ponowne zbiórki i przymiarki do realizacji świętego dzieła. Sprawy nie ułatwiała pazerność urzędników. Budowę miał blokować ówczesny naczelny architekt regionu

Grigorij Mazajew, który też chciał zarobić swoje na intratnej inwestycji. Wreszcie nadeszła historyczna chwila.

W 2000 roku sobór Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego oficjalnie uznał Mikołaja, Aleksandrę i ich dzieci za świętych. Autentyczność szczątków Mikołaja II, odnalezionych w okolicach uroczyska Ganina Jama pod Jekaterynburgiem uznano za sprawę drugorzędną wobec duchowego i symbolicznego wymiaru okoliczności śmierci rodziny Romanowów. Istotną rolę w doprowadzeniu do kanonizacji odegrała Rosyjska Cerkiew Prawosławna Poza Granicami Rosji. Śmierć Mikołaja II była bardzo ważnym symbolem tożsamości i pamięci dla kilku pokoleń rosyjskiej emigracji. Cerkiew emigracyjna wyniosła Romanowów na ołtarze już w 1981 roku, a po upadku ZSRR wysunęła ich kanonizację jako jeden z warunków zjednoczenia z krajową Rosyjską Cerkwią Prawosławną Patriarchatu Moskiewskiego.

Wobec nowych świętych użyto rosyjskiego terminu *strastotierpcy*. Trudno przełożyć to pojęcie na język polski. Odpowiada mu forma cierpiętnik, ale biorąc pod uwagę dość częste, ironiczne konotacje tego pojęcia, pewnie lepiej brzmiałoby słowo męczennik. To z kolei ma swój rosyjski odpowiednik w znaczeniu słowa *muczenik*. A zgodnie z kanonem jest ono – mówiąc najkrócej – zarezerwowane dla tych spośród świętych, którzy świadomie oddali życie za wiarę i w imię Chrystusa. Męczennikami w kościołach chrześcijańskich są na przykład ci święci, którzy nie zaparli się wiary i nie wyrzekli się Boga, wiedząc, że zapłacą za to własnym życiem. Ci, których zamęczono z powodu ich wiary.

Sobór rosyjskiej Cerkwi uznał, że w przypadku Romanowów rzecz miała się nieco inaczej. Zamordowano ich z przyczyn politycznych, a nie religijnych. Są niewinnymi ofiarami uśmierconymi rękami bezbożników, ale nie męczennikami w sensie dosłownym. Warto przy okazji pamiętać, że sobór nie uznał Mikołaja II za świętego cara. Romanowowie trafili na ołtarze jako zwykli ludzie, święci z powodu głębokiej, godnej naśladowania pobożności, którą w opinii soboru wykazywali się za życia i w chwili zadanej im cierpiętniczej śmierci. Świadome nazywanie ich męczennikami to poważne naruszanie kanonu. Nie mówiąc już o głoszeniu odkupicielskiego znaczenia ich śmierci.

23 września 2000 roku, po ogłoszeniu decyzji soboru, patriarcha Aleksy II pobłogosławił plac budowy nowej cerkwi w Jekaterynburgu. Od tamtej chwili wzniesienie jekaterynburskiej świątyni hierarchowie

potraktowali jako zadanie priorytetowe. Prace ruszyły pełną parą. Finansowe kombinacje wzięto w karby, dzięki czemu pieniędzy starczyło również na biurowo-kulturalne Centrum Carskie. Niecałe trzy lata później, w rocznicę egzekucji Romanowów, 16 lipca 2003 roku odbyła się uroczysta konsekracja strzelistej, sięgającej nieba Cerkwi na Krwi.

Tłum wiernych zapełnił ulice i park nad brzegiem zalewu. Tak jak dziś świątynię otoczono szczelnie płotkami i milicyjnymi kordonami. W cerkiewnej nawie, pod pachnącym świeżutką farbą sufitem, starczyło miejsca tylko dla duchownych dostojników i regionalnego establishmentu z gubernatorem obwodu swierdłowskiego oraz merem Jekaterynburga na czele. Błogosławiono, gratulowano sobie i przecinano wstęgi.

Na Władimira Władimirowicza trzeba było jeszcze chwilę poczekać. Kilka miesięcy później i on zawitał w święte progi, przywożąc ze sobą nie byle kogo, bo kanclerza Niemiec Gerharda Schrödera. Kto wie, może wtedy pan Gerhard usłyszał głos z nieba wieszczący mu objęcie w przyszłości posady przewodniczącego Rady Dyrektorów Rosnieftu i szefa komitetu akcjonariuszy spółki Nord Stream AG?

Z bezmyślnego gapienia się na wysoki front świątyni wyrwało mnie poruszenie wśród stojących wokół ludzi. Sznur limuzyn, luksusowych SUV-ów i terenówek szybko zbliżał się w kierunku Cerkwi na Krwi. Kolumnę otwierał mikrobus. Zza jego odsuniętych bocznych drzwi wyglądali agenci Federalnej Służby Ochrony. Pełen profesjonalizm, okulary przeciwsłoneczne, słuchawki w uszach, automaty w rękach. Jak w amerykańskim filmie. Mikrobus zatrzymał się i zablokował drogę. Kolumna skręciła w prawo i wjechała pędem na podjazd pod dziedzińcem Centrum Carskiego. Dwie terenówki z przyciemnianymi szybami zamykające kolumnę zatrzymały się na podjeździe, ze środka wyskoczyło kilku ochroniarzy z bronią gotową do strzału. Agenci FSO wyglądali, jakby przybyli odbijać zakładników, a nie eskortować duszpasterza przywożącego dobrą nowinę i święte relikwie.

Kolumna zaparkowała pod przybytkiem. Patriarcha wysiadł ze swojej limuzyny. Każdy pomniejszy hierarcha i czynownik ze swojej. Święte relikwie przybyły na miejsce.

Koniec przedstawienia.

7 Patriarsze *skriepy*

W Cerkwi na Krwi rozpoczęło się uroczyste spotkanie. Przed patriarchą Moskwy i Wszechrusi Cyrylem I ustawili się jekaterynburscy urzędnicy municypalni, delegaci regionalnych struktur siłowych i organizacji kozackich. Oczywiście wraz z czarującymi małżonkami i sympatycznymi brzdącami. Nie zabrakło miejsca dla biznesmenów i przemysłowców, którzy pamiętali o jałmużnie na chwałę cerkiewnych dzieł. Należytego splendoru spotkaniu przydawał gość specjalny – Paweł Edwardowicz Romanow, praprawnuk cara Aleksandra III, „honorowy członek zjednoczenia członków rodu".

Patriarcha wygłosił krótką, osobistą mowę i przystąpił do wręczania odznaczeń w dowód wdzięczności za datki na rzecz świątyni. Na piersiach kilku uralskich dyrektorów i prezesów koncernów zawisły Ordery Świętego Przewielebnego Serafima Sarowskiego. Pozostałym, nieco mniej zasłużonym w dziele wsparcia i ogólnych wysiłkach, rozdano pobłogosławione ikonki przedstawiające świętą księżnę Elżbietę Romanową. Potem przed oblicze patriarchy przyprowadzono grupkę nieco speszonych ludzi.

Kilka miesięcy wcześniej w Kemerowie spłonęło centrum handlowe Zimowa Wiśnia, grzebiąc w zgliszczach kilkadziesiąt ofiar. Rodzina Bieliakowów ukłoniła się przed Jego Świątobliwością. W imieniu tych, którzy ucierpieli, Bieliakowowie wyrazili wdzięczność za wsparcie i duszpasterską wizytę. Im również wręczono święte obrazki. Po wszystkim patriarcha zszedł do dolnego kościoła i oddał się krótkiej modlitwie. Kilkanaście minut później świta szybkim krokiem wymaszerowała na zewnątrz. Między świątynią a parkingiem rozdano w biegu kilka obrazków, po czym Cyryl I zniknął w limuzynie.

Kawalkada luksusowych aut stoczyła się ze świątynnego dziedzińca i w szczelnej obstawie Federalnej Służby Ochrony pomknęła w siną dal. Patriarcha miał napięty grafik. W kilka dni musiał załatwić sporo spraw. Poważnie pogadać z tym i owym. Objechać najważniejsze uralskie chramy i święte miejsca. Wyskok do samego Ałapajewska to prawie cały dzień.

A na koniec trzeba będzie odprawić nocne nabożeństwo i poprowadzić jubileuszową procesję.

Cyrylowi I nie można odmówić zdolności oratorskich. Potrafi teatralnie intonować, głosić głębokim tembrem i nawoływać z wyżyn ołtarza. Ale stroni od spontanicznych spotkań z ludźmi, nie mówiąc już o ujmowaniu ich poczuciem humoru i bezpośredniością. Jeśli już musi, to stara się rozmawiać z wiernymi jak najkrócej. Bez przerwy otacza go szczelna ochrona, która nie dopuszcza do niego nawet kapłanów spoza najbliższego otoczenia.

Rosyjskie media nie nabijają wierszówek dywagacjami o tym, w jaki sposób Jego Świątobliwość zaskoczy dziennikarzy i czym znowu zachwyci wiernych. Przejażdżki na rowerze i sesje zdjęciowe w publicznym transporcie nie są w jego stylu. Dawno temu darował sobie próby odgrywania bliskiego ludziom duszpasterza, fraternizującego się i łamiącego konwencje. Jest dość przewidywalny i prawie nigdy nie improwizuje. Nie zawsze tak było.

W 2009 roku, kiedy po śmierci Aleksego II Władimir Michaiłowicz Gundiajew zasiadał na patriarszym tronie, wielu ludzi łudziło się nadziejami, że to właśnie on stanie się hierarchą nowego typu. Uchodził za człowieka inteligentnego i dobrze rozumiejącego współczesność. Po latach ideowego dryfu nowy przywódca rosyjskiej Cerkwi zaczął mówić o reformach, zapowiadał ożywienie dialogu ekumenicznego i otwarcie się na tak zwane środowiska pozacerkiewne. Bardzo dobrze wypadał przed kamerą i mikrofonem. Znał media od podszewki. Wcześniej sam prowadził telewizyjne programy religijne.

Optymiści wierzyli, że wybór Gundiajewa otwiera szansę stworzenia Cerkwi na miarę XXI wieku. Niektórzy widzieli w nim potencjalnego emisariusza zbliżenia Rosji z Zachodem po kryzysie wywołanym wojną przeciw Gruzji. Byli nawet tacy, którzy bardzo chcieli ujrzeć w nim szczerego demokratę w kapłańskiej riasie. Na początku 2012 roku, w trakcie serii masowych protestów, dość teatralnie zaapelował do ówczesnego premiera Władimira Putina o podjęcie dialogu z opozycją, co mogło wydawać się gestem świadczącym o jego niezależności.

Jeszcze przed objęciem tronu Patriarchy Moskwy i Wszechrusi Władimir Gundiajew uchodził za zwolennika poważniejszego dialogu z Kościołem rzymskokatolickim. Bacznie przyglądał się Watykanowi. Puszczał oko do bliskich mu światopoglądowo kościelnych

konserwatystów. W szczególności ciekawił go scentralizowany sposób zarządzania strukturą kościelną.

Jako nowy patriarcha Cyryl I rzeczywiście otworzył rosyjską Cerkiew na dialog z Kościołem katolickim. Część krytyków widziała w tym głównie politykierstwo, ale wydaje się, że w pierwszych latach naprawdę zależało mu na zbliżeniu z zachodnim chrześcijaństwem. Spotkał się z papieżem, a relacje Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej i Kościoła uległy poprawie.

W odróżnieniu od Aleksego II nie widział w „łacinnikach" konkurentów mogących chytrze podbierać jego owieczki. Zdawał sobie sprawę, że niszowy rosyjski katolicyzm nie może być realnym zagrożeniem dla wielowiekowej tradycji prawosławnej. Znacznie poważniejszym problemem okazywała się misyjna działalność Kościołów i grup protestanckich, które od wczesnych lat dziewięćdziesiątych podbijały rynek usług duchowych, działając w ekspansywnym stylu sieciowych firm marketingowych. Protestanckie wspólnoty religijne oferowały atrakcyjne formy duchowości, wychodziły bezpośrednio do ludzi i odnosiły sukcesy.

Nowy patriarcha objechał Rosję i pielgrzymował do byłych republik radzieckich. Od samego początku krył się w tym dość konkretny polityczny zamysł. Cyryl I dostosowywał do nowych warunków tradycyjną ideę Świętej Rusi rozumianej jako jedna, wspólna przestrzeń prawosławia. W ten sposób sprytnie przekraczał granicę państw powstałych po rozpadzie ZSRR i starał się budować na nowo poczucie wspólnoty. Rosja, Ukraina i Białoruś miały znów zrosnąć się w jedną ideologiczną całość. Już nie pod czerwonym sztandarem z sierpem i młotem, ale w ramach sakralnej prawosławnej wspólnoty Świętej Rusi.

Cyryl I zabrał się również do podboju młodych serc. Marzyły mu się wielkie wspólnotowe spektakle, podczas których porywa za sobą prawosławną młodzież. Z pewnością uważnie przyjrzał się katolickim dniom młodzieży, być może również masowym imprezom Wspólnoty z Taizé. Zaczęto organizować spotkania patriarchy z młodymi. Skończyło się to sporym rozczarowaniem. Zganiani na religijne masówki młodzi ludzie beznamiętnie patrzyli na brodatego wujaszka, który próbował czarować ich swoimi wyobrażeniami o młodzieżowym języku. I szybko zapadali się w swoich telefonach komórkowych.

W 2011 roku Cyryl I udał się z wizytą duszpasterską do Charkowa. Liczył na entuzjazm młodzieży i szczere modlitwy nieprzebranych tłumów wiernych Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego.

Wszystko skończyło się totalną porażką. Podczas liturgii przez pustawą betonową przestrzeń centralnego placu Charkowa niósł się wiatr. W cieniu gargantuicznego pomnika Włodzimierza Lenina i wielkiej czarnej sceny, na której patriarcha odprawiał nabożeństwo, zbiła się niewielka grupa ludzi, w większości emerytek. Chcąc ratować sytuację, cerkiewni spece od wizerunku odpalili fotoszopa. Na zdjęciach zaroiło się od ludzi, ale tylko skończony bałwan mógł liczyć na to, że nikt nie zauważy zmultiplikowanych komputerowo głów. Nie był to ostatni taki numer.

Rok później Cyryl I znów spektakularnie potknął się na fotoszopie. W sieci zaczęły krążyć jego zdjęcia z zegarkiem kosztującym trzydzieści pięć tysięcy dolarów, który fotoedytorzy usunęli z jego ręki. Potem zaliczał kolejne wpadki. Każdy następny rok przynosił coraz większe rozczarowania i gasił nadzieje optymistów. W oczy kłuły potężne limuzyny, coraz szczelniejsza obstawa Federalnej Służby Ochrony. Przy okazji sarkastycznie pytano, w jakim państwowym urzędzie i na jakim stanowisku pracuje patriarcha moskiewski, że przyznano mu rządowych agentów ochrony. Sporo mówiono i pisano o patriarszych jachtach, kosztownych nieruchomościach, elitarnych apartamentach.

Cerkiew jest zamożną instytucją, temu nikt nie zaprzeczy. Można jednak spojrzeć na to z innej strony. Olbrzymie bogactwa dostojników cerkiewnych oszałamiają proste owieczki, ale z pewnością nie robią już tak wielkiego wrażenia na upasionych biurokratach. Słynny zegarek wart trzydzieści pięć tysięcy dolarów nie jest czymś, na co nie może sobie pozwolić dobrze ustawiony czynownik. Pracownika kierowniczego stanowiska w którymś z ministerialnych departamentów w Moskwie stać już na znacznie droższe gadżety. Nie mówiąc o tym, na co mogą sobie pozwolić prezesi koncernów przemysłowych i wydobywczych, dyrektorzy dużych spółek, elita wojskowa i policyjna.

Wyceniany na cztery miliony dolarów jacht Pallada należący do patriarchy Cyryla I to maleńka łupinka w porównaniu z tym, w jakich warunkach może sobie popływać na przykład Igor Sieczin. Pełnomorski jacht Saint Princess Olga należący do szefa koncernu naftowego Rosnieft jest wart około stu pięćdziesięciu milionów dolarów. Wbrew pozorom wybór nazwy pływającej rezydencji nie świadczy o głębokim przywiązaniu Igora Iwanowicza do pradawnej tradycji Świętej Rusi. Święta kniazini Olga to po prostu imienniczka byłej żony Sieczina, gwiazdki Instagrama Olgi Rożkowej.

Obowiązkowymi znakami statusu wysokich kast polityki, biurokracji, biznesu i popkulturowego gwiazdozbioru są nie tylko jachty i młode piękne małżonki. O prestiżu świadczą również luksusowe nieruchomości. Cerkiewni hierarchowie znani są ze swego upodobania do prawosławnych wybrzeży Czarnogóry i Grecji. Ich posesje nie przewyższają jednak standardem tego, na co mogą sobie pozwolić dyrektorzy w kombinatach przemysłowych czy cała armia wysokich menedżerów w spółkach państwowych i bankach.

Trudno kogokolwiek przekonywać, że hierarchowie rosyjskiej Cerkwi to skromni mężowie żyjący jedynie o wodzie, chlebie i modlitwie. Z pewnością wielu z nich długo będzie dobijać się do rajskich bram, zanim odpokutuje swe ziemskie słabości, zwłaszcza grzeszne zamiłowanie do materialnych uciech. Z pewnością znajdą się i tacy, których po wieczne czasy diabli smażyć będą w piekielnej fryturze. Warto jednak znać kolejność dziobania. Hierarchia zależności między władzą państwową a Cerkwią ma wielowiekową tradycję, ale to, co widzimy dzisiaj, ma więcej wspólnego z epoką ZSRR niż z pradawną Rusią.

Po ataku Hitlera na ZSRR Stalin zmiękczył politykę wobec Cerkwi. Potrzebował nie tylko mocnych patriotycznych symboli czy duchowego wsparcia popów, ale przede wszystkim pełnej sakralizacji słusznej walki z najeźdźcą. Na początku lutego 1943 roku Armia Czerwona w bitwie o Stalingrad złamała natarcie hitlerowskiej koalicji i zaczęła przejmować inicjatywę. Na odbijanych terytoriach ZSRR znajdowały się otwarte z przyzwolenia niemieckiej administracji parafie prawosławne. Stalin nie bardzo mógł sobie pozwolić na to, by wyzwolicielska armia radziecka na dzień dobry zatrzaskiwała drzwi do świątyń, które dopiero co pozwolił otworzyć okupant.

Na początku września 1943 roku Stalin, Mołotow i średniej rangi oficer NKWD, niejaki Gieorgij Karpow, spotkali się z trzema pozostałymi przy życiu metropolitami prawosławnymi Sergiuszem, Mikołajem i Aleksym. Stalin w niespodziewanie życzliwym tonie oznajmił im, że należałoby zebrać synod i zająć się odnowieniem działalności Cerkwi, którą, jak zapewnił, bardzo ceni za głęboki patriotyzm. Skonsternowani metropolici odpowiedzieli, że sprawa z pewnością wymaga czasu, bo w aktualnej sytuacji ciężko będzie szybko zebrać odpowiednią liczbę hierarchów. Metropolita Sergiusz nieśmiało napomknął towarzyszowi Stalinowi, że w ostatnim czasie wyniknęły pewne problemy kadrowe. Józef

Wissarionowicz w mig pojął, o co chodzi, i poprosił o przygotowanie listy duchownych, których należałoby zwolnić z łagrów. Okazało się, że spośród dwudziestu trzech hierarchów, których metropolici chcieli zaprosić na obrady, zdołał przeżyć zaledwie jeden.

Mimo wspomnianych obiektywnych problemów kadrowych na polecenie Stalina niezwłocznie zabrano się do odtwarzania Cerkwi. Na stanowisko patriarchy wybrano schorowanego metropolitę Sergiusza, którego wkrótce zastąpił metropolita Aleksy. Szefem nowo powołanej Rady do spraw Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej przy Radzie Komisarzy Ludowych ZSRR mianowano doświadczonego enkawudzistę Gieorgija Karpowa.

Awansowany do stopnia pułkownika Karpow wcześniej zasłużył się przede wszystkim sumiennym prześladowaniem duchownych prawosławnych, więc w opinii Stalina wszelkie praktyczne niuanse związane z tak zwaną kwestią religijną miał w małym palcu. Nie mylił się. Karpow zarządzał sprawami Cerkwi, wykazując się najwyższym profesjonalizmem, dopóki w 1960 roku nie wyleciał z partii i „organów” w ramach czyszczenia starych stalinowskich złogów. Na jego miejsce wyznaczono nowego zaufanego towarzysza.

Po 1945 roku resztce opornych duchownych pozwolono po cichu skończyć życie w obozach i zabrano się do kształcenia nowych, odpowiednio wyselekcjonowanych kadr. Władimir Gundiajew wstąpił do Leningradzkiego Seminarium Duchownego w 1965 roku. Jego mentorem stał się władyka Nikodem. Nauczyciel wpoił swojemu uczniowi głębokie przekonanie, że Cerkiew powinna funkcjonować jak jeden całkowicie spójny organizm. Wszelkie chropowatości i niejednoznaczności, umysłowy ferment czy swobodne dyskusje jej nie służą. Wewnętrzne środowiska cerkiewne powinny być centralnie zarządzane przez jednego sprawnego lidera. A sama Cerkiew jest elementem wertykalnie zorganizowanego aparatu administracyjnego państwa. W czasach, kiedy Gundiajew nasiąkał naukami głoszonymi przez świątobliwego Nikodema, państwem tym był Związek Radziecki.

Uległość wobec władzy i głębokie poczucie całkowitej zależności od jej aparatu zdeterminowały zachowanie duchownych pokolenia Gundiajewa. Ludzie ci z jednej strony wlali się w wertykalny system administracji państwowej, z drugiej strony żyli w poczuciu zmarginalizowania i niepełnowartościowości. Część z nich – zwłaszcza tych, którzy pełnili

wysokie funkcje w cerkiewnej hierarchii – nie tylko musiała lojalnie współpracować z aparatem bezpieczeństwa, ale po prostu była w nim zatrudniona.

Gundiajew, będąc już patriarchą, nie zapomniał o wskazówkach swojego mistrza. Okazał się bardzo sprawnym administratorem i reformatorem. Udało mu się dokonać zmiany pokoleniowej na kierowniczych stanowiskach. Osadził w eparchiach (biskupstwach) sporą grupę oddanych mu duchownych młodszego pokolenia. Z ich pomocą zcentralizował Cerkiew i zaprowadził w niej specyficzny biurokratyczno-wodzowski styl zarządzania.

Jego poprzednik Aleksy II realnie respektował kolektywne podejmowanie decyzji przez Święty Synod, czyli zjazd metropolitów zarządzających eparchiami. Cyryl I nie zlikwidował Synodu, ale w dużym stopniu ograniczył jego wpływ na życie Cerkwi. Na pierwszy plan wysunął Najwyższą Radę Cerkiewną, coś w rodzaju całkowicie podległego mu cerkiewnego rządu. Patriarcha moskiewski w praktyce podejmuje najważniejsze decyzje sam, ewentualnie po konsultacjach z gronem kilku najbliższych współpracowników.

Krytycy zarzucają Cyrylowi I, że pod jego zwierzchnictwem Rosyjska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego pod wieloma względami zamieniła się w państwowy departament duchowości. Jego istotę znakomicie oddaje fragment słynnego telewizyjnego kazania patriarchy, w którym tak określił życie duchowe i religijne: „To jest duchowe zespolenie [ros. *duchownaja skriepa*], to linia samoidentyfikacji naszego narodu, to ta wspólnotowość, którą jeśli zniszczymy, to z pewnością zniszczymy też naszą ojczyznę”.

Trudna do przełożenia na język polski, wieloznaczna fraza *duchownaja skriepa* momentalnie stała się internetowym viralem i niewyczerpanym zdrojem beki. Warto jednak przyjrzeć się na serio temu, co Cyryl I mógł mieć na myśli, puszczając w obieg owo memogenne pojęcie. A zwłaszcza na lansowaną przez niego cerkiewną koncepcję relacji między prawosławiem, państwem, społeczeństwem i narodem.

Jako naczelny kapłan Cyryl I z oczywistych powodów uważa, że właśnie prawosławie jest podstawowym źródłem norm, wartości, światopoglądu, mentalności, ładu społecznego i tak dalej. Stąd też biorą się jego wywody o duchowym zespoleniu, bez którego naród się rozpadnie. Jednak Cyryl I nie może się zbytnio rozpędzać.

Przede wszystkim nie wolno mu zapominać, kto jest w domu gospodarzem, i stawiać się ponad władzą państwową. W procesie państwowej, ideologicznej obróbki społeczeństwa Cerkiew jest bardziej narzędziem niż aktywnym podmiotem. Cyryl I nie może również zapominać, że nie wszyscy Rosjanie należą do kręgu tradycji prawosławnej. Rosjanami państwowymi są również kaukascy czy tatarscy muzułmanie, kałmuccy i buriaccy buddyści czy wyznawcy judaizmu. Islam, buddyzm i judaizm, podobnie jak prawosławie, mają w Rosji status tak zwanych religii tradycyjnych, czyli nazywając rzeczy po imieniu – państwowych. Większość mieszkańców współczesnej Rosji to etniczni Rosjanie, niemal z definicji wrzucani w tradycję prawosławną. Również z powodów historycznych prawosławie ma dominującą pozycję względem pozostałych konfesji, bo krótko mówiąc, prawosławie było religią władców. Ale Cerkiew musi respektować różnorodność religijną. Patriarcha radzi sobie z tym dość gładko. Stosuje wobec nieprawosławnych Rosjan bardzo użyteczne słowo *priczastnost'* (zbieżność, współobecność, zaangażowanie). Obok dosłownego znaczenia to słowo miewa w języku rosyjskim szerokie konotacje sakralne.

W ten sposób Cyryl I wyprowadził ideę rosyjskiego prawosławia poza ramy czysto religijne, nadając mu znacznie cywilizacyjne. Dzięki temu na przykład kałmucki buddysta może przynależeć do cywilizacji prawosławnej. Będzie kimś w rodzaju młodszego brata, ale wpisuje się w rosyjską, prawosławną tożsamość. W odróżnieniu od doktrynerskiego etnicznego nacjonalizmu nie jest wykluczany poza ramy narodowej wspólnoty. Przeciwnie – jako *priczastny* zostaje wessany w nią z dobrodziejstwem inwentarza. Byleby uznał nadrzędność wspólnej rosyjskiej tożsamości państwowej, która jest cywilizacyjnie zakorzeniona w prawosławiu. Między innymi z tych powodów współczesny cerkiewny nacjonalizm bywa określany jako „nacjonalizm cywilizacyjny", czyli przekraczający wąsko pojmowane ramy etniczne i narodowe.

Co jednak zrobić z ogromnymi rzeszami ateistów czy zatwardziałych postkomunistów? Ten problem w imieniu patriarchy rozwiązał jeden z naczelnych cerkiewnych nacjonalistów, protojerej Wsiewołod Czaplin. Dość prostolinijnie orzekł, że jeśli ateista podziela tradycyjny, czyli głoszony przez Cerkiew, światopogląd, to nie musi chodzić do cerkwi czy wierzyć w Boga, by uznać go za człowieka cywilizacji prawosławnej. No i sprawa załatwiona. Możesz sobie być ateistą, a jeśli chcesz, to nawet

wierzyć w Latającego Potwora Spaghetti, ale jeśli chcesz przynależeć, musisz podzielać nasz światopogląd, nasze normy i wartości, a przynajmniej ich nie kwestionować.

Sprawa wygląda dość groteskowo, bo konsekwentnie trzymając się pomysłów Cerkwi, można dojść do wniosku, że naród jest przede wszystkim wspólnotą moralną i światopoglądową. Żeby było weselej, jako tradycyjny patriota możesz sobie śmigać z portretem Stalina albo czerwoną gwiazdą na koszulce i nie przestawać być człowiekiem cywilizacji prawosławnej. Gorzej, jeśli z jakichś powodów wypadasz poza ramy definiowanego odgórnie patriotyzmu. Zgodnie z tym sposobem myślenia, jeśli nie uznajesz za własny określonego modelu tradycji, to nie przynależysz. I do widzenia. Stąd między innymi wynika huraganowa beka ze *skriep*, która od jakiegoś czasu hula w rosyjskojęzycznym segmencie internetu.

Z punktu widzenia potrzeb państwa Cerkiew powinna być przydatna, produkować spójną wspólnotę społeczną i wspierać władzę na froncie ideologicznym. Jeżeli etniczno-narodowy nacjonalizm jest jednym z najniebezpieczniejszych, odśrodkowych zagrożeń dla wieloetnicznego i wieloreligijnego państwa rosyjskiego, to Cerkiew powinna ów nacjonalizm skanalizować. A jeżeli prawosławie ma być również podstawą wspólnej tożsamości jednego ukraińsko-białorusko-rosyjskiego ludu z głównym ośrodkiem duchowym w Moskwie, to Cerkiew ma się brać do roboty. I głosić, że to właśnie Rosja stanowi centrum cywilizacji prawosławnej. Czym rosyjska Cerkiew zajmuje się z największym oddaniem i szczerym entuzjazmem.

Jeśli państwu potrzebny jest image światowego imperium duchowego i centrum tradycyjnych wartości, to Cerkiew ma się tym zajmować na własnym odcinku frontu ideologicznego. I na przykład ustawiać się w kontrze do zachodniej laicyzacji, upadku tradycji chrześcijańskiej, tęczowych ideologii, czym Cerkiew równie ochoczo się zajmuje.

W latach dziewięćdziesiątych Władimir Gundiajew wyrażał poglądy tradycjonalistyczne, ale nie był wtedy ani skrajnym konserwatystą, ani szowinistą. Nie ciągnęło go w kierunku antyelitarystycznego i antyzachodniego populizmu. Pod jego rządami hierarchowie cerkiewni zrobili się bardziej wstrzemięźliwi w wygłaszaniu radykalnych opinii. Z jednej strony Cyryla I chwali się za to, że ukrócił wewnątrzcerkiewny antysemityzm i faszyzujący narodowy szowinizm. Z drugiej strony skrajnie

prawicowe środowiska, a nawet aktywne bojówki czują się w jego Cerkwi dość swobodnie. Cerkiew Cyryla I po prostu skanalizowała nacjonalizm dla swoich potrzeb, a antysemityzm w dużej mierze zamiotła pod dywan.

Jednym z wydarzeń, które pozwoliło skrajnie prawicowemu cerkiewnemu skrzydłu nabrać wiatru w żagle, był performance *Bogurodzico, pogoń Putina* wykonany w 2012 roku w moskiewskim soborze Chrystusa Zbawiciela przez anarcho-feministyczną grupę Pussy Riot. Niewielki prowokacyjny występ trzech aktywistek feministycznych wykonany w porze, w której świątynia świeciła pustkami, rozbujano do absurdalnych rozmiarów. Cerkiew znakomicie go ograła i zamieniła w wielomiesięczny serial sensacyjny.

Dziewczyny z Pussy Riot zostały obsadzone w roli dywersyjnego komanda nasłanego z gnijącego i niemoralnego Zachodu, który zaatakował ducha państwa i ludu rosyjskiego. Cerkiewni ultrakonserwatyści nadymali się do granic wytrzymałości, przekonując wszystkich wkoło, że w tej sytuacji sama obrona to za mało. Wtargnięcie do świętego moskiewskiego soboru to wypowiedzenie wojny. Żeby w niej zwyciężyć, prawosławni muszą przejąć inicjatywę. Radykałowie mogli przestać się krygować. Jak wojna, to wojna. Głosy nielicznych duchownych traktujących występ Pussy Riot jako mało istotny incydent, nad którym nie ma sensu zbytnio się rozwodzić, zagłuszyła bojowa wrzawa.

W 2013 roku powstała prawosławna organizacja obrońców świątyń Czterdzieści Czterdziestek. To dobrze zorganizowana bojówka działająca pod skrzydłami Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego. Na jej czele stanęli mało znany kompozytor, wielbiciel Mikołaja II Andriej Kormuchin, i były bokser, trzykrotny mistrz Rosji w wadze średniej Władimir Nosow. W tym duecie Kormuchin robi za frontmana. Jest przebojowy, wygadany, lubi pokazywać się w mediach, zwłaszcza w prawosławnych telewizjach Cargrad i Spas.

Kormuchin reklamuje Czterdzieści Czterdziestek jako środowisko zajmujące się ewangelizacją i promocją zdrowego stylu życia. Członkowie organizacji nie powinni pić alkoholu, palić papierosów i używać narkotyków. W czasie, kiedy Kormuchin opowiada o miłości bliźniego i konieczności obrony dziedzictwa i tradycji, Nosow dba o gotowość do walki w imię praw prawosławnych, którym nasłana z Zachodu krzykliwa mniejszość usiłuje dyktować, jak mają żyć.

W ramach antypogańskiej prewencji organizacja infiltruje między innymi neonazistowską subkulturę i stara się przeciągać ją na swoją stronę. Rosyjska scena naziolska to osobny temat. W ostatnich latach została niemal całkowicie rozbita albo podporządkowana nacjonalistycznym organizacjom kontrolowanym przez FSB i MSW. W przestrzeni informacyjnej nazioli również nakrywa się ciepłą systemową czapką.

Prawdziwym rarytasem na tym polu jest program *Uczciwy Frenk* (*Cziestnyj Frenk*) emitowany w prawosławnej telewizji Cargrad. Prowadzący, niejaki Dmitrij Rumiancew, ksywka „Frenk", prezentuje nienaganny styl starego subkulturowego weterana. Spotyka się ze swoimi gośćmi na obdrapanej klatce schodowej, popija z nimi mocny czaj z więziennych kubków, nie waha się polecieć po bandzie i niskim, lekko zachrypłym głosem szczerze rozmawia o tym, jak jest. W polityce, kulturze, układach, układzikach, ściemach i ulicznych klimatach.

Do programu zaprasza antysystemowe gwiazdy współczesnej Rosji, poczynając od zbzikowanego byłego pułkownika GRU Aleksandra Kwaczkowa, człowieka, który odsiedział sążnisty wyrok za próbę zamachu na Anatolija Czubajsa, poprzez swojego starego znajomego, gwiazdę nacjonalistycznego podziemia Dmitrija Diomuszkina, który również odsiedział swoje za politykę, skończywszy na skazanym po protestach na placu Bołotnym lewaku Sergieju Udalcowie i undergroundowym raperze Szeffie.

„Frenk" ma nie tylko odpowiedni styl i fajne tatuaże, ale i uwiarygodniającą go biografię. W mitycznych latach dziewięćdziesiątych kumplował się z legendami nacjonalistycznej kontrkultury. Kręcił się wokół Rosyjskiej Jedności Narodowej Aleksandra Barkaszowa, obijał o towarzyskie grupki nacjonal-bolszewickie, działał w szeregach Związku Słowiańskiego (Sławianskij Sojuz, w skrócie SS). W pierwszej dekadzie XXI wieku zakładał Stowarzyszenie Narodowo-Socjalistyczne. W 2008 roku dostał wyrok w zawieszeniu za ekstremizm i rozniecanie konfliktów na tle etnicznym i rasowym.

Miał spore ambicje. Bezskutecznie próbował przedostać się do mainstreamowej polityki. W końcu przygarnął go ultrakonserwatywny, prawosławny oligarcha Konstantyn Małofiejew i zatrudnił w swojej telewizji. Tutaj „Uczciwy Frenk" obsługuje ważny segment czadowej widowni, która powinna mieć poczucie, że wreszcie ktoś wali najprawdziwszą, niepoprawną prawdę. Ów nieco podstarzały naziolski

Tolek Banan dba o to, by oglądająca go wesoła gromadka nie kręciła się samopas po rynku idei. A ludzie tacy jak Małofiejew mozolnie budują własne środowiska, po cichu licząc na to, że któregoś dnia wreszcie nadejdzie ich czas.

Czterdzieści Czterdziestek również nie zapomina o zbłąkanych duszach. Kormuchin i Nosow pochylają się nad chłopakami z podrzędnych treningowych salek i stadionową chuliganerką. Wskazują im ścieżkę godną prawdziwych prawosławnych patriotów. No bo po co mają bić się bez sensu między sobą, skoro mogą tłuc przeciwników cerkiewnych inwestycji, wybić ząbki jakiemuś wścibskiemu natrętowi, który przeszkadza temu czy innemu popowi. Nie jest wielką tajemnicą, że krzepkich chłopaków z Czterdziestu Czterdziestek często używa się do zastraszania ludzi zawadzających cerkiewnym interesom.

Przekonali się o tym mieszkańcy okolic moskiewskiego parku Torfianka. Kiedy przyszli zaprotestować przeciw budowie cerkwi w miejscu, w którym od lat wychodzą na spacery z psami, prawosławni witezie Nosowa spuścili im prawdziwie chrześcijański łomot. Kormuchin pięknie opowiadał potem o spontanicznej reakcji prawosławnej młodzieży przeciw prowokatorom nasłanym przez określone środowiska. I o tym, jak młodzi prawosławni aktywiści z oddaniem pomagają młodzieży z domów dziecka, a w ramach praktycznych kursów patriotyzmu angażują się w pomoc humanitarną dla potrzebujących rodaków na Donbasie.

Po dziesięciu latach sprawowania funkcji patriarchy mało kto już pamięta nadzieje, jakie wiązano z Władimirem Gundiajewem. Rosyjska Cerkiew Prawosławna Moskiewskiego Patriarchatu jest dziś skrajnie zideologizowana i niemal całkowicie podporządkowana państwu. Religijność stała się nieodzownym elementem poprawności politycznej. Politycy i urzędnicy państwowi obowiązkowo pokazują się w cerkwiach, bo to świadczy o odpowiedniej moralnej i patriotycznej postawie. Nawet odwieczny przywódca Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej Giennadij Ziuganow deklaruje wielki szacunek dla Cerkwi, przebąkując przy różnych okazjach, że „Chrystus był pierwszym komunistą” i tym podobne androny. Dla odmiany Cyrylowi I zdarzały się ciepłe wypowiedzi pod adresem Józefa Stalina. Był okrutnikiem i przestępcą, ale nie powinno się zapominać, że państwo pod jego rządami odnosiło również liczne sukcesy – poucza swe owieczki patriarcha.

Tymczasem Cerkiew pod kierownictwem Cyryla I zaczyna uchodzić za toksyczną instytucję nawet w opinii wielu wierzących, prawosławnych Rosjan. Znacznie więcej niż o ekumenizmie mówi się dzisiaj o pazerności, którą Cyryl I pobił na głowę swojego poprzednika. O różnych szwindlach, których Władimir Gundiajew miał dopuszczać się jeszcze za życia Aleksego II. O handlu papierosami bez akcyzy, którym miał kierować, będąc wysokim hierarchą cerkiewnym. Wreszcie o dawnej współpracy z KGB, do której patriarcha nigdy się nie przyznał, ale wydaje się ona dość oczywista. W czasach ZSRR jeździł często za granicę i zajmował wysokie stanowiska w strukturach cerkiewnej dyplomacji. Już w latach siedemdziesiątych działał w Światowej Radzie Kościołów, a pod koniec lat osiemdziesiątych został szefem cerkiewnego Wydziału Zewnętrznych Stosunków Cerkiewnych. Trudno sobie wyobrazić, by w Związku Radzieckim ktoś taki nie współpracował z organami bezpieczeństwa.

Cyryl I przegrał sympatię nie tylko wielkomiejskiej inteligencji i klasy średniej. Tak zwany lud, umiarkowany w poglądach i deklarujący przywiązanie do prawosławia, również nie zaczął masowo chodzić do cerkwi. No bo po co ludzie mają tracić czas na chodzenie do świątyń i słuchanie mniej więcej tego samego, co mówi im codziennie państwowa telewizja?

Na własnym podwórku Cerkiew opiera się na co dzień na bardzo aktywnych, ale dość nielicznych grupach. Od wielu lat badania socjologiczne pokazują niezmiennie, że ponad sześćdziesiąt procent Rosjan uważa się za prawosławnych. Jednocześnie dane pokazują, że regularnie co tydzień w nabożeństwach uczestniczy zaledwie około jednego procenta. Nieregularny, ale powtarzalny udział w nabożeństwach bierze około dwóch i pół procent. Nie częściej niż kilka razy w roku prawosławne świątynie odwiedza maksimum siedem i pół procent obywateli.

Ci ostatni zazwyczaj nie biorą udziału w nabożeństwach. Przychodzą do cerkwi, pomodlą się, postawią świeczkę, czasem coś kupią albo zamówią. I wracają po kilku miesiącach, kiedy znów będą mieli jakąś konkretną sprawę. Przy tych okazjach zazwyczaj spotykają się z popami jedynie w celu załatwienia formalności, ale na duchowe tematy raczej z nimi nie rozmawiają. Cerkwie zapełniają się dwa razy w roku – w Wielkanoc i Boże Narodzenie. Najważniejszym rodzinnym świętem pozostaje świecki Nowy Rok.

Dane, które niedawno przedstawił religioznawca i socjolog Nikołaj Mitrochin, pokrywają się z treścią raportów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Oczywiście warto wspomnieć, że niektóre wcześniejsze badania pokazywały nieco częstszy udział w cotygodniowych nabożeństwach. Mowa jednak w najlepszym razie o mniej więcej trzech procentach wiernych chodzących do cerkwi regularnie raz w tygodniu. Z pewnością taki stan rzeczy jest konsekwencją polityki ZSRR, ale nie można bez końca wyjaśniać wszystkiego dawnymi ograniczeniami i odgórną sekularyzacją. Związek Radziecki upadł prawie trzydzieści lat temu.

Duchowny, publicysta i teolog, diakon Andriej Kurajew, stwierdził niedawno bez ogródek, że poziom praktyk religijnych w rosyjskich cerkwiach nie dosięga nawet zachodnioeuropejskiego dna. Mimo wszystko propaganda potrafiła zbudować wizerunek Rosji jako duchowego centrum światowego konserwatyzmu, bastionu chrześcijańskiej tradycyjnej kultury. I z sukcesami eksportuje go na Zachód.

Wracając do pojęcia *duchownaja skriepa*, trudno oprzeć się wrażeniu, że współczesne rosyjskie prawosławie to dziś przede wszystkim ideologia. A przynajmniej tak jest postrzegane przez samych Rosjan, nawet przez tych, którzy tę ideologię podzielają. Wygląda na to, że oficjalna Cerkiew zapędziła się w kozi róg i utknęła między ideologicznym obsługiwaniem potrzeb władzy państwowej a zależnością od skrajnie konserwatywnych środowisk i różnej maści nacjonalistów.

A nacjonaliści, jak wszędzie na świecie, uwielbiają wyraziste tożsamościowe dekoracje. Religijna obrzędowość oferuje jedne z najatrakcyjniejszych. Mimo to ich codzienne ścieżki do świątyń również bywają kręte. Z koniunkturalistami trudno wiązać poważniejsze nadzieje. Dziś są, ale jutro mogą całkowicie zmienić poglądy i zniknąć z pola widzenia. Z ideowcami bywa jeszcze gorzej. To dość rozwydrzone towarzystwo, skore do awantur, przekonane o własnej nieomylności, wszędzie węszące zdradę i obrażające się przy każdej okazji. Problemy stwarzają nawet wysoko postawieni hierarchowie.

Udział rosyjskiej Cerkwi w operacji krymskiej i wtargnięciu na Donbas to osobna historia. Cyryl I brał w tym zakulisowy udział. Uczestniczył w zjeździe duchownych kozackich atamanów, musiał dać przyzwolenie na włączenie się organizacji cerkiewnych w formowanie i ekwipowanie ochotniczych oddziałów. Nie należy jednak zapominać, że Cyryl I jest

również zwierzchnikiem Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego. To ogromna struktura licząca około czternastu tysięcy parafii z wielkimi masami wiernych i ogromnymi dochodami. Żeby zachować wiarygodność duchowego przywódcy bratnich prawosławnych narodów, Cyryl I sprytnie wykręcił się od wyrażenia oficjalnego stanowiska wobec aneksji Krymu.

W tym samym czasie jeden z ważnych hierarchów, fanatyczny nacjonalista, „apostoł wojny", wspomniany już protojerej Wsiewołod Czaplin głosił na lewo i prawo konieczność oficjalnego uznania przez Cerkiew słuszności wojny przeciw „kijowskiemu reżimowi". Cyryl I dyplomatycznie udawał, że niczego nie słyszy. Wojowniczy hierarcha stracił jednak kontakt z rzeczywistością i zaczął pozwalać sobie na otwarte apele do patriarchy.

W 2016 roku Cyryl I nie wytrzymał, pozbawił Czaplina stanowiska szefa Komisji do spraw Relacji Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej ze Społeczeństwem i postraszył go usunięciem ze stanu duchownego, jeśli się nie uspokoi. Czaplin przystopował z personalnymi wypadami przeciw Cyrylowi, ale w dalszym ciągu wygłaszał buńczuczne tyrady, wieszczył niechybny wybuch III wojny światowej i przekonywał, że chrześcijaństwo jest religią wojowników. Zgromadził wokół siebie nieliczną, ale radykalną publikę. Nie przestawał manifestować niezadowolenia ze słabości okazanej przez władze cerkiewne. Niedługo przed śmiercią znalazł sobie nowych kolegów – towarzyszy z Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej.

W Cerkwi działają również dość niszowe otwarte środowiska, związane z kilkoma wielkomiejskimi parafiami, takimi jak cerkiew pod wezwaniem Świętych Kosmy i Damiana w Moskwie, albo internetowymi portalami publicystycznymi pokroju Pravmir.ru. Dla części prawosławnej inteligencji bodaj najbardziej inspirującymi postaciami pozostają tacy ludzie jak Aleksandr Mień.

Mień wypłynął w czasach odwilży jako młody cerkiewny publicysta. Sądził, że Cerkiew jest przesadnie zhierarchizowana. Głosił konieczność otwarcia jej na laickie środowiska i potrzebę modernizacji instytucji religijnych. Uważał, że mimo bardzo ograniczonych możliwości działania w ZSRR Cerkiew powinna wykorzystywać każdą okazję do podejmowania dialogu ekumenicznego i zbliżenia z innymi Kościołami chrześcijańskimi. Winna być również maksymalnie otwarta na kontakty z wyznawcami innych religii.

Lgnęli do niego przede wszystkim stołeczni inteligenci. Mień starał się stwarzać dla nich swobodną niszę w opresyjnym systemie sowieckim. Sam nieraz mówił i pisał, że radziecka Cerkiew nie w pełni wykorzystuje wąskie pole, które mimo wszystko pozostawia jej państwo – przywiązuje zbyt małą wagę do kwestii wolności jednostki, unika działań na rzecz obrony praw człowieka.

Starania Mienia przypominały orkę na ugorze. Zmiany, które próbował wprowadzać w Cerkwi, często dotyczyły najbardziej podstawowych spraw. W swojej parafii zaczął wpuszczać do cerkwi kobiety w spodniach, co w innych świątyniach było nie do pomyślenia. Wstawił do nawy więcej ławek, żeby wierni mogli wygodnie usiąść i nie musieli stać na baczność przed ikonostasem. Starał się przy tym działać ostrożnie. Nie przekraczał pewnych granic, nie prowokował władz zbyt ostrymi wypowiedziami i ostentacyjnym zachowaniem. Niestety, nie dożył do upadku ZSRR. W 1990 roku zginął od uderzenia w głowę, najprawdopodobniej obuchem siekiery albo saperką.

Innym wyrazistym i płynącym pod prąd prawosławnym duchownym był Gleb Jakunin. Mień i Jakunin poznali się w końcówce lat pięćdziesiątych. Jakunin był zupełnie innym typem człowieka. Nie miał w sobie tyle cierpliwości co Mień. Nie potrafił spokojnie usiedzieć na miejscu. Lubił spory, otwarcie kontestował system radziecki i wszelkie narzucane mu ograniczenia. Za młodu nosił się w wyzywającym bikiniarskim stylu. Ubierał się w przydługie złachane marynary i pogrywał na saksofonie w podziemnych jazzowych zespołach. Szukał wolności w sztuce i duchowości. Interesował się teozofią, okultyzmem, eksperymentował z judaizmem. Znajomość z Mieniem pociągnęła go ku prawosławiu.

Na początku lat sześćdziesiątych Jakunin przyjął święcenia kapłańskie. Nie traktował religii jak ucieczki przed światem, z którym zawsze próbował chwytać się za bary. Często ponosiła go naiwna fantazja. W 1965 roku napisał list otwarty do patriarchy Aleksego I, w którym wezwał go między innymi do większej niezależności wobec partii i KGB. Oczywiście narobił sobie sporych problemów.

W 1976 roku utworzył Komitet Obrony Wierzących, a już trzy lata później sam wylądował w areszcie. W 1980 roku osadzono go w łagrze z wyrokiem za działalność antyradziecką. Na wolność wyszedł dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych. W czasach przełomu ustrojowego zaangażował się w politykę. Tu obudziła się w nim dawna bikiniarska dusza, której nie

utemperowały lata spędzone w aresztach i obozach. W 1991 roku dostał się do archiwów KGB. Teraz miał już w kieszeni mandat deputowanego ludowego. Nikogo o nic nie pytając, zaczął ujawniać dokumenty i pseudonimy operacyjne hierarchów Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego.

W 1993 roku wybrano go do Dumy Państwowej z ramienia partii Demokratyczny Wybór Rosji. Władze cerkiewne skrzętnie to wykorzystały i pozbawiły Jakunina statusu duchownego pod pretekstem łamania zasady nieangażowania się w politykę. Jakunin uznał z kolei, że uwikłani w totalitarny system hierarchowie nie mają prawa oceniać, kto jest godzien stanu kapłańskiego, i nie przestał nosić riasy. Podczas obrad Dumy napadł na niego Władimir Żyrynowski i razem z kilkoma partyjnymi kamratami zaczęli zrywać krzyż z jego szyi, wykrzykując, że Jakunin jako renegat nie ma prawa go nosić.

W 1995 roku założył społeczny Komitet Obrony Wolności Sumienia. Nie odpuszczał sprawy kolaboracji hierarchów cerkiewnych z radzieckimi organami bezpieczeństwa. Wreszcie w 1997 roku Święty Synod Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego obłożył go anatemą. Na początku XXI wieku współzakładał niekanoniczną Apostolską Cerkiew Prawosławną. Do końca życia starał się walczyć o prawa człowieka i swobodę sumienia.

Nigdy nie przestał głosić, że jeśli Rosyjska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego nie chce być narzędziem w rękach władzy, musi szczerze rozliczyć się z komunistyczną przeszłością. W przeciwnym razie nigdy nie stanie się prawdziwym źródłem autorytetu duchowego. W odpowiedzi oskarżano go o szkodzenie Cerkwi i ojczyźnie, awanturnictwo, agenturalną działalność.

Zepchnięty na margines zmarł w grudniu 2014 roku w Moskwie.

8 Z wizytą u państwa Romanowów

– Oj! – jęknęła korpulentna kobieta. Chudy facet w bladoniebieskiej koszuli utrzymał balans i z godnością poprawił zmatowiały płócienny kaszkiet. Jego nieruchoma, pomarszczona twarz nie wyrażała żadnych emocji. Kobieta złorzeczyła pod nosem. Szum silnika i trzęsących się szyb zagłuszał jej utyskiwanie. Wierciła się na nowo, moszcząc pośladkami wygodne wgłębienie w pokrytym poprzecieranym skajem siedzeniu.

Denerwowało ją wszystko. Dziury w drodze, upał i zaduch, a przede wszystkim stoicka obojętność siedzącego obok niej faceta w letnim kaszkiecie. Rozejrzała się wkoło, szukając wspólników w gniewie. Nie znalazła. Ludzie beznamiętnie gapili się w okna, czekając, kiedy na kolejnej nierówności znów wyrzuci ich z siedzeń.

Z przodu dobiegał podekscytowany głos szczupłego nastolatka. Chwycił się żylastymi rękami poręczy i zawisł nad dwiema starszymi kobietami. Może go nawet słuchały, ale niespecjalnie zwracały na niego uwagę. Ta, która siedziała przy oknie, zapamiętale grzebała w dużej plastikowej siatce. Druga patrzyła jej przez ramię. Autobus podskoczył na kolejnym wyboju. Nastolatkiem zachybotało, ale to nie przerwało słowotoku.

– Procesja tędy nie pójdzie. Przez osiedla pójdzie i lasem potem. Za daleko tędy. Tędy dwa razy dalej. Albo więcej. Nocy by nie starczyło. Lasem da się w sześć, a może i pięć godzin… Jest już patriarcha. Jest, bo przyjechał. Wczoraj przyjechał. Był w chramie…

Nastolatek ostrzeliwał kobiety krótkimi komunikatami. A one wciąż nie zwracały na niego uwagi. Bo i po co? Nie mówił nic, czego by nie wiedziały. Same oczywistości.

– Widziałam chram, ale nie weszłam wczoraj. Najpierw chcę się spotkać z naszym Mikołajem – powiedziała kobieta wpatrzona w okno.

Ta z siatką ze zrozumieniem pokiwała głową, po czym przechyliła się nad nogami towarzyszki. Wyciągnęła rękę w kierunku rozgadanego chłopca i zaczęła wciskać mu kanapkę z grubymi plastrami mortadeli.

– Ale babciu, nie chce mi się! – żachnął się chłopiec, lecz kobieta nie przestawała celować w niego dłonią uzbrojoną w chleb i wędlinę.

– Jedz, będziesz głodny – nalegała, prawie kładąc się na sąsiadce.

Ta wcisnęła się w oparcie i spojrzała na chudego chłopaka karcącym spojrzeniem. Poddał się. Podciągnął dresowe spodnie i poprawił kołczan przewieszony przez zapadłą klatkę piersiową. Na chwilę zamilkł, żując pierwszy kęs obfitej babcinej kanapki.

Stary pazik pędził pośród rozbuchanej gęstwiny pokrzyw, konopnej samosiejki i innych chwastów. Dojrzała falująca zieleń ciągnęła się aż do odległej o mniej więcej kilometr elektrowni. Rozległa industrialna wyspa wyrastająca z zielonego odmętu rozczapierzała się gęstymi drutami. Szaroczarne linie wspinały się na szerokie ramiona stalowych wież i znikały w równo wykarczowanych korytarzach, rozcinających daleki sosnowy bór.

Wreszcie spomiędzy krzaków i traw wyłoniło się niewielkie osiedle kilkupiętrowych bloczków z kruszejącej betonowej płyty. Za oknem mignęła tablica z odkształcającej się od deszczu i słońca październikowej płyty. „Sriednieuralsk – Miasto Energetyków” – równo biegnący napis witał wjeżdżających odłażącymi płatami farby. Pazik zwolnił i niezgrabnie przetoczył się przez przejazd kolejowy.

– O, to niedaleko musi być. Bokiem przelecimy. Nie wjedziemy do miasta. Bokiem zetniemy – chudzielec znów zaczął trajkotać z niedojedzonymi ostatkami tłustej mortadeli w ustach.

Nie dokończył. Autobus szarpnął. Chłopak wpadł na siedzenia.

– Trzymaj się lepiej, zamiast ciągle gadać! – fuknęła babcia.

Chłopak coś odburknął. Zaczęła się krótka pyskówka. Tymczasem autobus znów się rozpędził i po chwili wjechał w przyjemnie zacieniony las. Ludzie odetchnęli. Lipcowe słońce przestało prażyć na blaszany dach. Pęd powietrza rozcieńczył gęsty zaduch, niosąc przez poodsuwane szyby miły zapach sosnowego igliwia, mchu i żywicy. Ktoś obok otarł pot z czoła, ziewnął od serca i przeciągnął się jak zadowolony kot. W stukot trzęsących się szyb i szum silnika wmieszał się szmer rozmów. Ogarnęła mnie senność.

Mechaniczny syk otwierających się drzwi autobusu przywrócił mi poczucie rzeczywistości. Odruchowo sięgnąłem do kieszeni po telefon. Spojrzałem na zegarek. Minęło zaledwie kilka minut, od kiedy ostatni raz patrzyłem w prostokątny ekran. Mimo to podniebienie zdążyło mi wyschnąć jak zapomniana grzanka w tosterze. Łyknąłem ciepłej, rozgazowanej wody. Zgniotłem plastykową butelkę i ukradkiem wsunąłem

ją pod siedzenie. Tak jak za każdym razem, obiecałem sobie, że już nigdy więcej tego nie zrobię.

Ludzie zdążyli już wyjść na szeroki parkingowy plac, równo pokryty nowo wylanym asfaltem. Przeciskali się między rzędami samochodów, busików i autokarów w kierunku drewnianej bramy obronnej. Bajkową budowlę wieńczyła cebulkowa kopułka, rozdymająca się misternie ułożonymi gontami. Z bliska drewniane gonty okazały się solidną blachodachówką. Okna, starannie wprawione w obronną bramę, bielały nowiutkimi plastykowymi ramami.

Przed wejściem do liczącego niecałe dwadzieścia lat i wciąż jeszcze rozbudowywanego monastyru, czuwał stary, ale krzepki mężczyzna o poważnej twarzy porośniętej krótko przyciętą, siwą brodą. Figura żywcem wyrwana z ilustracji podręcznika historii albo z komiksu o czasach starych dobrych carów. Tych, co na głowach nosili kopułowatą Czapkę Monomacha, a ich władcze lica kryły się za gęstymi brodami jak sakralna tajemnica za ikonostasem. Gdyby jeszcze tylko ów stary drużynnik miał na sobie czerwony strzelecki chałat, a nie uniform ze sztucznego materiału z gumowaną naszywką „ochrona”. I w dłoni nie ściskałby starej krótkofalówki, tylko dzierżył berdysz albo arkebuz.

Ale i tak prezentował się wystarczająco dostojnie, by mijający go pielgrzymi mogli poczuć, że wchodząc przez bramę, przekraczają granicę świata, do którego nie każdy może wejść ot, tak sobie. Brodaty wiarus w kurtce z napisem „ochrona” czujnie lustrował ich z poziomu chodnika. A z wysoka, znad bramy, spoglądały na nich wielkie, nierzeczywiste oczy Matki Boskiej Iwerskiej, pochylającej się nad kędzierzawym dziecięciem o poważnej bizantyjskiej twarzy niebiańskiego monarchy.

Za bramą można było już spokojnie odetchnąć. Siąść na ławeczce, a nawet głośniej pogadać. Wzdłuż wyłożonej szarą betonową kostką alei ciągnęły się stoiska ze słodyczami i napojami. Z tyłu, zza straganów wychylał się spory budynek, restauracja i mały hotelik. Sklepik z dewocjonaliami w przystępnych cenach oferował jedyne w swoim rodzaju święte artefakty, plastykowe butelki ze źródlaną wodą, pękate słoje z miodem, ponoć wyrabianym w przyklasztornych barciach, a nawet tabliczki klasztornej czekolady.

Łakocie produkował jakiś jekaterynburski zakład, ale stempel świętej jakości odciskał miejscowy igumen. Słodycz miała więc nie tylko należyty smak, ale i duchową banderolę. Wciąż męczył mnie nieprzyjemny kapeć

w ustach. Kupiłem półlitrową butelkę źródlanej wody życia i napełniony jej cudowną mocą ruszyłem przed siebie.

Na końcu centralnej alei jaśniał wysoki cokół, przed którym pięły się liczące kilka stopni schody. Z cokołu spoglądał gospodarz – Mikołaj Aleksandrowicz Romanow. W równo zapiętym mundurze, z epoletami na ramionach i rzędem orderów na piersi. Z lekko podkręconym wąsem i nienagannie ułożonym lokiem nad czołem. Władczy, budzący respekt, ale też miły i spokojny. Nie wygrażał ani mieczem, ani berłem, ani żadną inną falliczną straszyłką.

Cierpliwie i uprzejmie witał przybyłych ze szczytu przykrótkich schodów. Ludzie podchodzili do niego, przystawali i zadzierali głowy. Niektórzy teatralnym gestem zginali się wpół, po czym zamaszystym gestem żegnali się. Od czoła przez pępek, od prawego do lewego ramienia. Gorliwsi powtarzali to po kilka razy. Mniej gorliwi po prostu fotografowali się w jego towarzystwie. Przywitawszy się z Jego Wysokością, goście w wolnym spacerowym tempie zanurzali się w głąb leśnego monastyru.

Spomiędzy sosen i brzezin dobiegały dźwięki dzwonów. Nie były to jakieś pierwsze lepsze jednostajne, parafialne łomotania. Po lesie niosła się polifonia melodii, wygrywanych przez różnej wielkości dzwony i dzwonki. A wraz z nimi miękkie, ciepłe fale męskiego śpiewu. Delikatne wielogłosowe melorecytacje i psalmodie zlewały się z krzykami ptaków. Żywiczny lipcowy las sprawiał wrażenie pogrążonego w bezustannej modlitwie, naturalnej kosmicznej hesychii. Wdychał ożywcze powiewy wiatru, po czym wydychał intensywny zapach letniego igliwia i świeżego runa.

Wyłożona kostką aleja zwężała się. Łagodnie zakręcając w prawo, prowadziła ku kolejnemu cokołowi, za którym kilkoma mniejszymi ścieżkami rozbiegała się po lesie. Z cokołu życzliwie uśmiechała się elegancka, dojrzała kobieta w zgrabnej koronie na głowie. Miała idealne, odlane w mosiądzu rysy twarzy, gładkie wysokie czoło, prosty nos, kształtne wąskie usta i mocny, nieco wystający podbródek. Światowa kobieta. Niemiecka księżna, wnuczka brytyjskiej królowej Wiktorii.

Aleksandra przyjęła prawosławie z przyczyn formalnych, tuż przed ślubem z Mikołajem, ale wkrótce zawładnęła nią bezkompromisowa żarliwość neofitki. Z cokołu patrzyła jednak życzliwym, rozumiejącym wzrokiem, wyrażającym przychodzącą z wiekiem życiową kobiecą mądrość. Wyglądała jak idealna dama z kostiumowego serialu

obyczajowego opowiadającego o wzlotach i upadkach arystokratycznych niebian zamieszkujących w bajkowych, pałacowych sceneriach.

– Przepraszam, moglibyście zrobić nam zdjęcie? – opuściłem wzrok i zobaczyłem przed sobą dwie całkiem realne kobiety w średnim wieku. Życzliwie uśmiechały się spod mocnego makijażu. Na głowach zawiązały szale z dobrej jakości cienkiego materiału, w taki sposób, żeby nie naruszyć pieczołowicie ułożonych fryzur. Owinęły się w pasie zgrzebnymi bordowymi spódnicami, które wydawano kobietom tuż za bramą klasztoru.

Jedna z nich podała mi smartfona i postawiła na ziemi turystyczny plecaczek w ogromną liczbą kieszonek i suwaczków. W tym czasie druga sięgnęła do przepastnej skórzanej torebki. Wyjęła lusterko, poprawiła grzywkę i zaczęła sprawdzać, która z min pasowałaby najlepiej do wspólnego zdjęcia z cesarzową. Wreszcie kobiety chwyciły się za dłonie i zastygły z perlistymi uśmiechami na twarzach.

Najpierw pomanewrowałem telefonem tak, żeby było widać postument, a zwłaszcza napis: „Święta Cierpiętniczka Caryca Aleksandra Fiodorowna, 1872–1918”. A potem złapałem kadr, na którym nie było już żadnych napisów i cokołów. Tylko trzy kobiece twarze. Oddałem telefon. Ukłoniłem się. Kobiety podziękowały. Przez chwilę wymienialiśmy się życzliwymi uśmiechami, a nawet ucięliśmy sobie krótką rozmowę. W końcu nie byliśmy zupełnie przypadkowymi ludźmi. I one, i ja przybyliśmy tu jako goście. Zupełnie tak, jakbyśmy zjawili się tutaj przez kogoś zaproszeni.

Okazało się, że są siostrami. Pochodziły z Niżnego Tagiłu, leżącego jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od Jekaterynburga. Jedna z nich mieszkała w Jekaterynburgu, a druga w Permie. Ta z Jekaterynburga od kilku lat lubiła odwiedzać to miejsce. Ta z Permu była tutaj po raz pierwszy. Bardzo jej się spodobało i zapowiedziała, że od teraz ma zamiar częściej tu przyjeżdżać. Wspomniały coś o jakimś umówionym spotkaniu w monastyrze. Postaliśmy jeszcze chwilę razem, we czworo. Pani z Jekaterynburga, pani z Permu, Jej Wysokość Cesarzowa Aleksandra i ja.

Wreszcie, nic nie mówiąc, w tym samym momencie zaczęliśmy iść. Napełniło nas to jeszcze większą wzajemną życzliwością. Przecież niczego nie uzgadnialiśmy. Aż tu nagle, ni z tego, ni owego, ruszyliśmy w tej samej chwili w tym samym kierunku. Uśmiechaliśmy się, idąc ścieżką, wzdłuż której ciągnęły się wąskie grządki obsadzone bratkami. Zatrzymaliśmy się dopiero naprzeciw gromadki spiżowych dzieciaczków. Cztery dziewczynki – dwie starsze, dwie młodsze – i jeden chłopczyk stojący

w centrum. Wszyscy w małych koronach i staroruskich szatach. Dziewczynki miały pod koronami welony, uśmiechały się poważnie jak dzieci pozujące do komunijnej fotografii. W rączkach trzymały krzyże.

– Carskie dzieci – powiedziała cicho jedna z kobiet.

– Carewicz Aleksy w środku – dodała druga.

– Biedny chłopczyk…

– Zastrzelili nawet pieseczki… Trzy pieseczki zabili… bandyci…

Kobiety wpatrywały się w pomnik tak, jakby owe mosiężne formy, wybrzuszające się w krągłe dziecięce główki, stópki i rączki skupiły w sobie cały smutek tego świata.

– Pójdziemy już – powiedziała półgłosem kobieta z torebką.

Pokiwałem głową, wymieniliśmy się smutnymi uśmiechami i znów zostałem sam. Przez chwilę przyglądałem się rzeźbie. Stojący w centrum cesarski cherubinek uśmiechał się spiżowymi usteczkami. Wydrążonymi oczkami patrzył nieruchomo w jakiś odległy punkt. Jeżeli śmierć oznacza ostateczny bezruch, to właśnie widziałem jej niewinną maskę. Prostą i oczywistą, jak pyzata główka laleczki kupionej w sklepie z zabawkami.

Tak zwane sprawy ostateczne kpią z estetycznych konwencji. Przyłapują je w negliżu banału. Infantylny kicz nie jest jednak najgorszym wyjściem. Odpowiednia doza infantylnego kiczu może uchronić przed pretensjonalnym patosem. Przedawkowanie powagi grozi dętym bełkotem. O niektórych sprawach nie należy gadać za dużo. Lepiej milczeć.

Z poczuciem żenady opuściłem wzrok i trafiłem na szeroką tablicę zamontowaną pod stopami świętej gromadki. Przez całą jej długość ciągnął się starannie odlany cytat z dzienników niejakiego ojca Afanasija, spowiednika rodziny carskiej.

W przededniu Wielkanocy 1917 roku Afanasij zanotował:

> Carskie dzieci były zadziwiająco moralnie czyste. Daj Boże, żeby wszystkie dzieci były tak wysoko rozwinięte moralnie jak Dzieci Cara. Takie pozbawione zła, zgodne, powolne rodzicielskiej woli, bezwarunkowo oddane woli Bożej, czyste w myślach i zupełnie nieznające brudu tego świata, pożądliwego i grzesznego. Byłem głęboko poruszony światłem ich dusz.

Jeszcze przez chwilę przyglądałem się zastygłym pośród jarzębin i sosen spiżowym niewiniątkom, które uśmierciła ręka czerwonego Heroda.

Głębiej w lesie stała niewysoka cerkiewka. Prowadził do niej drewniany mostek przerzucony przez koryto wyschniętego strumyka. Ludzie idący

mostkiem z zaciekawieniem wodzili wzrokiem za chodzącymi między nimi brodatymi mnichami. Największe zainteresowanie wzbudzał mężczyzna w długim ortalionowym płaszczu, przewiązanym starym wojskowym paskiem. Na głowie miał ciemny filcowy kapelusz. Na nogach chińskie sandały na rzepy, które wzuł na powyciągane grube skarpety. W jednej dłoni trzymał wypchaną po brzegi reklamówkę z supermarketu, a w drugiej długą, wystającą ponad głowę aluminiową tyczkę. Podpierał się nią jak pątniczą laską. Na jego szyi dyndał wielki drewniany krzyż.

Co śmielsi starali się go sfotografować, ale wzbudzający ciekawość jurodiwyj nie dawał się złapać w kadrze. Dziarskim krokiem pokonał mostek i kilkoma sprytnymi zygzakami przedostał się do drewnianych drzwi, po czym zniknął w cerkwi. Z głośnika zawieszonego nad wejściem sączyła się modlitewna melorecytacja.

Wewnątrz panował półmrok. Światło świec i energooszczędnych żarówek przeświecało przez dym kadzidła kłębiący się między niskim sufitem a drewnianą podłogą pokrytą wodoodporną farbą. Rzędy ikon napisanych w klasycznej manierze ciągnęły się na ścianach ku prostemu, drewnianemu ikonostasowi. Przed jedną z nich modlili się mnisi. Tuż za nimi zgromadziła się grupka kobiet, które przyglądały się zza ich pleców wizerunkowi świętego Mikołaja Cudotwórcy. Ponoć właśnie przed tą ikoną Romanowowie modlili się w ostatnich dniach życia.

Odruchowo splotłem dłonie po katolicku, na wysokości podbrzusza, jak każdy, kogo w dzieciństwie posyłano do kościoła na niedzielne msze. Szybko sam siebie na tym przyłapałem i opuściłem ręce w dół, wzdłuż szwów nogawek. Stałem tak przez kilka chwil, przyglądając się ikonie i wdychając gęsty zapach niedawno położonych farb i pokostu. W końcu dyskretnie wycofałem się na zewnątrz.

Dalej alejka prowadziła ku drewnianym galeryjkom, które wiły się ponad malowniczym, niezbyt głębokim jarem. Nad drewnianymi chodnikami zamontowano spadzisty daszek z zielonej blachodachówki. Między solidnymi barierkami a rantem dachu rozciągały się około trzymetrowe płachty z reprodukcjami sepiowych, ale podkolorowanych fotografii. Cudowny świat starych fotosów, leśny album rodzinny. Ojciec prężył się w dobrze skrojonym mundurze. Matka ciepło się uśmiechała. Kochany synek, następca tronu, ubrany był w dziecięcy mundurek z marynarskim kołnierzem, a młode córki w eleganckie suknie. Ładne i mądre pannice.

Wyobraźcie sobie panią Romanową w wykwintnie urządzonym buduarze. I pana Romanowa siedzącego w obszernym gabinecie, pochylonego nad depeszami i notami, otoczonego urzędnikami i huzarami, z wiernym, starym sługą u boku i dużym myśliwskim psem przy nodze. Synka ćwiczącego szermierkę palcatami ze starym wiernym Kozakiem, który na niejednej wojnie bronił tronu i ojczyzny. Córki szepczące sobie coś do ucha i śmiejące się w parkowej altanie. Biegające po czerwonych dywanach i marmurowych schodach.

A teraz wyobraźcie sobie idealną rodzinę. Bez kredytów, bez zaległych opłat za czynsz, bez problemów z pracą. Rodziców, którym nawet przez myśl nie przejdzie, żeby się rozwodzić. Ojca na ważnym stanowisku. Zawsze dobrze ubranego, takiego, który nigdy nie wtacza się po pijanemu przez drzwi i nie zdycha potem na kacu przed telewizorem. Matkę mądrą i wyrozumiałą. Nigdy niewydzierającą się bez sensu, nieodpalającą jednego papierosa od drugiego. Taką, która nie musi taszczyć siat, nigdy nie jest zmęczona ani zła. Nie smaży w kuchni jajek sadzonych i cebuli z kartoflami. Wyobraźcie sobie synka, który zawsze dobrze się uczy, jest grzeczny, nie trzeba się za niego wstydzić. Córki, które nie łażą nie wiadomo z kim i gdzie.

Chciałoby się mieć taką rodzinę. Nawet daleką. Spotykać się z nią przynajmniej raz na jakiś czas. Bogatą, ale niewynoszącą się. Życzliwie uśmiechającą się do was nie tylko z rodzinnych fotografii. Mądrzejszą, lepiej ubraną, lepiej wykształconą, obytą, światową, taką, którą widuje się w telewizyjnych serialach. A zarazem całkowicie naszą.

Wuj Mikołaj mógłby służyć pomocą w znalezieniu pracy, wpaść na urodziny i konfidencjonalnie zdradzić, co na pewne tematy naprawdę sądzi się w decydenckich sferach. Ciocia Aleksandra wiedziałaby, co doradzić w kłopotliwej sytuacji. Zawsze znalazłaby czas na rozmowę, na którą można by się z nią umówić w dobrej restauracji. Może nawet pojechać na wspólną wycieczkę do Grecji. Odwiedzić święty Atos, trochę się uduchowić, a potem poleżeć na plaży.

Mały Aleksy opowiedziałby, co słychać u niego w szkole, a dzieci mogłyby spędzić z nim fajny weekend na podmiejskiej daczy. Nie wysiadywałby bez sensu pod blokiem i nie popalał w szkolnych kiblach. Za dziewczętami oczywiście oglądaliby się wszyscy chłopcy. A one, zamiast wgapiać się w telefon i stukać paluchami w ekran, czytałyby książki. Byłyby na bieżąco z wydarzeniami kulturalnymi, znałyby się na

teatrze i kinie. Bywałyby na przyjęciach i zamkniętych imprezach. Ale przede wszystkim odznaczałyby się dobrocią i skromnością, zawsze szczere, pomocne i życzliwe.

W głębi mostku przypominającego sanatoryjną alejkę pojawiły się dwie starsze kobiety, z którymi jechałem autobusem. Stały rozanielone obok brodatego popa. Za nimi wiercił się chudy chłopaczek w dresowych spodniach. Stukał dłonią w drewnianą barierkę i popatrywał w głąb niewielkiego jaru. W dole, spomiędzy wysianej, ale nieco zdziczałej trawy, pięły się smukłe brzózki i lilie. Dokładnie tutaj znajdował się „Szyb nr 7” – miejsce, w którym miały zostać ukryte szczątki Romanowów. Opisy palenia kawałków poćwiartowanych ciał i zalewania ich kwasem siarkowym nie są przyjemną lekturą. Mimo to nad Ganiną Jamą nie ciąży ponura atmosfera.

Dzwonnice i pozawieszane na frontach świątyń głośniki nie przestawały umilać spacerów błogimi dźwiękami. Przez konary drzew przebijały przyjemne promienie popołudniowego słońca. Na drewnianym trotuarze rozległ się tupot dwójki rozbrykanych dzieciaków, które nawoływała młoda matka. Nie zwracała uwagi na grupkę modlących się kobiet w miejscu, w którym w latach dziewięćdziesiątych stanął drewniany krzyż oznaczający odkryty „Szyb nr 7”. Modlitwie przewodniczył starszy mężczyzna w niemodnej marynarce dwurzędówce. Stanął obok nowego, solidnego, spiżowego krzyża i inicjował słowa modlitwy, które kobiety podchwytywały i recytowały półgłosem.

Za ich plecami stała kolejna drewniana cerkiewka zbudowana w rustykalnym stylu, zrodzonym w wyobraźni dziewiętnastowiecznych romantyków i folklorystów. Na ścianach z drewnianych bali wisiała reprodukcja ikony przedstawiającej carską rodzinę. Tutaj Romanowowie mieli niepodobne do siebie, poważne twarze, namalowane w bizantyjskim stylu. Mikołaj budził respekt tradycyjną koroną. Z jego oblicza zniknął sympatyczny uśmiech eleganckiego dżentelmena, a on sam zamienił się w mityczny, bezczasowy awatar sakralnej carskiej władzy.

Dalej rozciągał się szeroki plac i kolejne cerkwie. Tam też wisiały głośniki emitujące monotonny męski śpiew. Cerkiew na placu była murowana, wyraźnie przy tym większa od pozostałych, ale nie ostentacyjna – kolejna architektoniczna wariacja na temat staroruskiego raju pachnącego miodem, twarogiem i jagodami.

Przez środek pustego placu szybkim krokiem maszerował samotny mężczyzna w średnim wieku, w spodniach z lampasami i mundurowej

bluzie. Równo przebierał nogami obutymi w oficerki wyglancowane na połysk. Nie zatrzymując się, zdjął z głowy kozacką czapkę z żółtym otokiem. Poprawił grzywkę, pociągnął dłonią po wąsach i krótkiej brodzie. Przyspieszył kroku. Tak jakby obawiał się, że nie zdąży na konkurs sobowtórów cara Mikołaja II. Zniknął w drzwiach drewnianej cerkiewki Serafima Sarowskiego znajdującej się po drugiej stronie placu. Dokładnie w tym samym momencie w dużej murowanej świątyni gruchnęły dzwony. Po chwili plac zapełnił się wiernymi, głównie kobietami, które wyszły z przybytku po skończonym nabożeństwie. Ciągnął się za nimi powłóczysty zapach stearyny, kadzideł i pasty do podłogi.

Twarze kobiet były poważne i pełne spokoju. Emanowały zadowoleniem. Takim, jakiego mogły doświadczać w dzieciństwie, kiedy oglądały stare sowieckie kreskówki, w których pojawiały się animowane sympatyczne postaci o dużych lśniących oczach i zadartych noskach. Kogucik Złoty Grzebyczek mknął przez las, dobry Iwaszko przynosił wodę życia. A gromada blondwłosych urwisów pędziła na magicznym piecu przez sam środek wsi. Stary batiuszka groził im palcem, ale nie karał. Wszystko, co złe, roztapiało się w niepamięci.

Ruszyłem dalej. Obsadzona wąskimi kwietnymi klombami alejka skręcała szerokim łukiem wzdłuż parkanu, za którym widać było niedostępną dla odwiedzających kolonię drewnianych domków. Arkadyjską leśną wioseczkę, gdzie mieszkali mnisi. Alejka doprowadziła mnie do cerkiewki pod wezwaniem Sergieja Radoneżskiego. Usiadłem na wygodnej drewnianej ławeczce obok wysokiej, również drewnianej dzwonnicy przypominającej strzelistą tężnię w parku zdrojowym. Wyprostowałem nogi i ukryłem się w cieniu sporego krzewu dzikiej róży, chłonąc atmosferę duchowego sanatorium.

Od zwykłego podmiejskiego parku wypoczynkowego różniło to miejsce prawie wszystko. Przed ławką nie walały się pety i łupki słonecznikowych ziaren, a pod nogami nie świeciły kałuże śliny wyplutej przez dresiarnię, która w weekend wyskoczyła za miasto, żeby zapchać się szaszłykami. Obok ławki stał porządny, lśniący świeżą farbą śmietnik, z którego nie wysypywały się puste puszki po sybirskiej koronie i ochocie. Zamiast natrętnej popsy dudniącej z okolicznych barów, z dzwonnic w chramach nie przestawały kląskać dzwony.

Baśniowy świat sprzed najazdu Tataro-Mongołów. Bez Tadżyków kręcących się po ulicach i bazarach. I całej reszty przyjezdnych z Azji

Centralnej, pracujących za półdarmo, ściemniających na budowach i psujących rynek pracy. Bez Kaukazców tańczących lezginkę na parkingach, mogących zaczepić, pobić, okraść, dźgnąć nożem albo postrzelić. Bez Kitajców, którzy cichaczem przejmują, wycinają, zatruwają, rozkradają i zasiedlają. Żadni Amerykanie, Niemcy czy inni Francuzi też tutaj nie trafią. Zgubią się, zbłądzą i ślad po nich zaginie. Ale jak zaprosi się ich w gości, to co innego. Wtedy zobaczą, że Ruś jest dobra, przyjazna, szczera, czysta i silna duchem. I zachwycą się, bo sami tego już nie mają. Zakochają się w Rusi, bo u nich nie ma już miodu, twarogu i jagód. I co im po tych wszystkich technicznych sztuczkach i pragmatyzmie, skoro nie mają już tego, co najważniejsze? Ducha, prawdy i mocy natury.

Ukryty między bajkowymi dekoracjami przysłuchiwałem się płynącej z cerkiewnych dzwonnic pieśni o władzy wziętej z naturalnej bożej konieczności. O społeczeństwie będącym prawdziwie rodzinną wspólnotą – z dobrym Ojcem na czele i mądrą Matką u jego boku. O szacunku dla starszych i mądrzejszych.

Tutejszy Bóg chodził po miękkim mchu, pachniał pulchną ziemią i wilgotną paprocią. Nie był surowym sędzią, groźnym naczelnikiem czy niebiańskim sekretarzem. Nie oślepiał blaskiem złotych kopuł i migałkami na dachach czarnych limuzyn. Nie oddzielały od niego sięgające nieba ściany, barierki, wykrywacze metalu i elektroniczne bramki. Bo tutejszy lud nikomu nie zagrażał. Był prosty, o szerokiej duszy, może nawet trochę naiwny. O miękkim sercu, ale kiedy trzeba – twardej pięści, choć nie lubił bić, kiedy nie musiał. Niestety, z czyjejś winy ciągle musiał. A wolałby przecież doglądać barci, chodzić po lesie za zwierzem i bawić się z dziatkami.

Tu, jak na leśnej daczy, zamieszkał już na zawsze Mikołaj II. Czysty jak las po letniej burzy. Ojciec dzieciom, mąż swej żony, dobry tato Świętej Rusi. Skrył się w lesie, gdy z daleka nadeszli słudzy zła. Rozstrzelali, spalili, poćwiartowali, rzucili w błoto i zakopali w ziemi. Wszystko – elegancję, piękno, dobre maniery, suknie, obrusy, kandelabry, czyste sufity i podłogi, rodzinę, miłość, lojalność. Wytłukli zastawy i lustra. Potem zbudowali osiedla z wielkiej płyty, z zaszczanymi klatkami schodowymi i śmierdzącymi windami. I uwięzili w nich patchworkowe rodziny, którym potem kazali spłacać kredyty, raty, alimenty i bankowe długi.

9 Żołnierzyki na kredowym papierze

– Jest ojciec Paweł?

Dwie kobiety, którym zrobiłem zdjęcie na tle pomnika Aleksandry Romanowej, znów uśmiechały się do mnie. Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Zastygłem z lekko otwartymi ustami, tak jakbym właśnie zabierał się do długiej, wyczerpującej odpowiedzi. Jedna z nich znacząco skinęła głową w kierunku drewnianego chramu. I wtedy zorientowałem się, że obok schodów jest przejście ku niewielkim drewnianym drzwiom.

– A nie… chyba nie… tam nie widziałem, żeby ktoś, ale może… nie wiem – wystękałem i odruchowo przesunąłem się, robiąc miejsce na ławce. W zasadzie się nie znaliśmy. Ale już samo to, że znów się spotykamy właśnie tutaj, niemal przed drzwiami owego ojca Pawła, stworzyło między nami jakieś doskonale zrozumiałe porozumienie. Kobiety usiadły bez zbędnych słów. Zachowywały się tak, jakbyśmy przyszli tutaj razem, we trójkę.

– On powinien zaraz być. Dzwoniłam przed chwilą i mówił, że jest, żeby przyjść… O przepraszam… Tatiana – powiedziała. Wcześniej gadaliśmy trochę, teraz przyszedł czas na przedstawienie się sobie.

– Marina – jej siostra również się przedstawiła.

– Albert – kiwnąłem głową i wyciągnąłem dłoń.

– Albert? Skąd jesteście, z Pribałtyki? – zapytała Tatiana. – Z Łotwy? Mówicie trochę, jakbyście byli z Łotwy. I takie imię macie, jakby stamtąd – dodała, nie czekając na odpowiedź.

– Tak, tak… – skłamałem.

Po co się wdawać w dyskusje, że jestem z Polski? Chciałem porozmawiać po prostu, bez wpadania w Polaka z Ruskim gadanie. Szybko rozgrzeszyłem się z tego Łotysza. Co to za różnica, pomyślałem, przecież nikomu nie robię krzywdy. Zresztą nie pierwszy raz brali mnie w Rosji za Bałta, a to zawsze wygodniej. Bałt to taki raczej obcy, ale trochę swój. Zwłaszcza dla pokolenia wychowanego w Sojuzie, pamiętającego nadbałtyckie kurorty, estońskie filmy i radioodbiorniki tranzystorowe, konserwy ze szprotami, kolegów z wojska i koleżanki z akademika.

– Może zadzwonię jeszcze raz – Tatiana zwróciła się do Mariny i sięgnęła po telefon. – On musi gdzieś tu być, przecież mówił…

– O zobacz, a to nie on? – zapytała niepewnie Marina.

Od strony drewnianej dzwonnicy zbliżał się wysoki, szczupły facet w ciemnych luźnych spodniach, sandałach i czarnej koszulce z krótkimi rękawkami. Zza paska wystawały mu rękawice robocze. W ręku niósł grabie. Jego twarz pokrywała średniej długości broda. Długie szpakowate włosy upiął w kitkę. Z daleka mógł wyglądać na starego, ale wciąż atrakcyjnego hipstera.

Kiedy był już blisko, Tatiana i Marina zerwały się na równe nogi. Ja również. Przywitał się poważnie z rozpromienionymi paniami. Mocno uścisnął moją dłoń. I wdał się w rozmowę z Tatianą. Mówił niskim, pewnym siebie głosem, opierając się o stare grabie jak o deskę surfingową. Zupełnie nie przypominał większości upasionych, wielkonosych batiuszków, miał w sobie jakąś surowość, co nie skłaniało do skracania dystansu. Z jego oczu biło poczucie nieomylności, charakterystyczne dla większości duchownych w każdym zakątku ziemi. Słuchaj, a dowiesz się – poznasz prawdę, prostą i niezachwianą. Tatiana, która jeszcze przed chwilą była bardzo pewna siebie, teraz dość chaotycznie wyjaśniła, że Marina to właśnie jest jej siostra, która ma sprawę.

– Dobrze – spojrzał na speszoną kobietę i bez zbędnych ceregieli ruszył w kierunku schodów. Oparł grabie o poręcz i wszedł do środka, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Tatiana uśmiechnęła się do siostry i zachęcająco kiwnęła głową. Marina, wciąż zmieszana, poszła za długowłosym batiuszką. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, z powrotem klapnęliśmy na ławkę.

Tatiana jeszcze przez chwilę błądziła wzrokiem. Naraz, ni z tego, ni z owego, przysunęła się bliżej i prawie chwyciła mnie pod łokieć. Patrząc mi głęboko w oczy, zaczęła rozpływać się w zachwytach. Mówiła całą sobą. Odruchowo odsunąłem się pod naporem jej entuzjazmu. Ale zupełnie się tym nie przejęła. Po chwili dowiedziałem się, że Paweł ma w sobie niezwykle silną energię. Cały promieniuje. Wystarczy po prostu z nim posiedzieć i od razu czujesz się lepiej. Wraca ci chęć do życia, radość i siły. Zawsze wysłucha, zrozumie. I nigdy nie podnosi głosu. Mówi spokojnie, ale tak, że człowiek nie może się z nim nie zgodzić. Najczęściej nie mówi wprost. Zadaje pytania, które niezawodnie prowadzą ku słusznym odpowiedziom. I dopiero pod koniec wygłasza jakąś jedną, ale niezwykle

przenikliwą myśl. No i nie ma takiej sytuacji, w której nie znalazłby jakiejś drogi wyjścia. Wspaniały człowiek.

Tatiana miała już swoje lata, ale nie była jeszcze stara. Wyglądała na osobę nie najgorzej sytuowaną. To, w jaki sposób była ubrana, jak mówiła, jej etui na telefon, torebka i biżuteria wskazywały, że prawdopodobnie jest drobną urzędniczką albo pracuje na niewysokim kierowniczym stanowisku. Jej czoło przecinały dwie linie zmarszczek, które przysłaniała starannie ufarbowana, kasztanowa grzywka. W kąciki dużych brązowych oczu wcinały się kurze łapki. Ale cerę miała zdrową, niezapudrowaną. Policzki naturalnie rumiane, nieobwisające. Jeszcze niejednemu mogłaby się spodobać. Pulchne palce świeciły pierścionkami, poza jednym. Serdecznym.

Jeszcze kilka lat temu nie była zbyt religijna. Miała w sobie ów specyficzny neoficki ogień, momentami wręcz obłąkańczy, w głoszeniu wszem i wobec o nowym życiu, które jest inne niż to dawne. Sprawiała przy tym wrażenie, jakby w centrum jej wiary znajdował się ów leśny park. To tu uświadomiła sobie „pewne sprawy", „otworzyły jej się oczy". Wcześniej, zanim „to się stało", nie zastanawiała się nad tym, „co najważniejsze". Nie powiedziała, „co się stało" i kiedy dokładnie. Z pewnością kilka lat temu była mężatką. Wspomniała coś o już odchowanych dzieciach. Nie zadawałem wielu pytań. Nie chciałem ciągnąć jej za język. W zasadzie ograniczałem się do potakiwania i robienia adekwatnych min.

W pewnym momencie zorientowałem się, że chcąc nie chcąc, wszedłem w rolę kogoś współuwielbiającego to cudowne miejsce, ten las, te drewniane cerkiewki, a nawet ojca Pawła, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Nie robiłem tego cynicznie, nie liczyłem na to, że dzięki temu zaraz dobiorę się do bolesnych trzewi życiowych doświadczeń Tatiany. Przeciwnie, poczułem niepokój, że za chwilę może zacząć zrzucać na mnie ciężary, których nie chcę nieść. Ludzie nie zawsze otwierają się wtedy, kiedy macie na to ochotę.

Zdarza się, że jeśli chcą coś z siebie wyrzucić, sami szukają kogoś gotowego im w tym asystować. Nie musi to wynikać z okazywanej przez was empatii czy jakiejś umiejętności otwierania się na ludzi, rozmawiania czy bycia z nimi. Czasem zdarza się tak, że trafiacie na kogoś, kto biegnie ze swoją opowieścią jak z gorącym kartoflem. Jeśli nie trzymacie rąk w kieszeniach, rzuci wam ją, bo tego chce. Bo ona parzy go w ręce tak, że

nie może już wytrzymać. Dlatego czasem lepiej nie wyjmować rąk z kieszeni. Bo wy też możecie się sparzyć.

Z kolei człowiek, który nie chce czegoś opowiedzieć, nie zrobi tego. Będziecie kręcić się wokół niego pół godziny, godzinę, cały dzień, tydzień, miesiąc. Będziecie się uśmiechać, zgrywać. Albo zakładać maski poważnych i współczujących spowiedników, czarować głębokimi spojrzeniami, manipulować pozornie nieistotnymi pytaniami. I nic. W najlepszym razie, jeśli jest wygadany, będzie wam nawijał makaron na uszy, topiąc rozmowę w niekończących się dygresjach i anegdotach. Automatycznie odsunąłem się jeszcze dalej, niemal na skraj ławki. Tatiana nieco się zreflektowała. Też się cofnęła. Nie przestała jednak mówić.

Paweł i inni ojcowie powiadają, że modlitwy przed ikonami Romanowów pomagają rodzinom. Uchroniły wiele z nich przed rozpadem. Bolszewicy chcieli zniszczyć rodzinę, rozbić więzi między ludźmi, ale miłość Romanowów była tak wielka, że nic nie było w stanie jej zniszczyć. Dlatego te ikony pomagają.

Ojciec Paweł twierdzi też, że rodzina jest święta i powinna trwać bez względu na okoliczności. Jeśli mężczyzna odchodzi, to znaczy, że być może kobieta nie potrafiła go utrzymać. Samotność jest przecież dla kobiety ciężkim brzemieniem. Kobieta nie zawsze ponosi tu bezpośrednio winę. Przecież nie może odpowiadać za to, co robi mężczyzna. Ale rozstanie stanowi zawsze jej porażkę. Samotność wydaje się bowiem niezgodna z naturą. Samotność świadczy o tym, że coś jest nie tak. A przecież nic nie dzieje się bez przyczyny. Naczynie samo nie pęka. Albo ktoś je upuścił, albo wlał do niego zbyt gorący płyn. Musiało wydarzyć się coś niewłaściwego.

Mówiła również, że Paweł bardzo jej pomógł. Przekonał, że dzięki modlitwie można odkupić każdy niewłaściwy uczynek, uwolnić się od niego. A teraz jej starsza siostra wpadła w tarapaty. Zaczęła opowiadać o Marinie. Tak było bezpieczniej. Przesunąłem się w kierunku środka ławki i przestałem uciekać wzrokiem. Marina była w trakcie sprawy rozwodowej. Tatiana zachowywała się lojalnie, nie ujawniała wielu szczegółów, ale z jej dość ogólnikowych stwierdzeń i półsłówek wynikało, że mąż zamienił życie Mariny w mordęgę.

Mieli dwójkę dzieci. Chłopaka i dziewczynę. Syn był trochę starszy, szybko się ożenił. Marina niedawno została babcią. Córka rok temu wyjechała do Moskwy na studia. W tym czasie odwiedziła matkę tylko raz,

na Nowy Rok. To były pierwsze święta, które Marina spędziła bez męża. Tatiana urwała w tym miejscu. Pokiwałem głową, o nic nie dopytując. Chwilę milczeliśmy. Zrobiło się nam nieswojo. Jej, bo za bardzo się rozgadała. Mnie, bo byłem tego świadkiem. Ciężką ciszę przerwała nadchodząca wycieczka. Męczące zakłopotanie rozrzedziło się. Przenieśliśmy uwagę na zbliżających się ludzi. Znów same kobiety. Starsze i w średnim wieku. Na ich czele kroczył postawny batiuszka z wydatnym brzuchem i ogorzałą twarzą. Obeznany, wygadany, zdrowy i dobrze odkarmiony. Kobiety podążały za nim zasłuchane w jego perory.

Z realnymi mężczyznami nie zawsze jest lekko. Zwłaszcza z tymi, których ma się w czterech ścianach. Tak zwana statystyczna kobieta może czuć się znacznie bezpieczniej, idąc nocą przez ciemny park, niż siedząc we własnym domu przed telewizorem. Czterdzieści procent wszystkich ciężkich przestępstw popełnianych w Rosji zdarza się w rodzinie. Ponad dziewięćdziesiąt procent ich ofiar to kobiety – żony, partnerki, matki, córki i siostry. Zdaniem założycielek strony Domesticviolence.ru co piąta Rosjanka doświadczyła przemocy domowej, a każdego dnia około trzydziestu sześciu tysięcy kobiet jest bitych przez mężów lub partnerów.

W 2017 roku w Dumie Państwowej przegłosowano przeniesienie przemocy domowej z kodeksu karnego do kodeksu wykroczeń. W ten sposób parlament faktycznie ową przemoc zdekryminalizował. Teraz w przypadku pierwszego zgłoszenia przemocy fizycznej w rodzinie sprawca najczęściej dostaje zwykły mandat. Nie ma paragrafu, nie mam problemu. Państwo umyło ręce. Brzmi dość znajomo, nieprawdaż?

Wypowiedzi niektórych polityków przeczą elementarnemu zdrowemu rozsądkowi. Senator Jelena Mizulina, komentując usunięcie przemocy domowej z kodeksu karnego, chlapnęła bez żenady: „to nie jest znów takie straszne, jeżeli mężczyzna uderzy kobietę za to, że go obraziła jakimś słowem”. Inna deputowana, i to nie pierwsza lepsza, tylko Tamara Pletniowa, przewodnicząca Parlamentarnego Komitetu ds. Rodziny, Kobiet i Dzieci, oznajmiła, żeby nie wydzwaniać do niej w sprawie przemocy, bo to nie jej sprawa. A czyja? – można by zapytać, jeśli ktoś liczyłby na jakąkolwiek sensowną odpowiedź.

Oczywiście nie jest tak, że cała rosyjska klasa polityczna prześciga się w durnych komentarzach na temat bicia kobiet i dzieci. Większość parlamentarzystów po prostu nie zaprząta sobie tym głowy. Dla poważnych ludzi liczą się przecież dyskusje o Ukrainie, NATO, gazie i ropie. Kogo

obchodzi pobita żona czy maltretowane dziecko? Co innego kontrnatarcie w Syrii albo możliwości najnowszej rakiety balistycznej. O tym ględzi się w nieskończoność. A domowe brudy najlepiej prać w czterech ścianach.

W razie potrzeby można pokazać ludzi dobrego serca, którzy o coś się starają i nikt im w tym nie przeszkadza. Jedną z takich osób jest deputowana do Dumy Państwowej Oksana Puszkina, która od jakiegoś czasu zabiega o przywrócenie sankcji karnych wobec sprawców przemocy domowej. Większość parlamentarzystów nie traktuje działań Puszkiny zbyt poważnie. Ale i nie rzuca jej kłód pod nogi. Jeśli ma ochotę, to niech się tym zajmuje. To nawet dobrze. Nikt potem nie powie, że w kraju panuje znieczulica.

W 2018 roku Puszkina wydobyła z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych dane policyjne. Okazało się, że w ciągu niecałego roku po uchwaleniu ustawy dekryminalizującej przemoc domową policja odnotowała ponad sto sześćdziesiąt tysięcy przypadków pobić w prywatnych mieszkaniach. Zaledwie siedem tysięcy sprawców trafiło przed sąd. Dostępne dane i tak nie pokazują realnego obrazu problemu. Tylko mniej więcej co dziesiąta ofiara przemocy domowej zgłasza się na policję. Aż dziewięćdziesiąt siedem procent zgłoszonych przypadków nie kończy się wyrokiem sądowym. Anna Riwina z moskiewskiej organizacji Przemocy Nie stwierdziła pod koniec 2018 roku, że przy tak wielkiej skali niezgłaszania przypadków przemocy w rodzinach nie da się stworzyć wiarygodnej bazy danych.

Osobną kwestię stanowi przemoc seksualna i gwałty małżeńskie. Zwłaszcza te ostatnie są trudne do udowodnienia i niezbyt poważnie traktowane przez policję. Państwa nie interesuje poszerzanie wiedzy na temat tego problemu. Organizacje pozarządowe, które starają się działać na tym polu, udzielać pomocy prawnej, uświadamiać, mają słaby zasięg i są co najwyżej tolerowane przez państwo. Tatiana Orłowa – założycielka strony Domesticviolence.ru – w wywiadzie dla internetowego programu informacyjnego *Nastojaszczije Wriemia* stwierdziła, że za obojętnością państwa stoi coś więcej niż brak empatii i bagatelizowanie problemu.

Zdaniem Orłowej władza pozwala na przemoc, bo to czyni z obywateli spolegliwą masę już na poziomie relacji rodzinnych. Ludzie, którzy doświadczają przemocy regularnie, oswajają się z nią i zaczynają traktować jako naturalny element codziennego życia. Nie będą więc zwracać uwagi również na przemoc stosowaną przez aparat państwowy. Takimi ludźmi

wygodniej się rządzi. Przypomina to falę w wojsku. Starsi żołnierze znęcają się nad młodszymi. Oficerowie na to pozwalają, bo dzięki temu poborowi dyscyplinują się nawzajem. Potem łatwiej trzymać ich w ryzach i dowodzić nimi.

Cerkiewni hierarchowie pozytywnie odnieśli się do zmian w prawie faktycznie dekryminalizujących przemoc domową. Momentalnie zaczęli opowiadać o tradycyjnych wartościach, sile rodziny, obronie tożsamości i kultury. Poza tym każdy w dzieciństwie dostał lanie na gołą pupę i nic się nie stało. Nie da się dobrze wychować dziecka bez paska i ciężkiej ojcowskiej ręki.

Cerkiew woli zastanawiać się, skąd krzykliwe organizacje biorą pieniądze. Tylko naiwni mogą pomyśleć, że chodzi tu jedynie o przemoc w rodzinie. Gołym okiem widać, że to inspirowane działania. Oni najpierw chcą wleźć z buciorami w życie rodzinne, potem niewinnie gadają o tak zwanym równouprawnieniu, a zaraz potem zaczyna się promocja zboczeń i dewiacji. Chcą w ten sposób zniszczyć duchowe podstawy istnienia narodu i pozbawić go suwerenności. A na to Cerkiew nie pozwoli.

Kobiety oprowadzane przez masywnego popa zatrzymały przed drewnianą dzwonnicą. Duchowny głębokim, niskim głosem rozwodził się nad geniuszem staroruskich majstrów, którzy potrafili wznosić wysokie budowle bez używania gwoździ. My też go słuchaliśmy. Bardzo ciekawie opowiadał. Kiedy skończył, wróciliśmy do rozmowy.

– O, zobaczcie, jakie piękne albumy kupiłyśmy. – Tatiana sięgnęła do sporej foliowej reklamówki. – Ten z fotografiami najpiękniejszych monastyrów. A ten z carską rodziną… Jacy oni byli piękni, sami zobaczcie. – Podała mi wydrukowany na kredowym papierze album z reprintami starych zdjęć. Znów miałem przed oczami łagodną twarz Mikołaja, elegancką Aleksandrę, loczki cesarskich córek i równo przyciętą grzywkę carewicza Aleksego. Na kolejnych stronach były fotografie wojskowych parad, ogrodów, pałacowych komnat. Hasające psy myśliwskie, przystojni książęta i ich wierni żołnierzykowie ustawieni rzędami, jak aktorzy podczas próby *Dziadka do orzechów*.

– A to zdjęcie to nie jest to samo, które wisi tutaj w monastyrze? Na mostku nad jarem? – pokazałem palcem zdjęcie Olgi Romanowej.

– Tak, tak. To właśnie to samo! – Tatiana ożywiła się, całkowicie zapominając już o zażenowaniu zbytnią wylewnością, na którą pozwoliła

sobie kilka chwil wcześniej. – Piękne zdjęcie!

– Tak – zgodziłem się. – W ogóle tu jest bardzo ładnie – dorzuciłem tak po prostu, żeby coś jeszcze powiedzieć.

– Piękne miejsce, a taka straszna rzecz tu się stała, jak można było zabić ich wszystkich – powiedziała Tatiana, patrząc z zachwytem w album, tak jakby przeglądała się w czarodziejskim zwierciadle. – Cieszę się, że wreszcie przywiozłam tutaj Marinę. Tam u nich w Permie nie ma takiego miejsca… Pięknego miejsca pamięci…

– Tak – pokiwałem głową. – Ale w Permie też są miejsca pamięci, znane na cały świat – dodałem bezwiednie. Spojrzała na mnie zaskoczona pytającym wzrokiem.

– No muzeum Gułagu, Perm-36… – brnąłem, bo ciężko było się teraz wycofać.

– A, o to wam chodzi – spojrzała na mnie trochę rozczarowana. – No nie wiem, nie byłam, to znaczy do Permu czasami jeżdżę. Do siostry. Ale jakoś nie poszłam… To jest jakoś daleko, za miastem. Ale tam w ogóle coś było nie tak… Pisali czy mówili jakoś. Gdzieś słyszałam, że tam coś nie w porządku było… W ogóle takie nieprzyjemne miejsce. Ale nie wiem, nie byłam… Jacyś banderowcy tam chyba siedzieli.

– Rosjanie, Litwini, wszyscy… – powiedziałem i znów urwałem w pół zdania.

– No tak – przytaknęła – tak, tak…

Centrum Upamiętniania Represji Politycznych Perm-36 powstało w 1992 roku z inicjatywy miejscowego oddziału Stowarzyszenia Memoriał. Zorganizowano je na terenie zamkniętego w latach osiemdziesiątych kompleksu obozowego. Rzeczywiście nie było to przyjemne miejsce. Nie miało w sobie nic z rustykalnego etnoparku. Druty kolczaste, baraki, wieżyczki strażnicze. Tu i ówdzie odremontowane, w większości autentyczne.

Centrum poświęcono ofiarom represji. Ludziom powoli zabijanym pracą ponad siły. Poniżanym i cierpiącym bez sensu, bez ołtarzy, kadzideł i świętych obrazów. Centrum miało nie dać zapomnieć o tym, że niemal w każdej rodzinie był ktoś, kogo aresztowano, zesłano, rozstrzelano, wysłano do niewolniczej pracy. W marcu 2015 roku pod naciskiem ludzi związanych z Ministerstwem Kultury i Towarzystwem Wojenno-Historycznym Perm-36 wygasił działalność. Władimir Putin dla

przyzwoitości wyraził zmartwienie z powodu problemów „ważnej placówki”. I na słowach się skończyło.

– Ale to co innego, nie wiem, tam historycznie coś było nie tak, źle o historii mówiono… z błędami… Ale nie interesowałam się za bardzo. Poza tym to daleko – powtórzyła Tatiana.

Bez słowa wyjęła mi z ręki album z fotografiami carskiej rodziny i schowała go z powrotem do reklamówki. Wstała z ławki i uśmiechnęła się szeroko.

– Marina już długo siedzi. Pewnie zaraz skończą. Pójdę, bo sama też chciałam porozmawiać z ojcem.

Znów zostałem sam. Przez konary wysokich sosen przeświecało przyjemne, niskie słońce. Upał przestawał dokuczać. Popołudniowy leśny zapach miło kręcił w nosie.

10 Prawnuk kucharza i jego wrogowie

Starsza kobieta w skromnej, ciemnej spódnicy zadarła głowę. Wbiła wzrok w żyrandol i kiwające się pod nim ozdobne wisiory z masy plastycznej. Starała się nie poruszać. Była tak przejęta, jakby unosiły się nad nią najprawdziwsze diamenty. Nie opuszczała wzroku, bo wtedy mogłaby zderzyć się spojrzeniem z którymś z poważnych, milczących ludzi siedzących wokół niej. Najlepiej byłoby w ogóle zniknąć. Ciężko westchnęła, ale teraz już nie mogła wyjść. Sala konferencyjna w podziemiach Cerkwi na Krwi była zapchana do ostatniego miejsca.

Trzej mężczyźni w średnim wieku, którzy właśnie weszli do środka, musieli stanąć w przejściu. Obuci w skórzane oficerki, opatuleni w powłóczyste czerkieski z szerokimi glizami na piersiach, opięci skórzanymi pasami, zza których sterczały ozdobne kindżały. Nie zdjęli z głów kozackich kubanek, spod których grubymi strużkami ciekł pot. Trzymali się dostojnie, w pełnym rynsztunku.

Na ścianach jarzyły się energooszczędne żarówki świeczkowe, wkręcone w ozdobne metaloplastyczne kinkiety. W pewnym momencie mężczyźni w czerkieskach wcisnęli się między kolumienki z karton-gipsu, robiąc przejście eleganckiej brunetce w czerwonej sukni i zarzuconej na głowę białej, zwiewnej chuście. Starszy jegomość z siwą brodą, stojący bliżej sceny, teatralnie ukłonił się przed kobietą w czerwieni. Odwzajemniła mu się życzliwym uśmiechem i z uduchowioną miną weszła na scenę. Tuż za nią kroczył niewysoki, krępy facet w jasnej marynarce. Na środku sceny, na tle szerokiej fototapety z carską rodziną czekał stolik.

– Drodzy uczestnicy Festiwalu Kultury Prawosławnej. – Kobieta w czerwieni wzięła do ręki mikrofon. – Mam wielki zaszczyt zapowiedzieć odczyt Piotra Walentynowicza Multatulego, który opowie nam o swojej nowej książce. Piotr Walentynowicz to człowiek, dzięki któremu wciąż możemy poznawać nowe fakty i okoliczności męczeńskiej śmierci naszego cara Mikołaja II. A także całej świętej rodziny. Piotr Walentynowicz jest nam wszystkim dobrze znany. Ale pozwólcie, że przedstawię go w kilku słowach.

W głębi sali zadzwoniła komórka. Chudy, poorany zmarszczkami mężczyzna w polowej gimnastiorce zaczął nerwowo gmerać po kieszeniach. Melodyjka, którą wygrywał telefon, urwała się w połowie kolejnej pętli. Kobieta w czerwieni nie przerywała.

– Historyk, członek Związku Pisarzy, na co dzień pracuje w ośrodku studiów humanistycznych Rosyjskiego Instytutu Studiów Strategicznych. Członek zarządu Stowarzyszenia Propagatorów Historii Dwugłowy Orzeł. Dobry duch Stowarzyszenia Powrót, które od lat walczy o przywracanie pamięci historycznej, odbudowę zabytków i restytucję w naszych miastach pomników wielkich bohaterów rosyjskiej historii, tak długo z niej wymazywanych…

Piotr Walentynowicz rozsiadł się za stołem i wodził wzrokiem po sali. Przysadzisty, mocno zbudowany, o rumianych policzkach i mięsistych, malinowych ustach obramowanych starannie przyciętym wąsem i równo podgoloną brodą. Gdyby ktoś nazwał go prawicowym politrukiem, a stowarzyszenie Dwugłowy Orzeł czarnosecinnym think tankiem, z pewnością śmiertelnie by się obraził. Woli przedstawiać się jako niezależny badacz i popularyzator przemilczanych kart historii. Często występuje w założonej przez oligarchę Konstantina Małofiejewa prawosławnej telewizji Cargrad i pisuje teksty dla związanego z nią portalu informacyjnego.

Multatuli nie jest typem elastycznego showmana, który gładko dostosowuje się do różnych audytoriów. Trudno sobie wyobrazić go w warunkach realnej dyskusji, podczas której musiałby wejść w spokojną, rzeczową polemikę albo znaleźć wspólny język z kimś, kto nie podziela jego poglądów. Za to nad własną publiką panuje stuprocentowo. Pohukuje do niej z nieco knajacką manierą, akcentując mocno na pierwszą sylabę. Być może tego nawyku nabrał przed laty, kiedy pracował jako milicyjny śledczy.

Kobieta w czerwieni zakończyła entuzjastyczną prezentację i zeszła ze sceny. Gruchnęły oklaski. Człowiek, dzięki któremu wciąż poznajemy nowe fakty, chwycił za mikrofon i bez zbędnych wstępów zaczął przemawiać.

Już w pierwszych zdaniach oznajmił, że śmierć cara to największe duchowe wydarzenie w dziejach ludzkości. Niestety ktoś wciąż snuje zakulisowe intrygi, by zdezawuować rangę tego wydarzenia. Związek Radziecki upadł, ale zamazywanie pamięci o wielkim władcy trwa do dziś.

Wielu cynicznych albo niedouczonych pseudohistoryków powtarza kłamstwa na temat rządów świętego monarchy i umniejsza szczerą miłość, jaką darzył go lud. A przecież okres rządów Mikołaja II był złotym wiekiem w dziejach państwa.

Najgorsze jest to, przemawiał mocnym tonem, że naród wciąż nie odpokutował strasznej zdrady, której wówczas dopuścił się wobec swego monarchy. W dodatku obecna władza niewystarczająco się stara, aby zatryumfowały historyczna sprawiedliwość i moralna racja. Naród też nie upomina się o prawdę. I to jest najbardziej bolesne.

Publika w milczeniu chłonęła słowa potępienia. Kto jest temu wszystkiemu winien? Dlaczego nikt nie ujął się za carem? Wszyscy zdradzili? Co najmniej połowa słuchaczy zgromadzonych w sali wchodziła w dorosłość w erze Breżniewa. Oni też zdradzili cara i ojczyznę? Kobieta siedząca obok mnie tarła pomarszczone czoło suchą, kościstą dłonią. Ze zbolałą miną słuchała Piotra Walentynowicza opowiadającego o wielkiej zdradzie, której tragiczny finał rozegrał się w miejscu, w którym dziś się znalazła.

Piotr Walentynowicz zaczął opowiadać o dawnym carze. Z jego wywodów można było wywnioskować, że Rosją przez kilkaset lat rządziła jedna i ta sama figura o imieniu Car. Stał za nią bliżej nieokreślony uniwersalny ład. Niekiedy owa wszechpotężna postać spływała w lud. To znów wynurzała się z jego głębin i wtedy lud w swej masie stawał się jednym wszechogarniającym ciałem Cara. Od czasu do czasu Car przyjmował w pełni ludzką postać i po prostu sprawiedliwie rządził ludem. Najdoskonalszą manifestacją owego przepoczwarzającego się kolektywnego bytu o imieniu Car był Mikołaj II Romanow.

Piotr Walentynowicz konsekwentnie nazywał Mikołaja męczennikiem (*muczenik*), naruszając cerkiewny kanon. W pewnym momencie któryś ze słuchaczy usiłował to wyjaśnić, ale Multatuli szybko zbył go i przeskoczył do kolejnego wątku. Publika wpatrywała się w niego bez mrugnięcia powieką. W końcu wypłynął na najszersze wody i zaczął snuć dywagacje na temat ofiary Mikołaja II, napomykając mimochodem o ofierze Jezusa Chrystusa. Zrobił to jednak bardzo pokrętnie. Zabójcy Mikołaja II są jak zabójcy Chrystusa, oznajmił. Car nie jest jednak Chrystusem w sensie dosłownym, ale zabili go zabójcy Chrystusa. Nie rozumiecie? Trudno. Publika nie miała poważniejszych problemów ze złapaniem, o co chodzi.

Analogie, hiperbole i plątaniny porównań dają spore pole do popisu. Można na przykład oznajmić coś z całą mocą, czarno na białym, a przy tym nie dać złapać się za słowo. Zaprawdę wielka jest moc metafor. W oczach siedzącej obok mnie starszej kobiety o kościstych dłoniach pojawiły się łzy. Stojący pod ścianą mężczyźni w czerkieskach i kozackich czapkach zmarszczyli brew. Retoryczny slalom zakończył się małym happy endem. Na sprawców strasznego morderstwa spadło wieczne przekleństwo.

Piotr Walentynowicz nie prowadzi krucjaty przeciw zdrajcom cara ot tak sobie. Angażuje się, jakby miał z nimi osobiste porachunki. Urodził się pod koniec lat sześćdziesiątych w Leningradzie. Ale jego matka wychowała się w Paryżu, w rodzinie porewolucyjnych emigrantów. Do ojczyzny wróciła z rodzicami na fali odwilży w 1957 roku. Multatuli pytany o rodzinę zazwyczaj kryguje się, że najważniejsza dla niego jest prawda historyczna, a nie koligacje. Ale o rodzinnych koneksjach umie opowiadać długo i szczegółowo.

Trzeba przyznać, że ma się czym pochwalić. Jest potomkiem generała majora Piotra Gawriłowicza Biełlika, naczelnika fortu w Groznym i wojennego zarządcy niepokornej czeczeńskiej prowincji. Stary weteran wojen kaukaskich to jednak niewiele w porównaniu z innym przodkiem. Piotr Walentynowicz jest prawnukiem Iwana Charitonowa, nadwornego kucharza cesarskiej rodziny. Jego pradziad służył Romanowom do końca. W nocy z 16 na 17 lipca zabito go właśnie tutaj, w piwnicy ipatjewskiego domu, razem z rodziną cesarską. Kto, jeśli nie jego prawnuk ma dziś opowiedzieć wszystkim, jak było naprawdę? Głoszenie prawdy o carze Mikołaju II stało się więc życiową misją Piotra Walentynowicza.

Jest niezwykle płodnym autorem. Dotychczas opublikował ponad dwadzieścia książek i niezliczoną liczbę artykułów, artykulików, notatek, polemik i komentarzy. Bardzo lubi opowiadać o służbach, lożach, tajnych zakulisowych grupach i ich planach. Uwielbia demistyfikować kłamstwa i falsyfikacje oficjalnego dziejopisarstwa. Jeżeli jakieś historyczne źródła stoją w sprzeczności z jego teoriami, to tym gorzej dla źródeł.

W swoim czasie twierdził, że zrzeczenie się tronu przez Mikołaja II to historyczny fejk. Car nie podpisał w 1917 roku żadnego manifestu w tej materii. Takich sensacji nie głosili nawet najradykalniejsi emigracyjni monarchiści. Przeciwnie, część z nich zarzucała Mikołajowi II, że abdykując, zdradził naród i tron. Nie miał prawa zrzekać się korony, bo nosił ją z woli bożej, więc tylko Bóg mógł zdjąć ją z jego głowy. Trudno

jednak znaleźć kogoś, nawet mało przytomnego, kto na serio twierdziłby, że ustąpienie Mikołaja z tronu to mistyfikacja.

Fragment dzienników, w którym ostatni rosyjski car pisał o okolicznościach ustąpienia z tronu, o presji, jaką wywierali na niego dowódcy wojskowi i republikańscy politycy, Multatuli uznał za podróbkę. Potem nieco zmienił ton. W 2011 roku pisał już o „wątpliwym papierze". I o tym, że car do końca heroicznie opierał się spiskowcom. Wciąż jednak nie dowiedzieliśmy się prawdy o tym, co wydarzyło się na początku 1917 roku w Pskowie, gdzie rzekomo zatrzymano Mikołaja II, by wymusić na nim abdykację. W ten sposób, w nieco łagodniejszej formie dał do zrozumienia, że car tronu się nie zrzekł, a ludzie do dziś są oszukiwani.

W zasadzie żaden poważny historyk nie wchodzi z nim w dyskusję, bo z czysto profesjonalnego punktu widzenia nie ma o czym rozmawiać. Trudno dyskutować z kimś, kto często przeczy nawet sam sobie. Z ogniem w oczach twierdzi, że nigdy nie powiedział czegoś, co właśnie przed chwilą mówił. Albo pisze na jakiś temat bardzo apodyktycznym tonem po to, by za chwilę zmienić zdanie i stwierdzić coś wprost przeciwnego. Mimo wszystko wynurzenia Piotra Walentynowicza bywają dość interesujące. Sporo mówią o stanie świadomości pewnej części skrajnie konserwatywnej konfraterni.

Szczególnie ciekawe są opinie Multatulego na temat najbardziej ekscytującej postaci z najbliższego otoczenia Mikołaja II. Nieblaknącej gwiazdy sensacyjnych programów telewizyjnych, kolorowych pisemek, blogów, historycznych śledztw i szpiegowsko-erotycznych fantazji, przyprawionych okultyzmem, mistyką i krwawą zbrodnią. Panie i panowie, przed wami król tysiąca tajemnic, jedyny i niepowtarzalny Grigorij Rasputin Superstar.

Piotr Walentynowicz od lat toczy batalię o przywrócenie Rasputinowi dobrego imienia – walczy zwłaszcza z utartymi poglądami porewolucyjnego, emigracyjnego mainstreamu. Mówiąc w dużym skrócie, Rasputin uchodził za wątpliwej reputacji typa, który omotał niestabilną emocjonalnie, pogrążoną w sekciarskiej dewocji cesarzową Aleksandrę. Z jej udziałem wywierał fatalny wpływ na chwiejnego Mikołaja II, co oczywiście nie pomagało trzęsącemu się w posadach państwu.

Tymczasem Multatuli i jemu podobni konsekwentnie powtarzają, że było zupełnie na odwrót, a „boży człowiek Grigorij" jeszcze za życia był cynicznie i z rozmysłem demonizowany. Nie ma mowy o żadnych pijackich

i erotycznych eskapadach świętego starca. Wszystkie opowieści o jego rozwiązłości czy rzekomej współpracy z niemieckim wywiadem zostały wyssane z palca i rozpowszechnione przez wrogów Rosji.

Rasputin był nie tylko duchowym powiernikiem Aleksandry i Mikołaja. Jego rola była znacznie donioślejsza. To on miał chronić tron przed zakulisowymi intrygami. W swoim czasie Piotr Walentynowicz napomykał nawet, że Rasputin dysponował nadludzkimi możliwościami. W ostatnich latach znacznie częściej przedstawia go jako zwykłego, prostego rosyjskiego człowieka. Ów „zwykły, prosty rosyjski człowiek" nie jest jednak ani taki „prosty", ani tym bardziej „zwykły".

W książce *Mify i prawda o rossijskom impieratorie Nikołaje II* [Mity i prawda o rosyjskim imperatorze Mikołaju II] Multatuli poświęca Rasputinowi osobny rozdział, w którym opisuje go przede wszystkim jako człowieka znienawidzonego przez elity, a w szczególności przez masonów. I to właśnie masoni mieli przyprawić „bożemu człowiekowi Grigorijowi" gębę groźnego sekciarza, hipnotyzera i okultysty. W ten sposób chcieli go nie tylko skompromitować, ale w ogóle usunąć poza wspólnotę Cerkwi prawosławnej. Ich potomkowie kontynuują tę robotę do dziś. Stąd bierze się popularny wizerunek Rasputina jako półobłąkanego, rozwiązłego grzesznika i czarownika. Tymczasem siłą Rasputina, której masoni lękali się najbardziej, była czyniąca cuda prosta i żarliwa modlitwa. Wielokrotnie dowodził jej mocy, ratując życie chorowitemu carewiczowi Aleksemu.

Mikołaj i Aleksandra uwielbiali go za szczerą, genialną w swej prostocie, ludową mądrość. Rasputin nie był oderwanym od świata prorokiem, który widzi coś z oddali i ma nadzwyczajny dar przewidywania nadchodzącej przyszłości. Nie był też samorodnym, uduchowionym wiejskim filozofem, którym zafascynował się zniechęcony dworskim życiem monarcha. Ustami Rasputina, z najprawdziwszych głębin swej zbiorowej duszy, przemawiał rosyjski lud. Właśnie dlatego car nie nazywał go świętym prorokiem, tylko „dobrym rosyjskim człowiekiem".

Rasputin był, w sensie dosłownym, łącznikiem między ludem i władcą. Jeśli więc Mikołaj II słuchał jego rad i postępował zgodnie z nimi, oznaczało to, że rządy cara są *expressis verbis* rządami ludu. Związek między Rasputinem a Mikołajem oznaczał, że lud i władca stanowią jedność. Nie ma zatem cara i ludu. Władca istnieje dzięki duchowej jedności z ludem, a lud manifestuje się w osobie władcy. „Boży człowiek Grigorij" był duchowym obrońcą nie tylko domu Romanowów, ale całego

państwa – władcy i ludu jako nierozerwalnej, organicznej jedni. Masoni doskonale o tym wiedzieli. I dlatego Rasputin musiał zginąć, a pamięć o nim jest zohydzana do dziś.

W grudniu 1916 roku, po śmierci „dobrego rosyjskiego człowieka", jedność władcy i narodu przestała istnieć. Uświęcony ład rozpadł się. Niespełna dwa miesiące później Mikołaj II został w tajemniczych okolicznościach odsunięty od tronu. Państwo i lud stoczyli się w przepaść. Doszło do przewrotu bolszewickiego i wybuchła wojna domowa. Po krwawej bratobójczej jatce władza trafiła w ręce bezbożników. Niestety, lud ponosi współodpowiedzialność za tę katastrofę. Nie rzucił się na pomoc carowi i w ten sposób zaparł się własnej tożsamości. Do dziś ciąży na nim ów straszliwy grzech, który musi zostać odpokutowany.

W sali zaczynało brakować powietrza. Piotr Walentynowicz głosił już prawie od godziny. Wreszcie przyszedł czas na pytania i komentarze. Na dobry początek ktoś z tylnych rzędów wyskoczył z Żydami. Umordowani upałem faceci w czerkieskach i kozackich czapkach nieco odżyli i ze zrozumieniem pokiwali głowami. Piotr Walentynowicz zareagował błyskawicznie.

– To nie jest kwestia etniczna. To nie zależy od takiej czy innej narodowości. To sprawa honoru i lojalności.

Na sali dały się słyszeć pomruki, że przecież Swierdłow był Żydem, a Trocki to niby kto, nie mówiąc już o Jurowskim i całej czerwonej bandzie, która siedziała wtedy na Uralu. Tu i tam rozległy się szepty o popełnionym na carze mordzie rytualnym.

– Żydzi zabili cara naszego – westchnęła kobieta siedząca rząd niżej.

Ludzie półgłosem wymieniali się kolejnymi nazwiskami. Oczywiście nie tylko tymi sprzed stu lat. Ktoś chlapnął pod nosem o Romanie Abramowiczu i okołokremlowskim oligarsze Wiktorze Wekselbergu. Jeszcze chwila, a okazałoby się, że Mikołaja II zabił Arkadij Rotenberg, jeden z najpotężniejszych rosyjskich oligarchów i stary kumpel Putina z leningradzkich czasów.

Piotr Walentynowicz szybko zapanował nad salą. Zaczął opowiadać o miłości do cara, jaką żywiły wszystkie ludy imperium, w tym uczciwi rosyjscy Żydzi. Carowi byli wierni zarówno buddyjscy Buriaci, jak i Tatarzy muzułmanie, a nawet Polacy katolicy. Przednowoczesny anachronizm niczym cudowny kompas przeprowadził Piotra Walentynowicza między rafami etnicznego nacjonalizmu i antysemityzmu.

W sielankowym przednarodowym świecie żył sobie jeden jedyny, połączony mistyczną komunią, Carolud. Temat winy, którą jakoby ponoszą Żydzi za zamordowanie cara, był dla większości publiki tak oczywisty, że w zasadzie nie było o czym rozmawiać i o co się spierać. W atmosferze „wszyscy wiemy, o co chodzi", ludzie zaczęli znowu słuchać.

W odpowiedzi na kolejne pytanie Piotr Walentynowicz przystąpił do narzekania, że Rosja jak długa i szeroka pełna jest pomników morderców. Nawet tu, niedaleko tego świętego miejsca stoi pomnik mordercy Swierdłowa. A pomnika Mikołaja II nie ma. Państwo w ogóle się tym nie interesuje.

– Serbowie z wdzięczności za oswobodzenie od Turków postawili w centrum Belgradu pomnik naszemu carowi, a u nas? – żołądkował się. – Wszystkie pomniki świętego imperatora powstały ze środków prywatnych dobroczyńców albo dzięki zbiórkom wiernych.

Umiejętnie balansował na krawędzi. Kiedy docierał do granicy, zwalniał i robił zwrot. Pozwalał ludziom na emocje, ale pilnował, żeby nie przeginali. W odpowiednim momencie potrafił zmienić temat i popłynąć w przeciwnym kierunku. Zgrabnie wrócił więc do porzuconej jakiś czas temu opowieści o siłach, które sprzysięgły się przeciw potężnemu i rozkwitającemu imperium. Wygłosił krótką mowę o japońskim i niemieckim wywiadzie oraz ponadnarodowym kapitale. Ludzie znów słuchali go w głębokim skupieniu.

– Dlaczego tak się stało, kto za to odpowiada? – zapytał ktoś ze środka sali.

Ci, którzy wcześniej mieli sporo do powiedzenia o Żydach, z uśmieszkami Giocondy zaczęli rozglądać się wkoło.

– Kto jest w takim razie wrogiem? – facet z tylnych rzędów dorzucił proste, ale fundamentalne pytanie.

Zapadła krótka cisza. Piotr Walentynowicz odpowiedział mocnym, pewnym głosem:

– To liberałowie uruchomili zło. Oni zawsze tak robią. Trzeba się im przeciwstawiać. Nigdy więcej nie milczeć, kiedy znów zaczną realizować niezgodne z naturą plany…

Teraz rozkręcił się na całego. Ruszył z opowieścią o tym, jak otumaniony lud nie zdawał sobie sprawy, że już na początku XX wieku zaczęto tworzyć Rząd Światowy. Miejscowi posiadacze, kapitaliści, nawet książęta i arystokraci chcieli włączyć się w powstający system globalny.

Chcieli stać się prawdziwymi globalnymi oligarchami. Na początku XX wieku już tylko car im to uniemożliwiał. Pod panowaniem Mikołaja II nie było oligarchii. Car nie pozwalał finansjerze w pełni kontrować władzy. I dlatego został obalony.

Wszyscy porzucili ukochanego cara, grzmiał Piotr Walentynowicz, zdradzili go dowódcy wojskowi i najbliższe otoczenie. Wpływowi krewni na europejskich dworach siedzieli cicho i nie kiwnęli palcem, żeby go ratować. A co zrobił rosyjski lud? Nic! I to jest największy paradoks, bo przecież lud kochał swego cara. I dlatego trzeba się pokajać, pokutować, błagać o wybaczenie. Tu i teraz. W ten sposób wrócił szerokim łukiem do idei wielkiej narodowej pokuty, której konieczność ogłosił już na początku spotkania.

A kiedy znów pojawią się jacyś oderwani od rzeczywistości, podpuszczeni przez Zachód reformatorzy, obłąkani paniczykowie chcący realizować niezgodne z naturą idee, to lud musi zerwać się do samoobrony i natychmiast wybić im te pomysły z głowy. Bo oni nigdy nie działają na rzecz ludu. Sprzeniewierzają się ludowi. Zdradzają własny naród. Są tak wpatrzeni w Zachód, że często nie trzeba im nawet płacić. Ale oczywiście za ich plecami stoją zakulisowi kuratorzy. I wtedy też tak było…

W opowieści Piotra Walentynowicza największym złem byli liderzy republikańskiej rewolucji lutowej – mason i socjalista Wiktor Sawinkow, umiarkowany konserwatywny liberał Michaił Rodzianko, szefowie Rządu Tymczasowego Gieorgij Lwow i Aleksandr Kierenski. Dziś bardzo łatwo w nich walić. No bo kogo teraz obchodzi ten czy ów przegrany demokrata sprzed stu lat?

Granice historii rozciągały się jak guma. Trudno było stwierdzić, kiedy Piotr Walentynowicz kończył mówić o obaleniu dynastii Romanowów, a zaczynał opowiadać o latach dziewięćdziesiątych. Słuchając jego wywodów, momentami można było odnieść wrażenie, że w marcu 1917 roku, na stacji w Pskowie Mikołaja II zmuszono do podpisania aktu rozwiązania ZSRR. Po czym Lwow i Kierenski do spółki z Jelcynem i Gajdarem rozpuścili armię radziecką, uwolnili ceny towarów i pozwolili Bieriezowskiemu okradać naród, a Jurowskiemu i jego chłopcom ściągać haracze na bazarach i handlować kradzionymi samochodami pod kryszą George’a Sorosa. Nie marnował przy tym czasu na wyjaśnianie, kim są liberałowie i co rozumie przez pojęcie liberalizmu. Wszyscy i tak wiedzieli to doskonale. Liberał to po prostu zaprzedany Zachodowi słabeusz, który

wyrzekł się własnych korzeni, dla zysku zdradził swego władcę i naród. W najlepszym razie jest szkodliwym głupcem, ale to go w niczym nie usprawiedliwia.

Wspominał co jakiś czas o bolszewikach, ale bez większych emocji, mimochodem, jak o czymś w rodzaju kary boskiej czy niszczycielskiej siły natury. To, że szczerze i z całego serca nie znosi czerwonych, jest dość oczywiste, ale komunizm to raczej wtórny problem. Związek Radziecki uważa za twór z gruntu antyrosyjski i antychrześcijański. A komunizm za zarazę, którą masoni z rozmysłem zainfekowali świętą Rosję. Bąknął kilka razy o zbrodniach Lenina, napomknął dość lakonicznie o Stalinie.

Kiedy rosyjska skrajnie konserwatywna i neoimperialna prawica zaczyna rozmawiać o Stalinie, czarno-biały świat swoich i obcych, dobrych i złych, bohaterów i zdrajców w cudowny sposób staje się bardzo zniuansowany. Nazwanie Piotra Walentynowicza apologetą Józefa Wissarionowicza byłoby grubą nieprzyzwoitością. Nie podoba mu się mieszanie tradycyjnego naturalnego ładu na niebie i ziemi z umiłowaniem generalissimusa.

W 2015 roku w Uljanowsku odbył się zjazd Klubu Izborskiego, konserwatywnego think tanku łączącego tak zwane tradycyjne wartości z apologią imperium radzieckiego, carskiej Rosji i ideologią eurazjatycką. W sali obrad powieszono ikonę przedstawiającą Matkę Boską błogosławiącą z niebios Stalinowi przewodzącemu hufcowi sowieckich marszałków. Piotr Walentynowicz był wówczas jednym z tych, którzy podnieśli wrzawę przeciw bałwochwalstwu i profanacjom. Niejeden raz krytykował odradzający się kult Stalina.

Kiedy jednak zabiera się do krytykowania samego Józefa Wissarionowicza, robi to dość wybiórczo i tak, żeby przypadkiem nie naruszyć największych świętości. Przede wszystkim sakralności Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, centralnego mitu putinowskiej Rosji. Konsekwentny państwowiec, a nawet monarchista – twierdzi ponadto – nie powinien zupełnie bezrefleksyjnie potępiać Stalina. Państwo, którym rządził, było przecież silne i wielkie. Owszem, nie wolno zapominać, że przy okazji utopił we krwi miliony jego mieszkańców, czego nigdy nie zrobiłby dobry imperator. Dlatego to monarchia była naturalnym i najlepszym systemem, a stalinizm tylko ślepym zaułkiem historii. Nie można jednak zapominać, że to Stalin wykończył pierwsze pokolenie bolszewików, a zwłaszcza nasłaną z Zachodu masońską agenturę. Podjął próbę przywrócenia

suwerenności krajowi, który co najmniej do początków lat trzydziestych żył na pasku międzynarodowego kapitału i rodzącego się Rządu Światowego.

Tego typu wygibasy nie są ani oryginalne, ani szczególnie nowe. Pod wieloma względami przypominają punkt widzenia nieformalnej frakcji partyjnych nacjonalistów, która po śmierci Stalina zaczęła formować się w ramach Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. W epoce Breżniewa między partyjnymi nacjonalistami a neostalinistami bujnie rozkwitała romantyczna miłość.

Im więcej czasu upływało od śmierci Józefa Wissarionowicza, tym pojemniejszy stawał się wyrosły wokół niego mit. Partyjni nacjonaliści widzieli w nim przede wszystkim wielkiego przywódcę, który nie tylko odbudował imperium, ale rozszerzył strefę rosyjskich wpływów bardziej niż ktokolwiek przed nim. Z szacunkiem wspominali o tym, że w czasie wojny pogrywał symboliką imperium rosyjskiego. Przywrócił Armii Czerwonej oficerskie pagony. Odwoływał się do mitów rosyjskiego oręża, walecznych ruskich kniaziów i carskich generałów. Co prawda, zniszczył niemal całkowicie Rosyjską Cerkiew Prawosławną, ale potem stworzył ją od nowa.

Stalin skutecznie zabrał się do językowej rusyfikacji imperium radzieckiego. Przetrzebił nierosyjskie elity w komitetach partyjnych republik związkowych. Nacjonalistom bardzo podobał się również przypisywany mu antyelitaryzm. Stalin nie dowierzał inteligentom, uważał ich za element niepewny i chwiejny ideologicznie. Czystki na uniwersytetach i w instytucjach kultury przeprowadził wyjątkowo skrupulatnie.

Towarzysze nacjonaliści cenili go w szczególności za skuteczność, z jaką w ostatnich latach życia wyczyścił aparat partyjny z zakamuflowanych zachodnich agentów wpływu, trockistów i kosmopolitów (czytajcie: Żydów). Po śmierci Stalina bywały takie okresy, kiedy zamiatany pod dywan partyjny antysemityzm zlewał się z oficjalną linią Komitetu Centralnego. Pod przykrywką antysyjonizmu nieoficjalna frakcja nacjonalistyczna w KPZR mogła zupełnie otwarcie dawać upust agresywnemu antysemityzmowi. I przy okazji załatwiać wewnątrzpartyjne porachunki.

Rozprawę z obcymi wpływami doceniali nawet emigracyjni nacjonaliści. Owszem, nie znosili komuny, twierdzili, że ZSRR to łże-Rosja, ale za największe zagrożenie uważali ekspansywny zachodni liberalizm.

Tymczasem żelazna kurtyna chroniła ojczyznę przed wpływami masonów, światowego żydostwa, międzynarodowych syndykatów polityczno-finansowych i wszelkich innych antyrosyjskich sprzysiężeń. Imperium sowieckie imponowało również emigracyjnym eurazjatom. Związek Radziecki nie był ich wymarzoną formą państwowości, ale to dzięki Stalinowi stał się potężnym eurazjatyckim imperium, od Bałtyku po Pacyfik i od Azji Centralnej po krąg polarny.

Kiedy imperium sowieckie chyliło się ku upadkowi, partyjni nacjonaliści i neostaliniści jednym głosem wskazywali tych samych wrogów państwa – reformatorów i partyjnych liberałów, których uważali za marionetki w rękach Zachodu. Popularność zyskiwała teoria, że za osłabieniem ZSRR stoją przepoczwarzeni zachodni trockiści, którzy po sztucznie rozpętanej rewolcie obyczajowej w latach sześćdziesiątych i przeprowadzonych w laboratoriach inżynierii społecznej zmianach społeczno-kulturowych opanowali najważniejsze instytucje polityczne zachodniego świata. Idąc konsekwentnie tym tropem, można dojść do wniosku, że pieriestrojka i upadek ZSRR nie były niczym innym, tylko rewanżem trockistów na państwie stworzonym przez Stalina. A to z kolei oznaczałoby, że Trocki, ubity czekanem przez sowieckiego agenta, zza grobu zemścił się na Stalinie, również leżącym w grobie. Dalej zaczyna się już fabuła horroru klasy C i pojedynki bladych zombi w świetle księżyca.

Neostalinowski beton przystąpił pod koniec lat osiemdziesiątych do demaskowania piątej kolumny, zdrajców, obcej agentury rozpowszechniającej kłamstwa, między innymi o rzekomych stalinowskich represjach. To wszystko miało na celu zniszczenie ducha ludu radzieckiego i zohydzenie jego historii. Artykuły napisane w tej poetyce ukazywały się pod koniec lat osiemdziesiątych między innymi na łamach „Sowietskoj Rossii”, organu wyrażającego opinię reakcyjnego skrzydła Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

Na początku lat osiemdziesiątych, przy moskiewskim oddziale organizacji zajmującej się ochroną pomników i zabytków powstało legendarne stowarzyszenie Pamięć. Po jakimś czasie sama ochrona dziedzictwa materialnego okazała się niewystarczająca. Część środowiska zaczęła głosić konieczność ochrony nie tylko zabytków, ale również dość specyficznie pojmowanych, duchowych podstaw rosyjskiej kultury. Najprawdopodobniej od samego początku Pamięć działała pod ścisłą

kontrolą piątego wydziału KGB, zajmującego się zwalczaniem zagrożeń ideologicznych i ruchami dysydenckimi.

Sama nazwa Pamięć mało subtelnie wpychała się w sferę skojarzeń z działalnością Memoriału, organizacji skupiającej dysydentów, którzy w tamtym okresie mieli odwagę pisać w drugim obiegu o prawach człowieka i walczyć o przywracanie pamięci ofiar komunistycznych represji. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych, nie bez udziału towarzyszy z Łubianki, w szeregach Pamięci doszło do całej serii rozłamów na pomniejsze, coraz bardziej radykalne frakcje. Środowisko dryfowało w kierunku skrajnie konserwatywnego, kipiącego teoriami spiskowymi nacjonalistycznego prawosławia. Demaskowano żydowsko-masońskie spiski i rozmaite tajne siatki inspirowane przez wrogów narodu, stawiające sobie za cel zniszczenie prawdziwej rosyjskiej tożsamości.

W 1991 roku nacjonalistyczna publika poczuła wiatr odnowy, a przy okazji otworzyło się przed nią mnóstwo nowych możliwości. W nowej Rosji w Pamięci zostało zaledwie kilku zdziwaczałych marginałów. Wielu dawnych działaczy i ludzi w jakiś sposób powiązanych z tym środowiskiem pozakładało w latach dziewięćdziesiątych nowe ugrupowania. Pamięć uważana jest za pierwszą współczesną rosyjską organizację nacjonalistyczną z prawdziwego zdarzenia. Byli pracownicy wydziału piątego KGB skromnie nie zabiegają o splendory i palmy pierwszeństwa. Cóż, służba nie drużba.

Zaduch w sali konferencyjnej Cerkwi na Krwi stawał się nie do zniesienia. Przez ciężkie, gęste powietrze przebijał głos Piotra Walentynowicza, który wciąż odpowiadał na pytania padające z sali.

– Przed rewolucją cała sfera informacyjna została zdominowana przez liberalne gazety – oznajmił.

– A gazety bolszewickie? – szczupły facet w przylepionej do spoconego ciała koszuli zadał kolejne pytanie.

– Bolszewizm to też liberalizm, tyle że radykalny – huknął Piotr Walentynowicz – to skrajna forma liberalizmu. W ogóle wszyscy lewicowcy, ci umiarkowani i ci bardziej radykalni… Oni wszyscy, powtarzam, wszyscy, mają te same korzenie. Wszyscy przyszli z Zachodu. Kłamali wtedy i dziś robią to samo. A my chcemy otwarcie mówić o tym, co naprawdę stało się z naszym carem męczennikiem. Dlatego nas piętnują, nazywają carobożnikami. A przecież my chcemy po prostu poznać prawdę.

11 Kosmokrator i odkupiciel

Spotkanie z prawnukiem carskiego kucharza Charitonowa, poszukiwaczem prawdy i niepokornym badaczem dziejów dobiegło końca. Grupa fanów obstąpiła podest i stół, przy którym Piotr Walentynowicz podpisywał niedawno wydaną książkę *Impierator Nikołaj II. Tragiedija nieponiatogo samodierżca* [Imperator Mikołaj II. Tragedia niezrozumianego samodzierżcy]. Faceci w czerkieskach i kozackich kubankach dostojnie sunęli w kierunku wyjścia. Każdy miał w ręku własny podpisany przez autora egzemplarz. Jeden z nich zatrzymał się w drzwiach i strzelił sobie selfie na tle pustoszejącej sali.

W szerokim korytarzu, między salą konferencyjną a dolną kaplicą, urządzono wystawę poświęconą pamięci uralskich duchownych pomordowanych przez bolszewików. Byłem zmęczony. Opuściłem właśnie jedno z najdziwniejszych spotkań autorskich, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek widzieć. Wprost z teatru ponurej groteski wpadłem w miejsce, w którym ze szklanych gablot, z reprodukcji czarno-białych fotografii, spoglądały realne ofiary totalitarnej przemocy. Zrobiło mi się jeszcze bardziej duszno. Stąd był już tylko krok do najświętszej przestrzeni świątynnego kompleksu. Miejsca, w którym znajdowały się piwnice i fundamenty ipatjewskiego domu.

W dolnej kaplicy tłoczyli się wierni. Niektórzy wolno przechadzali się wzdłuż ścian, z zaciekawieniem wpatrywali się w ikonostas, zadzierali głowy i przyglądali się świeżym freskom na suficie. Inni z zupełnie nieobecnym wyrazem twarzy odpływali w modlitwę. Monotonnie recytowali ją półszeptem albo powtarzali w myślach.

W miejscu, gdzie niegdyś znajdowała się piwniczna ściana, przed którą przeprowadzono egzekucję, umieszczono osobny ołtarz, krzyż i sporą ikonę świętej rodziny, napisaną w klasycznym, rusko-bizantyjskim stylu. Przed ikoną na długiej drewnianej ławce w milczeniu siedziały starsze kobiety. Obok stali mężczyźni ubrani w mundury polowe i koszulki w kamuflaż. Resztki powietrza wyczerpywały się pod nisko zawieszonym sufitem.

Z prawej strony dolnej kaplicy otwierało się kolejne przejście. A za nim dobrze oświetlona, spora, klimatyzowana księgarnia. Półki, ciągnące się od sufitu do podłogi, uginały się pod rzędami książek, głównie publicystyki religijnej i historycznej, albumów i poradników. Po dłuższej chwili eksplorowania oferty znalazłem się przy kasie.

– Wszystkiego dobrego z okazji wielkiego jubileuszu! – uśmiechnięta sprzedawczyni wydała mi resztę i wręczyła foliową firmową siatkę z kolorowym obrazkiem Cerkwi na Krwi oraz logo obchodów stulecia pamiętnego mordu. Do starannie spakowanych książek dorzuciła paragon.

– Wszystkiego dobrego! – entuzjastycznie odpowiedziałem i w tym samym momencie książki wysypały mi się na podłogę. Speszony zacząłem szybko zbierać je do torby. Nie odwracając się, wyszedłem na zewnątrz. Minąłem pomnik carskiej rodziny zastygłej na krętych, prowadzących w dół kamiennych schodach.

Po drodze omal nie potknąłem się o fragmenty rusztowań, wokół których uwijali się monterzy. Przed świątynię zwieziono już elementy podestu, na którym Cyryl I odprawi wyczekiwane od tygodni nocne nabożeństwo. Wszedłem między facetów w kozackich czapkach z czerwonymi otokami, kobiety w jednakowych koszulkach z nadrukiem „Wolontariat” oraz kręcących się bez ładu i składu pielgrzymów. A potem niesiony przez sporą grupę ludzi spłynąłem w dół, wprost na ulicę Carską.

Ci, których zaczęto nazywać carobożnikami, nie tworzą jednego, w pełni spójnego środowiska. To nieco fantomowa zbieranina luźno powiązanych ze sobą sekciarskich grup skupionych wokół charyzmatycznych kapłanów i cała masa prawosławnych radykałów krążących między tymi samymi świętymi miejscami. Łączy ich tak zwane carobóstwo (*cariebożyje*), czyli najkrócej mówiąc w różny sposób wyrażana mesjanistyczna wiara w męczeńską ofiarę Mikołaja II. Święty car miał świadomie poświęcić swoje życie po to, by odkupić grzechy ludu rosyjskiego. W praktyce brak tu jednak jasno określonej i sztywno przestrzeganej doktryny.

Pojawiające się w ostatnich kilku latach w rosyjskich mediach pojęcia carobóstwo i carobożnicy są dość umowne. Nie wszyscy wyznawcy odkupicielskiej ofiary świętego cara patriarchy ich używają. Zdarza się nawet, że uważają je za narzucane z rozmysłem i dyskredytujące. To, co trafia do kotła opatrzonego tymi etykietami, tworzy nieco amorficzną miksturę sekciarstwa, antyzachodnich i antysemickich teorii spiskowych, ultraprawicowego antyglobalizmu, antymodernizmu, neoimperialnych

resentymentów, teorii wybraństwa narodu rosyjskiego i jego mistycznej jedności z sakralną figurą prawosławnego cara. No i oczywiście różnych ideowych dodatków, które ludzie dorzucają zgodnie z własnymi upodobaniami i dla własnych potrzeb.

Świętość Mikołaja II jako pierwszy miał ogłosić patriarcha Tichon, zaledwie kilka dni po zabójstwie. W Rosji idea świętości i męczeństwa ostatniego cara tliła się przez cały okres istnienia ZSRR w dość ograniczonym zakresie jako część potajemnych praktyk niewielkiej, rozproszonej grupy wiernych i kapłanów.

W kręgach rosyjskiej emigracji kult ofiarniczej śmierci cara odkupiciela Mikołaja II narodził się we Francji. Niektórzy badacze łączą go z poglądami heretyckiej sekty chłystów. W latach dwudziestych właśnie we Francji miała działać dość hermetyczna grupa tak zwanych chłystów-mikołajowców, wyróżniająca się fanatycznym uwielbieniem okazywanym ostatniemu carowi. Mikołajowcy mieli wzywać rosyjskich emigrantów do odpokutowania za pozostawienie cara samemu sobie i porzucenie kraju na pastwę bolszewików.

Związki z chłystami przypisywano również Grigorijowi Rasputinowi, którego tak zwani carobożnicy otaczają szczególną estymą. W niektórych hardlajnowych grupach uchodzących za carobożnickie panuje swoisty kult Rasputina. Ikony przedstawiające „bożego człowieka Grigorija” uważa się za święte, a jego samego za proroka.

Z kolei Piotr Multatuli, sam będąc oddanym adoratorem Rasputina, stanowczo twierdzi, że plotki, jakoby dobry rosyjski człowiek był chłystem, rozpuściła masoneria, aby go zdyskredytować i zrobić z niego niebezpiecznego sekciarza. Pogłoski, że kult Mikołaja II na emigracji rozpowszechniali chłyści, są jego zdaniem kolejnym kłamstwem, którym masoni mają się posługiwać, by umniejszać świętość największego z carów.

Zdecydowana większość tak zwanych carobożników uważa, że egzekucja Mikołaja II była szczegółowo zaplanowanym mordem rytualnym. Idzie za tym wiara w aktywność ciemnych sił i pradawnych tajnych sprzysiężeń mających na celu zniszczenie ducha Świętej Rusi, czyli całej przestrzeni prawosławia – jedynego prawdziwego chrześcijaństwa. Nie kwestionują przy tym odkupieńczej ofiary i boskości Chrystusa. O ile jednak ofiara Chrystusa ma wymiar uniwersalny i została poniesiona w imię odkupienia całej ludzkości, o tyle ofiara Mikołaja II służy zbawieniu rosyjskiego prawosławnego ludu.

Ofiara cara odkupiciela może mieć również wymiar światowy. Przeświadczenie, że prawosławny car poświęcił życie w imię przebłagania za grzechy całego światowego chrześcijaństwa, jest dość popularne. Zwłaszcza wśród tych, którzy uważają prawosławie za jedyne prawdziwe chrześcijaństwo. No i koło się zamyka. Prawosławni Rosjanie jako jedyni prawdziwi chrześcijanie są wybrańcami Boga, a ten umiłował ich najbardziej, bo tylko oni są prawdziwymi chrześcijanami.

W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych w Rosji ukazała się książka metropolity Ioanna Snyczewa *Samodzierżawie ducha*. Delikatnie rzecz ujmując, Snyczew nie dokonał epokowych intelektualnych i teologicznych odkryć. Zebrał klasyczne wynurzenia ideologów samodzierżawia, którzy od głębokiego XIX wieku na różne sposoby wałkowali sakralność prawosławnego cara jako świętego pośrednika między Bogiem, ludem i państwem. I dorzucił od siebie sporo ciekawych ozdobników.

W latach dziewięćdziesiątych początkujący wyznawcy odkupicielskiej ofiary świętego Mikołaja II z wypiekami na policzkach zabrali się do lektury książki Snyczewa. Czcigodny metropolita czarował ich starymi klechdami opowiadającymi o tym, że władza jest sakralna sama w sobie i tylko przez połączenie się z *sacrum* władzy w pełni może wyrażać się kolektywna natura człowieka. A jego fani rozpływali się z zachwytu nad głębią i niepojętością swoich świętych dusz.

Błogosławiony dar boskiej władzy jest przekazywany carowi w tajemnicy pomazania. Carska inicjacja to wejście w mityczny czas stworzenia, powrót do początków dziejów. Intronizacja prawosławnego cara jest zatem powtórzeniem aktu stworzenia ziemskiej rzeczywistości. Dzięki temu prawosławny car staje się kosmokratorem, władcą tego świata, czyli – jak oznajmia Snyczew – zarazem strażnikiem i uosobieniem ziemskiego ładu.

Antagonistą prawosławnego cara i jego przeciwieństwem jest Antychryst, który dla odmiany uosabia chaos, pojmowany dość prostolinijnie jako antyład. Antychryst nie jest fajny, bo zmierza do ustanowienia antycarstwa – przeciwieństwa prawosławnej Świętej Rusi, czyli przypomnijmy, prawdziwego chrześcijaństwa. Prawosławny car jest natomiast fajny, bo powstrzymuje nadejście Antychrysta, czyli chroni przed rozpadem dany przez Boga ziemski ład.

W sakralnej figurze prawosławnego cara manifestuje się kolektywny, prawosławny ruski lud, a wraz z nim stworzony w początkach dziejów ład

społeczny. Antychryst, czyli przeciwieństwo uświęconego ładu, również ma kolektywną tożsamość. Tworzą go umowne tajne siły, które chcą zastąpić boski ład własnym, rewolucyjnym antyładem. Kolektywne tajne siły wyrażające się poprzez figurę Antychrysta to przeciwieństwo prawosławnego ruskiego ludu. Tajne siły reprezentują, mówiąc wprost, masoni, Żydzi, liberałowie, globaliści, „papiści" i inni łże-chrześcijanie. Ogólnie rzecz biorąc – kolektywny Zachód.

Rosyjska historia stanowi arenę walki sił ładu z siłami chaosu. Pierwszym carem kosmokratorem, powiada Snyczew, był Iwan Groźny. Objęcie władzy i intronizacja Iwana Groźnego to przełomowy moment w dziejach ruskiego ludu. Wtedy to kolektywny ruski człowiek i państwo zlały się ze sobą w osobie tego właśnie władcy. Z pomocą opriczniny i jej „anielskich zastępów", czyli bezwzględnej gwardii opriczników, Iwan Groźny nie tylko wykończył bojarską opozycję, zarówno tę realną, jak i wyimaginowaną, ale również stworzył ziemski ład, po czym stał się jego wyrazicielem i strażnikiem. W ten sposób prześladowanie wrogów wewnętrznych, centralizacja i polityczny terror nabrały głębokiego duchowego sensu. Innymi słowy, mordowanie wszystkich jak leci, wyłupywanie oczu, ćwiartowanie i wbijanie na pal to w istocie akty ustanawiania niebiańskiego ładu na ziemi.

Wszystko idzie po kręgu. Jednostka może w pełni wyrazić się tylko przez wspólnotę, ta ostatnia zaś tylko przez państwo. Z kolei państwo wyraża się w postaci cara kosmokratora, przez którego z kolei wyraża się lud, a więc również każdy człowiek z osobna. Człowiek nie może istnieć bez wspólnoty, wspólnota bez państwa, państwo bez władcy, władca bez poddanych. Dzięki boskości władcy boski jest również lud i każdy człowiek z osobna. Bez władcy lud, a więc i każdy człowiek, traci świętość. Bez świętości rozpada się ład społeczny. Rewolucja i zamordowanie władcy oznacza zerwanie łączności człowieka z Bogiem, a więc jest zniszczeniem uświęconego ładu.

Duchowe zaślubiny między władcą a ludem zostały ostatecznie zawarte 21 lutego 1613 roku, kiedy po wygnaniu „polskich interwentów" i końcu wielkiej smuty na moskiewski tron wstąpił Michał I, pierwszy z dynastii Romanowów. W lutym 1917 roku ruski lud złamał śluby. Rozerwał związki z Romanowami, a przez to utracił świętość, kontakt z Bogiem i pogrążył się w chaosie. (Dyskusje wokół wygaśnięcia męskiej linii dynastii w XVIII wieku, przejęcia nazwiska Romanow i carskiego tronu przez

niemiecki ród Hollstein-Gottorp mało nas w tej chwili interesują. Mowa bowiem o ciągłości duchowej, a w zasadzie o cyklicznym odnawianiu się czasu początku i duchowych zaślubin ludu z władcą).

Niewierność i krzywoprzysięstwo ludu stały się przyczyną wszystkich nieszczęść, których doświadczyła Rosja w XX wieku. W 1917 roku nastał chaos, a rządy bolszewików okazały się zmaterializowaną władzą duchową Antychrysta i ciemnych sił. Ostateczne unicestwienie sakralnego kosmosu uniemożliwiła odkupieńcza ofiara Mikołaja II, który świadomie poświęcił samego siebie, by dać swemu ludowi szansę odpokutowania strasznego grzechu zdrady i odzyskania błogosławionej wspólnotowości. Antychryst nie zdołał więc ostatecznie zwyciężyć, walka trwa i nie skończy się, dopóki ciemne siły nie zostaną pokonane.

Do pełnego zwycięstwa potrzebny jest akt kolektywnego, ogólnonarodowego pokajania i pokuty. Car odkupiciel (*car iskupitiel*) poświęcił się dla ludu i dał mu szansę odpokutowania grzechu zdrady. „Car, który nadejdzie" (*car griaduszczij*), powróci, gdy lud pokaja się i zmyje swój grzech. Wtedy Antychryst zostanie pokonany i nastanie prawdziwy koniec historii. Amen.

To tyle w telegraficznym skrócie. Mam nadzieję, że metropolita Ioann Snyczew wybaczyłby rabowi bożemu, drżącą ręką kreślącemu te słowa, jeśli ów w swej niedoskonałości uronił zbyt wiele ważnych myśli lub coś pokręcił.

Źródła antyzachodniej ideologii, podniesionej do rangi świętego mitu, wbrew pozorom nie są tak odwieczne, jak niekiedy mogłoby się wydawać. Z pewnością sięgają czasów wojny ojczyźnianej 1812 roku i marszu armii Napoleona Bonapartego na Moskwę. Jednak dopiero przegrana wojna krymska (1853–1856) podnosi antyzachodnie fobie na zupełnie nowy pułap. W drugiej połowie XIX wieku antyzachodnie idee zaczynają obrastać rozmaitymi teoriami spiskowymi przedstawiającymi historię i teraźniejszość jako pole odwiecznej obrony przed Zachodem nieustannie knującym przeciw Rosji. To wszystko łączy się ze zinterpretowaną na nowo ideą Świętej Rusi, która musi toczyć permanentną walkę przeciw nadciągającym z Zachodu antychrześcijańskim siłom.

W końcowych dekadach XIX wieku część skrajnie konserwatywnych prawosławnych publicystów i ideologów zaczyna żenić ową rzekomo odwieczną obronę przed wyobrażonym Zachodem z figurą prawosławnego cara, bez którego Święta Ruś jest po prostu niemożliwa. Święta Ruś, czyli

prawosławny świat – powtórzmy to jeszcze raz – manifestuje się bowiem przez postać cara. Ciemne siły muszą go zatem unicestwić, bo jego upadek równa się upadkowi całej Świętej Rusi. Stąd mord na carze może być pojmowany w sensie dosłownym jako mord na całej Rosji – centrum świata prawosławnego, a więc prawdziwego chrześcijaństwa.

Ortodoksyjni wyznawcy carobożnickich idei to dość aktywna subkultura. Zjawiają się na masowych cerkiewnych imprezach w małych grupach, gdzie próbują rozpowszechniać swoje idee. Włączają się w procesje z własnymi chałupniczo przygotowanymi ikonami i chorągwiami. Uczestniczą w organizowanych przez Cerkiew adoracjach relikwii i świętych obrazów. Rozdają ulotki, agitują, prowadzą zbiórki pieniędzy. Głoszą swoje objawienia i usiłują nauczać. Są również tacy, którzy działają w ukryciu, przekonani, że śledzą ich międzynarodowe siatki agentów Rządu Światowego, a ich życiu grozi niebezpieczeństwo.

Idea męczeństwa i odkupicielskiej ofiary Mikołaja II została oficjalnie skrytykowana i odrzucona przez poprzedniego patriarchę Moskwy i Wszechrusi Aleksego II. Cyryl I również wypowiadał się przeciw niekanonicznym kultom cara Mikołaja II. Stawianie sprawy na ostrzu noża mogłoby jednak doprowadzić do konfliktów wewnątrzcerkiewnych, a nawet rozłamów. Patriarcha woli więc udawać, że pewnych rzeczy nie widzi.

Większość wyznawców cara odkupiciela pozostała w strukturach Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego. Uważają Mikołaja II za męczennika, wierzą w rozmaite cuda dziejące się za sprawą świętego monarchy, opowiadają o świętej mirze cieknącej z ikon, ksiąg i posągów. Dają świadectwa cudownych uzdrowień nieuleczalnie chorych, którym dopomogła moc świętego cara. Mają gdzieś apele Świętego Synodu Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej wzywające, by zaprzestać głoszenia konieczności ogólnonarodowej skruchy i pokuty. Nie trafia do nich argument, że wyniesienie Romanowów na ołtarze było wystarczającym aktem zadośćuczynienia, a zbiorowa wina całych narodów nie mieści się w prawosławnych kanonach.

Uwielbiają pokutne procesje i zbiorowe pokajania. Za najświętsze miejsca uważają Rosyjską Golgotę w Jekaterynburgu i pobliskie leśne uroczysko Ganina Jama. Są również inne święte miejsca. Niekoniecznie związane ze śmiercią ostatniego rosyjskiego cara. W podmoskiewskiej miejscowości Tajninskoje postawili pomnik Mikołajowi II i spotykają się

tam regularnie, mniej więcej od 1998 roku. Można na nich natrafić w okolicach monumentalnego pomnika Iwana Groźnego, który w 2016 roku, nie bez skandali i awantur z miejscowymi samorządowcami, udało się wznieść w centrum Orła.

Ledwo opadł pył bitewny po aferze w Orle, a prawosławny dobrodziej i oligarcha Konstantin Małofiejew już zamyśla ufundować pomnik Groźnego w Astrachaniu. Na razie nie podjęto żadnych decyzji, ale kolejne przedstawienie z ultraprawosławnymi aktywistami w roli głównej wisi w powietrzu.

12 Na rozkaz tajnych sił

Pod koniec lat sześćdziesiątych gmach kina Kosmos stał się architektoniczną wizytówką robotniczego Swierdłowska. Poddany kilku renowacjom upodobnił się w ostatnich latach do jednego z wielu plastykowych multipleksów. Mimo to wciąż wygląda nie najgorzej. Do dziś działa tu sławna knajpa, choć dawny blichtr modnej niegdyś restauracji ze sceną muzyczną i dansingiem dawno już przeminął.

Wieczorami, w czasach schyłkowego Sojuza, zbierali się w niej karciani kanciarze, drobni cwaniacy, milicjanci w cywilu i bokserzy z pobliskiego klubu Dynamo. Nowe czasy otworzyły przed nimi bajeczne możliwości. W ostatnich latach istnienia ZSRR restauracja zamieniła się w niedostępny maluczkim salon spotkań Centrowych, sławnego gangu hulającego po Uralu w heroicznej epoce wielkiego przełomu. Parasol nad Centrowymi otworzył legendarny *wor w zakonie* Asłan Usojan, szerzej znany pod ksywką Dziad Hasan, nazywany niekiedy radzieckim Alem Capone.

Na początku lat dziewięćdziesiątych chłopcy z kina Kosmos wypłynęli na szerokie wody, założyli biznesklub Globus i z powodzeniem zaczęli dobierać się do zysków z prywatyzowanych uralskich kombinatów metalurgicznych. Ci, którym wystarczyło oleju w głowie, żeby zbyt pochopnie nie wystawiać się na strzały konkurencyjnego gangu Uralmaszowców i w porę dogadać się, z kim należy, ułożyli sobie życie całkiem dobrze. Niektórzy stali się szanowanymi biznesmenami hojnie łożącymi na różne zacne dzieła. I od dawna nie przychodzą do starego lokalu przy ulicy Dzierżyńskiego.

Nisko zawieszone, popołudniowe słońce miziało długimi promieniami gładkie, prostokątne czoło budynku. Na fasadzie rozciągała się efektowna płaskorzeźba kosmicznej bogini, która przetrwała kolejne renowacje kina. Kosmiczna matka wniebowziętej ludzkości pędziła z rozwianym włosem przez szare przestworze frontu budynku. W ślad za nią buchały ogniste języki przypominające wyziew rakietowego paliwa. Przyśrubowano ją do frontu ongiś najnowocześniejszego kina w Swierdłowsku niedługo po tym, gdy wielki syn narodu radzieckiego Jurij Gagarin jako pierwszy w dziejach

ludzkości wzniósł się na orbitę okołoziemską. W radzieckich miastach zaroiło się wtedy od rzeźb, naściennych mozaik i malowideł na blokach. Niektóre z nich formą przypominały ikonostasy, w których miejsce syna bożego zajęła niebiańska postać w kosmicznym skafandrze.

Nieco dalej, w parku Dynamo, kilku strażaków montowało metalowe ogrodzenie. Za ogrodzeniem, w miasteczku pielgrzyma, ciągnęły się rzędy wojskowych namiotów. Grupka facetów w spodniach khaki, czarnych koszulkach i nasadzonych na głowy kubankach pilnowała, by nikt nie zakłócał porządku. Oprócz nich nie było tam nikogo.

Od strony miejskiego zalewu powiało rześkim zapachem wody. Na rozległym trawniku niewysoki świerczek rzucał długi popołudniowy cień. Rozłożyłem się wygodnie w bujnej letniej trawie. Spojrzałem na strzelistą wieżę niedalekiej Cerkwi na Krwi. Przymknąłem oczy. Daleki szum samochodów zmieszany z cichutkim buzowaniem owadów oczyścił myśli. Po kilku chwilach przyjemnego, bezmyślnego polegiwania w miękkiej parkowej florze wyjąłem jedną z książek, które kupiłem w cerkiewnej księgarni. Przyjemnie pachniała świeżym papierem i farbą drukarską. Nie za długa, licząca niecałe sto siedemdziesiąt stron, opatrzona porządnymi przypisami i solidną bibliografią w manierze monografii naukowej. Choć, jak już we wstępie przyznawał sam autor, nie była dziełem zawodowego historyka.

Analogie między carem odkupicielem a Chrystusem, powrotem „Cara, który nadejdzie", i zapowiadaną w Piśmie Świętym paruzją przyprawiają oficjalną Cerkiew o zawroty głowy. Z drugiej strony opowieść o tym, że tajne siły dokonały mordu rytualnego na Romanowach, nie jest teorią kolportowaną wyłącznie za cerkiewnym parkanem przez osamotnionych szaleńców.

Miałem w ręku kolejny dodruk książki Wiktora Korna *Na rozkaz tajnych sił. Co skrywały napisy w ipatjewskim domu* opublikowanej pod oficjalnymi auspicjami Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego przez wydawnictwo klasztoru w Ganinej Jamie. Książka opowiadała o ukrywanym przez mainstreamowych historyków prawdziwym przebiegu jekaterynburskiej zbrodni, dokonanej przez tajne międzynarodowe sprzysiężenie. O egzekucji, której wbrew temu, co twierdzą oficjalne źródła, nie przeprowadzono w rewolucyjnym afekcie, w warunkach brutalnego bezhołowia, w popłochu wywołanym ofensywą białych. Książka Korna to dystrybuowana w części cerkiewnych księgarń opowieść

o dokonanym z zimną krwią rytualnym mordzie, będącym zwieńczeniem misternie obmyślonego planu, przygotowywanego przez tajne siły od dawien dawna.

Zanim autor opowie nam o tym, co naprawdę wydarzyło się przed stu laty w ipatjewskim domu, dzieli się kilkoma refleksjami nad współczesnością:

> Zszedłszy pod wpływem tajnych sił na drogę tak zwanego postępu naukowo-technicznego i dziarsko po niej krocząc w ciągu przeszło dwóch stuleci (od czasów „Wielkiej Rewolucji Francuskiej"), „postępowa ludzkość" dosięgnęła niespotykanej dotąd skali samounicestwienia i stanęła na progu własnego upadku. Ale największy koszmar marszu ku „świetlanej przyszłości" to unicestwienie źródeł indywidualnego i społecznego bytu. Podstawą współczesnego progresywnego światopoglądu staje się bowiem bezbożność w różnorodnych jej modyfikacjach. Agnostycyzm, sceptycyzm, ateizm, nihilizm, materializm, pragmatyzm, liberalizm – wszystkie te »izmy« skierowane są w pierwszym rzędzie przeciw chrześcijaństwu. Ich tryumf w zachodnich „cywilizowanych" krajach już teraz doprowadził do najcięższych dla ludzkości konsekwencji (sekularyzacji i stopniowego rozmycia się życia religijnego w kulturowym tle, wzrostu narkomanii, liczby samobójstw, przestępstw popełnianych bez przyczyny itd.). Nie przypadkiem liczne przejawy współczesnego życia każą myśleć o zbliżaniu się Końca Czasów.

Wstępny akt nadejścia Końca Czasów dokonał się nieopodal, w piwnicy domu ipatjewskiego, którą tajne siły zamieniły w ofiarniczy ołtarz, odprawiając na nim antychrześcijański, antyludzki krwawy rytuał.

Kilka miesięcy po śmierci Romanowów śledczy Mikołaj Sokołow udokumentował między innymi pozostawione na ścianach domu tajemnicze liczby i znaki. To, że część z nich miał uznać za niezrozumiałe, jest, zdaniem Korna, kłamstwem mającym przesłonić prawdę o tragicznych wydarzeniach lipcowej nocy 1918 roku. Dziś, przekonuje Korn, znamy bowiem zaledwie okrojoną i częściowo sfałszowaną wersję raportu śledztwa sprzed stu lat. Do ingerencji w tekst raportu miało dojść już po śmierci Sokołowa. Szybkiej i tajemniczej, dodajmy. Prawdziwy sens znaków odnalezionych przez Sokołowa wciąż jest przed nami ukrywany.

Wszystkie twierdzenia, jakoby tajemnicze symbole na ścianach domu miała narysować cesarzowa Aleksandra, Korn uznaje za oczywistą nieprawdę. Nie poświęca również szczególnej uwagi mistycznym i okultystycznym zainteresowaniom Jej Wysokości. Jest całkowicie pewien, że tajemne magiczne cyfry tudzież okultystyczne i kabalistyczne znaki

zostawili na ścianach celebransi krwawego rytuału. O czym, nawiasem mówiąc, pewne kręgi doskonale wiedzą, ale starają się nie dopuścić do ujawnienia prawdy.

Oprócz tajemniczych znaków na ścianie ipatjewskiego domu odnaleziono również fragment utworu *Uczta Baltazara* Heinricha Heinego. Dobrego znajomego Marksa i Engelsa. Żyda oskarżanego o brak patriotyzmu, krytykującego normy moralne i religijne. Chwalcy cielesności, wieszcza rewolty zmysłów przeszło sto lat przed kontrkulturową modą i rewolucją seksualną, którą, nie zapominajmy, w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku tajne siły wyeksportowały na cały świat. Za co Heine, niejako z góry, poniósł słuszną karę – przez kilka lat umierał w mękach, prawdopodobnie z powodu powikłań po kile. Co prawda, pod koniec życia uznał istnienie Boga, ale nawet cierpiąc na łożu śmierci, nie pojednał się z nim jak należy. Do końca kłócił się ze Stwórcą i wymawiał mu niesprawiedliwe rządy nad światem.

Uczta Baltazara, której fragment miał się znaleźć na jednej ze ścian ipatjewskiego domu, to poetycka adaptacja fragmentu starotestamentowej Księgi Daniela. Historia w skrócie wygląda tak: podczas wieczornego pijaństwa babiloński władca Baltazar profanuje świątynne naczynia. Zaraz potem ukazuje się ręka, która na ścianie pałacu kreśli słowa *mene* (policzono), *tekel* (zważono), *fares* (rozdzielono, rozproszono). Tajemnicze słowa okazują się przepowiednią upadku Babilonu. Jeszcze tej samej nocy Baltazar ginie z rąk własnych dworaków.

Na ścianie ipatjewskiego domu znaleziono ostatnią, dwudziestą pierwszą, strofę utworu:

> *Belsatzar ward in selbiger Nacht*
> *Von seinen Knechten umgebracht.*

Śledczy Sokołow przetłumaczył tę strofę z policyjną oschłością, dosłownie i bez poetyckich upiększeń: „W etu samuju nocz« Baltazar był ubit swoimi chołopami” – „W tę samą noc Baltazar został zabity przez swoich niewolników/poddanych”. Co w zasadzie oddaje sedno nocnych wypadków z 16 na 17 lipca 1918 roku. Oczywiście dyskusjom, kto i dlaczego zostawił ten napis, nie ma końca. Mówi się o tym, że wśród strażników mogło być co najmniej kilku ludzi znających język niemiecki. Mógł go zostawić któryś z Łotyszy. Mógł to być komunista Piotr Wojkow, który miał za sobą studia w Szwajcarii. Znał niemiecki, był w miarę

oczytany, więc w napadzie rewolucyjnej egzaltacji wywołanej wielkim, historycznym czynem, mógł napisać odpowiedni fragment utworu modnego wśród radykalnych studentów autora. Wojkow, który z ramienia uralskiej rady podpisywał decyzję o rozstrzelaniu Romanowów, raczej nie brał w nim bezpośredniego udziału. Ale bywał w domu ipatjewskim przed egzekucją i prawdopodobnie po niej. Wreszcie mógł to zrobić sam Jurowski, który przez jakiś czas mieszkał w Niemczech i trochę język niemiecki znał. Można by jeszcze długo pisać o tym, kto strzelał, kto nie strzelał, kto gdzie był, co robił i co mógł narysować na ścianie. Wydano mnóstwo kompetentnych publikacji naukowych i popularyzatorskich zawierających szczegółowe opisy mordu na Romanowach. Jest sporo do poczytania na ten temat.

Z punktu widzenia Korna i jemu podobnych tego typu dywagacje nie mają jednak większego znaczenia. Najczęściej są albo wyrazem naiwności autorów, albo świadomą dezinformacją. Zarówno fragment dzieła Heinego, jak i magiczne znaki oraz liczby miał nakreślić Jakow Jurowski. Dywagacje, jakoby Jurowski był za słabo wykształcony, żeby płynnie pisać po niemiecku, a nawet w ogóle wiedzieć, kim był Heine, Korn uważa za nieistotne. Jurowski po prostu przepisał na ścianę to, co dostał od swojego zwierzchnika. Tekst Heinego i inne znaki Jurowski miał otrzymać bezpośrednio od Swierdłowa.

Napisy na ścianach miały pojawić się po dokonaniu mordu. Najprawdopodobniej najważniejsza część rytuału odbyła się już po egzekucji, kiedy niczego nieświadomi, szeregowi wykonawcy wyszli z piwnicy, a wewnątrz zostali tylko wtajemniczeni. W tym fragmencie Korn zwraca uwagę, że Jurowski był wnukiem rabina, a rzeczywisty herszt uralskiego komitetu Szaja Gołoszczekin, który co prawda nie brał udziału w egzekucji, ale mógł przecież wejść do piwnicy po wykonaniu mokrej roboty, pochodził z rodziny chasydzkiej. Innymi słowy, Korn nie ma wątpliwości, że kompetencje w zakresie mordów rytualnych obydwaj wyssali z mlekiem matki. Nie wątpi również w to, że ideowy bolszewik Gołoszczekin tak naprawdę nigdy nie wyparł się swoich chasydzkich korzeni i nigdy nie przestał brać udziału w odprawianiu tajnych kabalistycznych rytów. Komunista czy nie komunista, chasyd zawsze będzie chasydem. Kropka.

Na rytualny charakter mordu wskazują również techniczne detale. Mikołaj otrzymał postrzał w serce, co było oczywistym „aktem czarnej

magii”. Dopełnił go Jurowski, po czym osobiście umieścił na ścianach magiczne liczby, hasła oraz symbole wywodzące się z kabały i Talmudu. To należy do zadań celebransa prowadzącego rytuał od początku do końca. Jurowski był tylko wykonawcą, prostym narzędziem. Za zorganizowaniem rytualnego mordu kryli się słudzy tajnych sił władający nadnaturalnymi magicznymi mocami i pradawną wiedzą, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Korn nie wyklucza, że ktoś wspierał Jurowskiego w tych czynnościach. Ktoś, kto znał się na rzeczy, władał wiedzą i niedostępnymi zwykłym ludziom możliwościami, mógł znajdować się w piwnicy.

Kolejnym aktem mrocznej rytualnej sekwencji miała być ofiara całopalna, zgodnie z tradycją złożona na ogniu z drew. W ten sposób Korn tłumaczy nieudolne próby spalenia ciał w leśnych ogniskach niedaleko wioski Koptiaki, które nie mogą mieć innego niż rytualne wyjaśnienia. Wiadomo przecież, że palenie ludzkiego ciała w ognisku nie jest najszybszym sposobem pozbycia się szczątków.

Co ciekawe, dokładnie na to samo zwracają uwagę zwolennicy alternatywnej teorii, głoszącej, że mord na Romanowach to wielka mistyfikacja. Oni też uważają, że w próby spalenia ciał w ogniskach mogą wierzyć tylko kompletni naiwniacy. Ich zdaniem żadnej egzekucji nie było, a pozostałości po ogniskach świadczą o niezbyt wyszukanym pozorowaniu zacierania śladów. Tymczasem Mikołaj II jako jeden z najbogatszych ludzi na świecie w tajemnicy wykupił się z niewoli i uciekł z kraju.

Co jeszcze ciekawsze, jedni i drudzy sądzą, że za zagadką lipcowej nocy 1918 roku prawdopodobnie kryją się mniej więcej ci sami ludzie. Korn i jemu podobni uważają, że za tajemniczy rytualny mord może odpowiadać wpływowa żydowska Wielka Loża B’nai B’rith (Synowie Przymierza), która już w XIX wieku miała zabrać się do „przygotowania światowej rewolucji w duchu kabały” – tutaj Korn słowo w słowo cytuje Piotra Multatulego, do którego odwołuje się również w wielu innych miejscach. Z kolei zwolennicy teorii wielkiej mistyfikacji uważają, że operację wykupienia cara mogli przeprowadzić na przykład Rockefellerowie, a być może również inni wpływowi członkowie Wielkiej Loży B’nai B’rith. Zwolennicy konkurencyjnych teorii spiskowych nawzajem oskarżają się o oszołomstwo, niepoparte dowodami fantazjowanie albo cyniczne robienie ludziom wody z mózgu.

Jednym z najbardziej znanych głosicieli teorii wielkiej mistyfikacji jest inteligentny i dowcipny król infotainmentu Aleksandr Niewzorow. Nie

mówi jednak o Rockefellerach i o lożach masońskich, napomykając jedynie o wpływowych ludziach czy światowych finansistach. Za młodu, w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, Niewzorow pozował na wielkoruskiego nacjonalistę. Potem zmienił front i od wielu lat znany jest przede wszystkim jako nieprzejednany krytyk Cerkwi, obskurantyzmu i militarystycznej propagandy. Zawsze elegancki, stylizuje się na ekscentrycznego petersburskiego dandysa libertyna, który w przerwie między obrzędem tajemnej loży a kolejnym dekadenckim przyjęciem łączy się ze studiem którejś z liberalnych stacji, by błyskotliwie wyszydzać prawosławną ciemnotę lub wygłosić pochwałę nauki i oświeceniowego racjonalizmu.

Wróćmy jednak do magicznych znaków na ścianach ipatjewskiego domu i egzegez naszego autora.

Gołoszczekin i Jurowski, tak jak pozostali najważniejsi ludzie uralskiej siatki rewolucyjnej, byli ludźmi Swierdłowa. Korn uważa, że Swierdłow już od 1905 roku przygotowywał się do rytualnego mordu na carze. Z pewnością był ideowym komunistą, ale przede wszystkim pozostawał agentem światowej masonerii. Miał więc dokładnie tych samych mocodawców co liberał Kierenski i burżuazyjni spiskowcy, którzy wywołali rewolucję w lutym 1917 roku. Trzeba też pamiętać o nadrzędnym celu rewolucji: zniszczeniu tradycyjnego społeczeństwa, kultury, prawdziwego chrześcijaństwa i będącej ich ucieleśnieniem Świętej Rusi. Właśnie po to tajne siły rozpętały najpierw rewolucję 1905 roku, potem I wojnę światową i wreszcie rewolucję lutową.

Masońscy władcy marionetek ukrywają prawdę o tym, że zarówno bolszewicy, jak i liberałowie wykonywali tę samą robotę zleconą im przez tych samych mocodawców. Skrywają również prawdę o rytualnym charakterze zabójstwa Romanowów, wykorzystaniu w tym celu czarnej magii i kabały. Ich kłamstwa powtarzają użyteczni profani, naiwnie i szczerze wierzący w to, co mówią i piszą. Słudzy tajnych sił wszakże z rozmysłem pozostawili wystarczająco dużo śladów – po to, żeby ludzie myślący samodzielnie pojęli prawdę, a władza tajnych sił nad światem nie budziła żadnych wątpliwości.

W lipcową noc 1918 roku złożono w ofierze nie tylko cara, ale całą najważniejszą, prawdziwie tradycyjną rodzinę, „główną Rodzinę Państwa Rosyjskiego”. Zniszczenie „najszczęśliwszej rodziny w kraju” było celowe i zaplanowane. Bolszewicy, którzy stanowili zaledwie narzędzie w rękach

masońskich spiskowców, musieli zacząć od zniszczenia rodziny. Unicestwienie rodziny jest bowiem najskuteczniejszym sposobem pozbawienia ludzi ducha i moralnych podstaw egzystencji.

Skutkiem tego rodzina do dziś pozostaje pogrążona w kryzysie. Pogłębiającym się, bo liberałowie i masoni w dalszym ciągu metodycznie ją niszczą. Temu służą toksyczne ideologie, którymi zastąpiono komunizm i którymi zatruwa się dzisiaj cały świat. Tak zwana tolerancja, zacieranie różnic między płciami, promocja rozwiązłości seksualnej zastąpiły marksizm. Walka nie ustaje ani na chwilę.

Magia liczb i znaczenie słów nie są przypadkowe. Korn zwraca uwagę, że rosyjskie słowo rodzina – *siemja*, to w istocie dwa słowa w jednym: siedem (*siem*) i ja (*ja*). W jekaterynburskim mordzie rytualnym zginęła siedmioosobowa rodzina: ojciec, matka, syn i cztery córki. Z kolei słowo „ja” wpisane w słowo rodzina wyraża kolektywną istotę jednostki. Jednostka określa się poprzez wspólnotę, a najbardziej podstawową jest wspólnota rodzinna. Bez kolektywnego aspektu tożsamości jednostka nie istnieje. Zamordowanie całej rodziny to zniszczenie ludzkiej tożsamości w jej najpełniejszym wymiarze – zarówno jednostkowym, jak i kolektywnym. I właśnie to był ukryty cel rytuału, który odprawiono w piwnicy ipatjewskiego domu.

Z lektury wyrwała mnie grupka małolatów idących po trawniku w kierunku parku Dynamo. Zatrzymali się kilka metrów od miejsca, w którym polegiwałem.

– A co to jest? Znowu będzie jakiś festyn? – zapytała głośno nastolatka.

Odgarnęła grzywkę pofarbowaną na bladoróżowy kolor. Przez chwilę przyglądała się stalowym barierkom.

– Może będzie jakaś następna fanzona? – odpowiedziała druga.

– Mistrzostwa już się kończą. Rozegrają jeszcze finał, ale to w Moskwie – wyjaśnił krótko ciut starszy chłopak w granatowej czapce z daszkiem. W jednej ręce trzymał zjechaną deskorolkę, znad drugiej ręki unosił się papierosowy dym.

– Patrzcie, Kozacy – zauważyła dziewuszka z różową grzywką. – Może uda się jakoś przejść?

– Daj spokój. – Chłopak rzucił peta na trawnik.

Wzdłuż stalowego ogrodzenia wciąż kręcili się faceci w kozackich kubankach i czarnych podkoszulkach. Z bocznych kieszeni wojskowych spodni sterczały im pozwijane skórzane nahajki. Nad szczelnym

ogrodzeniem wisiał spory transparent: „100 lat świętości – Miłość, która pokona największe zło”.

13 Szaleństwa „kruchej dziewczynki”

O carobożnikach zrobiło się naprawdę głośno w 2016 roku przy okazji awantury wokół filmu *Matylda* Aleksieja Uczitiela. Z pozoru błahe spięcie między grupą oburzonych wiernych a uznanym filmowcem błyskawicznie przerodziło się w starcie prawosławnych ekstremistów z częścią kulturalnego i politycznego establishmentu. Przez wiele miesięcy trwała prawnicza wojna podjazdowa. Wreszcie doszło do ataków na kina, szantaży bombowych, a w centrum Moskwy spłonęły samochody.

Na pierwszej linii ultrakonserwatywnego protestu nie stanął żaden charyzmatyczny trybun ludowy, którego wydałaby zrewoltowana ulica. Jego symbolem stał się skonstruowany w polityczno-technologicznych laboratoriach brand „krymskiej wiosny” i zwycięskiej polityki partii władzy, niebieskooka bohaterka fejkowego ludowego zrywu przeciw kijowskiej juncie.

Natalia Pokłonska dorastała na gruzach upadłego imperium. Urodziła się w 1980 roku na głębokiej sowieckiej prowincji, w obwodzie ługańskim Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Należy do pokolenia, które Związek Radziecki pamięta jak przez mgłę. Zna za to bardzo dobrze poczucie niepewności i chaos lat dziewięćdziesiątych, czasy, w których najlepiej radzili sobie pozbawieni skrupułów bezideowcy. Jeszcze w szkole średniej uznała, że najkorzystniejszą ścieżką kariery jest służba w organach. W 2002 roku ukończyła filię charkowskiego Narodowego Uniwersytetu Spraw Wewnętrznych w Eupatorii na Krymie.

Pod koniec 2013 roku w Kijowie wybuchły zamieszki. W tamtym okresie Pokłonska pracowała w stolicy. Kiedy reżim pękł, a Wiktor Janukowycz spakował walizki, wzięła urlop i czym prędzej wyjechała na Krym. Tłumaczyła potem, że nie mogła pogodzić się z niekonstytucyjnym przewrotem w stolicy i chciała zrobić wszystko, by nie dopuścić do powtórki kijowskiego scenariusza na Krymie. Prawda wydaje się nieco mniej heroiczna. Brała udział w działaniach prokuratorskich przeciwko protestującym i po upadku Janukowycza po prostu zwiała.

Wczesną wiosną 2014 roku sytuacja w krymskiej prokuraturze była dość skomplikowana. Urzędnicy grali na przeczekanie, w taki czy inny sposób umywając ręce i wymigując się od jakichkolwiek decyzji. Wielu z nich uciekło na zwolnienia lekarskie. Nikt nie kwapił się do objęcia stanowiska zwierzchnika prokuratury nowego Krymu. Pokłonska była ponoć szóstym kandydatem na to stanowisko. Wkrótce stało się to elementem bohaterskiej legendy – mężczyźni stchórzyli i tylko waleczna „krucha dziewczynka" wykazała się wystarczającą odwagą, by wziąć na siebie odpowiedzialność za losy Krymu. W taki sposób kanał telewizyjny Rossija1 opowiedział tę historię w propagandowym filmie *Krym. Droga do ojczyzny*.

Nowa prokurator Krymu momentalnie stała się sprawnie sfastrygowanym z archetypowych symboli medialnym produktem i internetowym viralem. Mit niebieskookiej bohaterki ulepiono na wzór i podobieństwo fantazmatycznych popkulturowych heroin. Filmowe partyzantki, sanitariuszki i czerwonoarmistki stawiające nieustępliwy opór żelaznym zastępom faszystów zmaterializowały się w obrazie dzielnej bojowniczki, broniącej Krymu przed hordami banderowców. W ciągu kilku tygodni przygody delikatnej idealistki, która w obliczu obowiązku zamieniła się w waleczną seksbombę i stanęła do walki przeciw nowym faszystom, rozlały się światłowodami po całym świecie. Po kilku miesiącach kamery wyłączono. A trudny charakter prokurator Pokłonskiej dawał się ludziom we znaki coraz dotkliwiej.

Emocjonalne huśtawki i dziwne zachowania „kruchej dziewczynki" nie były na Krymie wielką tajemnicą. Podobnie jak jej uwielbienie dla ostatniego władcy imperium rosyjskiego. Już wtedy zasłynęła egzaltowanymi wynurzeniami na temat cara Mikołaja II. Ci, którzy wchodzili do jej służbowego gabinetu, szeroko otwierali usta na widok ścian obwieszonych portretami najjaśniejszego pana. Kiedy wybrano ją do rosyjskiej Dumy Państwowej i wyjechała do Moskwy, na Krymie wielu odetchnęło z ulgą.

Pokłonska przybyła do Moskwy jako uosobienie patriotyzmu i bohaterstwa. Wnuczka dwóch poległych w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej krasnoarmiejców, wielbicielka gry na pianinie i jazdy figurowej na lodzie. Żywy ideał. Przed kamerami witano ją z urzędowym entuzjazmem, szarmancko się kłaniano i obdarowywano kwiatami. Dla moskiewskiej klasy politycznej była jednak nowicjuszką, którą należało obsadzić

w jakiejś efektownej roli, ale niekoniecznie dopuszczać do kręgu poważnych ludzi podejmujących istotne decyzje.

Usadowiono ją na stanowiskach zastępczyni przewodniczącego Komitetu Dumy Państwowej do spraw Bezpieczeństwa i Przeciwdziałania Korupcji oraz przewodniczej Komisji do spraw Kontroli Wiarygodności Informacji o Dochodach i Zobowiązaniach Majątkowych Deputowanych. W kolejnych odcinkach serialu o pięknej prokurator Krymu widownia mogła obejrzeć ją w roli oddanej państwu strażniczki uczciwości.

Momentami wywiązywała się z tej roli jak należy. W ramach walki z nieuczciwością władzy spektakularnie obsobaczyła opozycjonistę Aleksieja Nawalnego. Skoro Nawalny bez przerwy gada o defraudacjach i korupcji – oznajmiła – to z pewnością sam nie jest do końca uczciwy. Bo przecież nikt uczciwy nie wykorzystuje oskarżeń o korupcję do walki politycznej. Zuch dziewczyna! Na Krymie nie ulękła się banderowców, a w Moskwie nie straszny jej sam Nawalny.

Mimo to w dość osobliwy sposób przekraczała ramy swojej roli. Już wcześniej furorę wywołało jej wystąpienie w prawosławnej telewizji Cargrad. Pokłonska w trakcie programu oznajmiła, że dopiero co poinformowano ją o niezwykłym wydarzeniu:

– Z popiersia Mikołaja II w Symferopolu sączy się mirra.

– Co też pani mówi? – zaciekawiła się prowadząca.

W odpowiedzi Pokłonska z lekkim obłędem w oczach opowiedziała o ludziach, którzy przychodzą pod pomnik imperatora z dziećmi, żeby nasycać się błogosławioną energią bijącą z żeliwnej figury świętego monarchy.

Podczas obchodów Dnia Zwycięstwa 9 maja zjawiła się na krymskim marszu nieśmiertelnego pułku. Szła wśród ludzi niosących fotografie przodków poległych w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej i z promiennym wyrazem twarzy przyciskała do piersi ikonę z wizerunkiem Mikołaja II. Na to wszystko można byłoby machnąć ręką. Nie takie rzeczy już widziano. Ale Pokłonska zaczęła zadzierać z przytulonym do władzy moskiewskim światkiem kulturalnym.

Jesienią 2016 roku zaatakowała utytułowanego reżysera Aleksieja Uczitiela, który właśnie kończył pracę nad kostiumowym filmem *Matylda*. Przy okazji dostało się Komitetowi Kinematograficznemu i Ministerstwu Kultury, a więc pośrednio również stojącemu na jego czele Władimirowi Medinskiemu. Ze scenariusza i kosztorysu wynikało, że Uczitiel szykuje

wysokobudżetowy blockbuster opowiadający o romansie młodego Mikołaja Romanowa z polską primabaleriną Matyldą Krzesińską. Akcja filmu miała toczyć się w zmysłowych sceneriach pałacowych alków, pachnących ogrodach i teatralnych lożach. Następca tronu będzie zabójczo przystojny, a jego romans szalony i namiętny. Widz powinien wyjść z kina z sentymentalnym przeświadczeniem, że imperium Romanowów było krainą mlekiem i miodem płynącą zamieszkiwaną przez piękne baletnice i błyskających epoletami, romantycznych kawalerów.

Pokłonska nie chciała o niczym podobnym słyszeć. Car jest święty. Car nie mógł mieć romansów, bo do chwili zawarcia sakramentu małżeństwa żył w czystości. Do czego to podobne, żeby w stulecie upadku dynastii Romanowów ludzie poszli do kin i zobaczyli świętego Mikołaja II przewalającego się w łóżku z jakąś tancerką? To policzek wymierzony z premedytacją w twarz narodu rosyjskiego, celowa obraza najgłębszych wartości. Co gorsza, jako odtwórcę roli świętego monarchy zatrudniono niemieckiego „aktora porno" i „satanistę" – wściekała się Pokłonska. Obsadzony w głównej roli Lars Eidinger zagrał wcześniej między innymi w filmie *Goltzius and the Pelican Company* Petera Greenawaya i pewnie dlatego Pokłonskiej wpadło do głowy podejrzenie o ów porno-satanistyczny spisek.

Nie minęło wiele czasu, a Pokłonska zdążyła pójść na udry ze Stanisławem Goworuchinem, kolejnym tłustym kocurem okołokremlowskiego kulturalnego parnasu. Zasłużony filmowiec Federacji Rosyjskiej i wpływowy przewodniczący parlamentarnego Komitetu do spraw Kultury starał się przywołać rozbrykaną „kruchą dziewczynkę" do porządku. W odpowiedzi usłyszał, że Uczitiel za pieniądze podatników obraża świętości, wypacza historię, kpi z wiary i narodu. Zamiast posłuchać dobrych rad starego stołecznego wyjadacza nasłała na jego kumpla Uczitiela kontrolę finansową, która miała sprawdzić, czy pieniądze funduszu filmowego wydawane są zgodnie z zasadami statutowymi. I tak pyskówki zamieniły się w nieco poważniejsze potyczki prawne.

Rozjuszona „krucha dziewczynka" zwróciła się do prokuratury generalnej z wnioskiem o sprawdzenie, czy film nie łamie prawa, nie obraża uczuć religijnych i nie wypacza historii Rosji. Od samego początku wspierała ją nieformalna grupa skrajnie konserwatywnych prawników. Z kolei stowarzyszenie Carski Krzyż przystąpiło do produkowania

ekspertyz domniemanych wypaczeń historii, jakich miał dopuścić się Uczitiel.

Awantura stawała się coraz bardziej absurdalna. I nie chodzi nawet o to, że ani Pokłonska, ani wspierający ją ludzie nie widzieli nawet kawałka filmu. Co więcej, mówili o tym bez żenady, podkreślając, że w ogóle nie zamierzają niczego oglądać. Rzecz w tym, że oskarżonym o poniewieranie prawosławia, historii, rosyjskiej duszy i tak dalej stał się „zasłużony działacz sztuki" Aleksiej Uczitiel. Cokolwiek by o nim mówić, raczej trudno nazwać go obrazoburcą, przeciwnikiem patriotyzmu, czy – Boże uchowaj! – twórcą bezpardonowo dekonstruującym tradycyjne wartości, cokolwiek miałoby to oznaczać.

Żeby było weselej, *Matylda* od wstępnego etapu prac scenariuszowych powstawała pod skrzydłami konserwatywnego ministra kultury Władimira Medinskiego. Znanego z niechęci do zdegenerowanej pseudosztuki oraz szczerego zamiłowania do imperialnych tradycji i militarnego entourage'u, uważającego religię za jeden z najważniejszych fundamentów kulturowej tożsamości współczesnej Rosji.

Pracę nad scenariuszem *Matyldy* Uczitiel początkowo oferował pisarzowi Zacharowi Prilepinowi, weteranowi nacjonalistyczno-bolszewickiej subkultury i pierwszej wojny czeczeńskiej. Prilepin od kilku lat bryluje w mediach i na Facebooku przebrany w wojskowe ciuchy, wychwala potęgę Związku Radzieckiego i imperium rosyjskiego, a całkiem niedawno lansował się na Donbasie jako dowódca jednego z ochotniczych batalionów prorosyjskich. Ponoć niezbyt często widywano go na froncie, ale za to regularnie znajdował czas, by ostrzeliwać zjadliwymi felietonami demoliberałów i zdradzieckich grantożerców. Prilepin w końcu opuścił szeregi partyzantki i podjął zasłużoną pracę na prestiżowym stanowisku zastępcy dyrektora artystycznego zmurszałego Moskiewskiego Akademickiego Teatru Artystycznego (MChAT), który dziś ma niewiele wspólnego z dawną, legendarną sceną akademicką. W wolnych chwilach Prilepin prowadzi w telewizji NTV autorski program *Lekcje rosyjskiego* i publicystycznym pazurem zaoruje każdego, kogo uzna za wroga ojczyzny.

Pokłonska czuła się coraz swobodniej i rozrabiała na całego. W kwietniu 2017 roku metropolita wołokołamski Hilarion Ałfiejew niemal wprost ostrzegł w wywiadzie dla państwowej telewizji Rossija24, że jeśli *Matylda* zostanie dopuszczona do dystrybucji, to reakcja wiernych może być trudna

do przewidzenia. Nie powiedział tego jakiś półobłąkany, prowincjonalny batiuszka, tylko jeden z najważniejszych dostojników cerkiewnych.

Z rozmaitych zakamarków wynurzały się coraz dziwniejsze postacie. Sporo szumu narobił zdziwaczały reżyser dokumentalista Siergiej Alijew, o którym wcześniej mało kto słyszał. Ogłosił, że przed wejściem na ekrany filmu Uczitiela zaprezentuje własną wersję biografii Mikołaja II. Obiecywał, że w swoim filmie zatytułowanym *Kłamstwo Matyldy* nie tylko dowiedzie tego, że monarcha z nikim nie romansował, ale że w ogóle nie został rozstrzelany przez bolszewików. Cały kraj dowie się, że cara złożyli w ofierze chasydzi.

Alijew dwoił się i troił, opowiadał o zdjęciach, scenariuszu, wymachiwał *Protokołami mędrców Syjonu*. Przekonywał, że Żydzi, chcąc opanować świat, musieli najpierw dokonać mordu rytualnego na carze, a każdy, kto twierdzi, że *Protokoły* to fałszywka wypuszczona w 1903 roku przez ochranę, albo powinien się ocknąć i stanąć w prawdzie, albo świadomie kłamie, bo sam jest w zmowie. Im mocniej pukano się w czoło, tym czuł się szczęśliwszy. Wreszcie, choć na chwilę, znalazł się blisko centrum zainteresowania.

Tymczasem zaczęto nękać pogróżkami dystrybutorów i właścicieli kin. Na przełomie sierpnia i września 2017 roku szantażom uległa sieć kinopleksów Cinema Park. Kierownictwo sieci publicznie zadeklarowało, że wyłączy *Matyldę* z repertuaru. Uzasadniano to przede wszystkim troską o bezpieczeństwo widzów.

Na początku września niejaki Denis Muraszow, prawosławny ekstremista z Niżnego Tagiłu, wbił się mikrobusem wypełnionym butlami z gazem w elewację jekaterynburskiego kina Kosmos. Tłumaczył potem, że nie mógł dopuścić do projekcji obraźliwego filmu w bezpośrednim sąsiedztwie Cerkwi na Krwi. Przed akcją spędził w niej kilka godzin na modlitwie. Zdaje się, że niebiosa nie pobłogosławiły jego straceńczej misji.

Muraszow najpierw nie był w stanie sforsować schodków przed kinem. A potem, kiedy wreszcie rąbnął samochodem w elewację, budynek nie wyleciał w powietrze. Poparzonego prawosławnego kamikadze zgarnęła policja, którą prawdopodobnie wezwał zaspany dozorca. Na komisariacie okazało się, że Muraszow oprócz internetowych albumów z fotografiami w kozackich mundurach ma założoną kartę pacjenta w przychodni psychiatrycznej.

Inny boży wojownik Aleksandr Kalinin, kozacki aktywista i lider nieznanej wcześniej organizacji Państwo Chrześcijańskie – Święta Ruś, wygłaszał coraz agresywniejsze przemowy na temat sprawiedliwych kar boskich oraz zgubnych skutków upadku moralności. Głosił, że terror bombowy jest wynikiem słusznego gniewu chrześcijan, którym sumienie nakazuje działać. Przyszła „Święta Ruś", która nastanie w miejscu zepsutej Federacji Rosyjskiej, powinna funkcjonować mniej więcej tak jak Islamska Republika Iranu – perorował, konsekwentnie zaprzeczając, jakoby to jego organizacja stała za szantażami bombowymi w kinach i centrach handlowych. Żarty się skończyły, gdy przed moskiewskim biurem Konstantyna Dobrynina, adwokata reprezentującego Aleksieja Uczitiela, spłonęły samochody.

Pod koniec września 2017 roku w sieci pojawił się filmik, w którym widać funkcjonariuszy FSB efektownie wjeżdżających z drzwiami do mieszkania szefa Państwa Chrześcijańskiego. Widzowie mogli sobie obejrzeć Kalinina leżącego w samych gaciach, z brodatą twarzą wciśniętą w podłogę. Poinformowano, że Kalininowi grozi wysoki wyrok za ekstremizm. Przy okazji rządowa agencja informacyjna RIA Nowosti podała do wiadomości, że Kalinin w 2002 roku był już sądzony za współudział w zabójstwie i kradzież około siedemdziesięciu pięciu tysięcy rubli, za co zdążył odsiedzieć wyrok ośmiu i pół roku pozbawienia wolności w kolonii karnej o zaostrzonym rygorze.

Wkrótce okazało się, że w środowisku nacjonalistycznych koterii i ultraprawosławnych grupek Kalinin uchodzi za agenta FSB, a zdaniem niektórych dobrze poinformowanych jest jej kadrowym podoficerem. Co, nawiasem mówiąc, nie wydaje się w tych kręgach niczym nadzwyczajnym. Przypadki, w których jedna komórka tajnej policji prowadzi dla własnych celów agentów prowokatorów, a inna ich zgarnia, Rosja też już widywała.

Pod koniec września 2017 roku na scenę wkroczyły pierwszoplanowe gwiazdy medialnego agitpropu. Władimir Sołowiow, czołowy telewizyjny krzykacz, nie przebierając w słowach, oznajmił masowej publice, że to nie Pokłonska będzie decydować o tym, jakie filmy wolno produkować, a jakich nie. Z kolei Władimir Żyrinowski z właściwą sobie subtelnością zasugerował, że być może Pokłonska potrzebuje porządnego chłopa, żeby wreszcie się uspokoić. Oczywiście nie obeszło się bez kolejnych teorii spiskowych.

Zachar Prilepin na łamach „Moskowskogo Komsomolca” stwierdził wprost, że awantura wokół *Matyldy* może mieć drugie dno. Nie byłby sobą, gdyby przy okazji nie pogadał trochę o liberałach. No więc liberałowie są zbyt oderwani od ludu i nawet zagraniczne granty nic im nie pomogą. Za to rozgrywanie szczerego patriotyzmu i przywiązania mas do prawosławia może być znacznie skuteczniejszym narzędziem destabilizowania Rosji od środka – orzekł niedoszły scenarzysta *Matyldy*.

O związkach Pokłonskiej z Państwem Chrześcijańskim – Świętą Rusią nikt na serio nie mówił. Ani tym bardziej o jej możliwej współpracy z Anglosasami czy innymi Sorosami, którzy zawiedzeni niemocą liberałów postanowili dopiec matuszce Rosji, spuszczając z łańcucha prawosławnych fanatyków. W międzyczasie okazało się, że cała podziemna organizacja kozackich terrorystów składa się najprawdopodobniej z dwóch ludzi, wspomnianego już Kalinina i jego koleżki, niejakiego Mirona Krawczenki, który wcześniej sporo wojażował po Rosji, Ukrainie i Białorusi, podając się tu i ówdzie za przywódcę antyputinowskiego wolnego kozactwa z Kubania.

Pokłonska dość niechętnie wypowiadała się na temat kolejnych akcji sprowokowanych jej połajankami z Uczitielem i parlamentarną Komisją do spraw Kultury. Twierdziła lakonicznie, że szantaż i przemoc są oczywiście niedopuszczalne, niemniej jedynymi odpowiedzialnymi za to, co się dzieje, są autorzy *Matyldy* i stojące za nimi siły. Gniew wiernych jest jej zdaniem jak najbardziej zrozumiały. Jednocześnie zaczęła publicznie odcinać się od przypisywanych jej koneksji z carobożnikami.

W tym samym czasie, między innymi w internetowych wydaniach „Moskowskogo Komsomolca” i „Nowoj Gaziety”, zaczęły pojawiać się artykuły opisujące związki Pokłonskiej z niejakim ojcem Siergiejem, egzorcystą i współzałożycielem klasztoru Świętych Cierpiętników Carskich w Ganinej Jamie. Tajemniczy mentor „kruchej dziewczynki” formalnie działa w ramach Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego i naprawdę nazywa się Mikołaj Romanow. Tak, to nie żarty.

Romanow ma dość bogatą przeszłość. Jest człowiekiem z tak zwaną smykałką do interesów i dość szemranymi powiązaniami. Wiadomo, że jeszcze w latach osiemdziesiątych ukończył resortową szkołę dla pracowników MSW. Przez jakiś czas pracował jako śledczy. Potem jego ziemskie ścieżki nieco skomplikowały się i trafił do więzienia z kilkunastoletnim wyrokiem za współudział w zabójstwie i kradzieże.

Fani, których świątobliwy ojciec ma całkiem sporo, są przekonani, że został wrobiony, a ofiara rzekomego zabójstwa poniosła śmierć w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Nie wiem jednak, czy wywożenie człowieka w bagażniku samochodowym i bicie go po głowie żelbetowym prętem można nazwać nieszczęśliwym wypadkiem. Tak czy inaczej, przyszły ojciec Siergiej na długie lata trafił do więzienia. A tam poznał wielu ciekawych ludzi. Do dziś łączą go ponoć dość zażyłe relacje z wpływowym mafiosem Timurem Swierdłowskim, bratankiem Dziada Hasana, legendarnego króla kryminalnego podziemia, a przed laty patrona jekaterynburskiego gangu Centrowych.

Po wyjściu na wolność, jeszcze jako człowiek świecki, Mikołaj Romanow wkradł się w łaski jekaterynburskiego arcybiskupa Wikientija. Pod błogosławionym wpływem wysoko postawionego protektora Romanow nawrócił się i stał się ojcem Siergiejem. Ów skruszony grzesznik bez wątpienia potrafi wywierać wpływ na ludzi. Wikientij przywiązał się do niego tak bardzo, że nie tylko osobiście go wyświęcił, ale powierzył mu realizację wielu ważnych przedsięwzięć. I niemałe sumy pieniędzy, którymi ojciec Siergiej dość sprawnie obracał.

Najbardziej znanym dziełem ojca Siergieja jest męski klasztor na uroczysku Ganina Jama i leśny park poświęcony pamięci rodziny Romanowów. To dzięki jego operatywności zbudowano go tak szybko i sprawnie. Niedaleko klasztoru rozwija się baza hotelowa i kilka innych intratnych biznesów. Trudno powiedzieć, jakie sumy przechodzą przez owe święte dzieła, bo nie wszystkie przychody Cerkwi są upubliczniane.

Kiedy klasztor w Ganinej Jamie zaczął działać pełną parą, ojciec Siergiej zabrał się do budowy kolejnego. Po drugiej stronie malowniczego jeziora Isietskoje i nieco mniej malowniczego miasteczka Sriednieuralsk przed kilku laty otworzył podwoje nowy żeński monastyr. Przedsiębiorczy ojciec objął funkcję zwierzchnika klasztoru sriednieuralskiego i przeprowadził się tam na stałe.

Sriednieuralski monastyr żyje w cieniu sławnej Ganinej Jamy, ale dzieje się w nim całkiem sporo. Powstają kolejne świątynie, a magnetyzm ojca Siergieja przyciąga pielgrzymów i środki na nowe inwestycje. Uruchomiono tam ośrodek sanatoryjny i hospicjum dla chorych na nowotwory. Niektórzy pacjenci zdążyli przepisać na klasztor całkiem spore sumy.

Wokół monastyru wybuchło kilka skandali, ale charyzmatycznemu egzorcyście udawało się unikać poważniejszego zainteresowania opinii publicznej. W swoim czasie wyszły na jaw odprawiane przez niego brutalne rytuały wypędzania złych duchów, ale sprawa nie rozeszła się zbyt daleko poza regionalne wiadomości. Uwagę ogólnokrajowych mediów ojciec Siergiej skupił na sobie dopiero przy okazji awantury wokół *Matyldy*. Okazało się, że w nowym klasztorze świątobliwy batiuszka nie tylko dogląda ciężko chorych ludzi – zamienił go w skrajnie prawicowe centrum carobożnickiego sekciarstwa, a jedną z osób często odwiedzających monastyr była jego wierna podopieczna Natalia Pokłonska.

Aleksiej Uczitiel i urzędnicy Komitetu Kinematograficznego z pewnością nie zdawali sobie sprawy, że wpiszą się w wyznawany przez carobożników mit odwiecznej walki sił światła i sił ciemności. Przy okazji medialnych bojów o *Matyldę* wypadły trupy, które przez lata Cyryl I skrzętnie ukrywał w cerkiewnych szafach. Dość długo udawało mu się sprawiać wrażenie hierarchy, który poradził sobie z cerkiewnymi sekciarzami i fanatykami. Czasy takich ludzi jak metropolita Snyczew miały ponoć bezpowrotnie minąć pod jego rządami. Tymczasem okazało się, że skrajnie prawicowe, sekciarskie skrzydło w Cerkwi niekoniecznie dało się skanalizować dzięki sprytnym zabiegom patriarchy.

Z wyrazami poparcia dla Pokłonskiej pospieszyli nie tylko prawosławi ekstremiści. W obronie „kruchej dziewczynki” stanął między innymi Ramzan Kadyrow, okrutny czeczeński watażka, który w granicach państwa rosyjskiego wykroił sobie udzielne terytorium. Kadyrow zamienił Czeczenię w obskurancką, klanowo-mafijną, islamską enklawę, którą rządzi jak jedyny pan i władca z prywatną armią u boku, nakładanym na ludność haraczem mającym się nijak do rosyjskiego systemu fiskalnego, własnym systemem quasi-prawnym, będącym mieszaniną układów klanowo-rodowych, gangsterskich lojalności i wybiórczo przyjętych norm religijnych. Pod osłoną rozmaitych dotacji i nieformalnych koncesji państwo faktycznie opłaca jego lojalność. Kadyrow uważa Zachód za obcą cywilizację, prawa człowieka za przesądy, przemoc wobec kobiet za kulturową normę. Prześladuje każdego, na kogo padnie podejrzenie posiadania nietradycyjnej orientacji seksualnej.

W ten sposób piękna i dobra obrończyni Krymu przed banderowcami zamieniła się w symbol obłąkańczej ultrakonserwatywnej krucjaty. A dla wielu Rosjan Pokłonska – jakkolwiek by było członkini partii władzy,

Jednej Rosji – stała się po prostu synonimem skrajnego oszołomstwa i kolejnym dowodem na to, że polityczne elity odklejają się od rzeczywistości.

Moskiewski światek kulturalny wyszedł z filmowej afery obronną ręką. Sam Władimir Władimirowicz orzekł, że w jego ocenie treść *Matyldy* nie łamie prawa. Na początku października parlamentarna Komisja do spraw Kultury zorganizowała specjalny pokaz filmu dla deputowanych Dumy Państwowej. Deputowani go obejrzeli, po czym jednogłośnie oznajmili, że nie ma tam żadnej niepotrzebnej erotyki, ekstremizmu, rusofobii i obrażania uczuć religijnych. W pokazie wziął udział Aleksiej Uczitiel. Chwalono go, oddawano hołd jego artystycznemu kunsztowi, fotografowano się z nim i gratulowano.

26 października odbyła się długo oczekiwana premiera. Widownia tłumnie pobiegła do kin zobaczyć, o co długimi miesiącami tak zawzięcie walczono. W pierwszych dniach dystrybucji *Matylda* przyniosła 230 milionów rubli dochodu i na początku ostatniego kwartału 2017 roku stała się drugim najczęściej oglądanym filmem w rosyjskich kinach. Po mocnym wejściu niezbyt udana kalka hollywoodzkich baśni z życia wyższych sfer popadła w zapomnienie. Media przestały intensywnie interesować się fenomenem tak zwanych carobożników. Ojciec Siergiej i jemu podobni ukryli się przed światłem fleszy.

Gównoburze zazwyczaj urywają się nagle i nie mają dalszego ciągu. Czy zatem wszystko, co wydarzyło się w 2017 roku, było od początku do końca wyreżyserowanym spektaklem? Marszczono brew i różnie o tym mówiono. Jedni twierdzili, że skrajna prawica i religijni fanatycy poczuli się silni, postanowili więc sprawdzić, na ile mogą sobie pozwolić, a nacjonalistyczny karnawał, który rozkręcono w 2014 roku, zaczął tu i tam przepalać bezpieczniki. Igor Girkin, weteran „krymskiej wiosny” i pierwszy wódz donbaskich bojówkarzy, dla odmiany uznał Pokłonską za pozbawioną sumienia cyniczną spryciarę, która z rozmysłem kompromituje prawosławnych patriotów.

Wszyscy przekonani o wszechogarniającej sprawczości Władimira Putina mogli nabrać pewności, że całe przedstawienie było wstępem do reelekcji prezydenckiej w 2018 roku. Miało dać do zrozumienia, zwłaszcza niezadowolonym, że Władimir Władimirowicz może jest, jaki jest, ale jak go zabraknie, to dopiero się zacznie. Ześwirowani „kozacy” i religijni

radykałowie błysną wszystkim w oczy rzeźnickimi nożami, więc lepiej cieszyć się z tego, co jest, bo zawsze może być gorzej.

Jedno jest pewne. Ruszając w bój przeciw *Matyldzie*, Pokłonska zamachnęła się z rozpędu na tę część kulturalnego światka, która od lat na masową skalę produkuje imperialne fantazje. Zadowolonych z siebie nadwornych kremlowskich trubadurów kopnęła w tyłek zdziwaczała dziewczynka, która wyskoczyła z ich własnych pieśni.

14 Męczennicy i dobroczyńcy

Nyrob to niewielka miejscowość zagubiona w bagnistych uralskich lasach na północy Kraju Permskiego. Daleka osada od swego zarania służyła za miejsce zsyłek. Ucieczka z Nyrobu była praktycznie niemożliwa. Rozległe lasy dobrze znali tylko myśliwi i niewielkie plemiona ugrofińskich Komi-Permiaków, rozproszone na szerokich przestrzeniach centralnego i północnego Uralu. Do dziś znajduje się tam spora więzienna zona.

W 1601 roku Borys Godunow zesłał do Nyrobu stolnika moskiewskiego Michaiła Nikitycza Romanowa. Bezwzględny uzurpator, chcąc umocnić się na tronie, nie bawił się w ceregiele z bojarskimi rodami. Nieszczęsnego Michała Nikitycza pognano prawie dwa tysiące kilometrów na wschód od Moskwy tylko po to, by skutego kajdanami zamorzyć głodem. Zanim wyzionął ducha, przeleżał prawie rok w marznącym błocie i własnych odchodach na dnie jamy wyrytej w grząskiej ziemi.

W 1613 roku na tronie moskiewskim zasiadł Michał I Romanow. Założyciel nowej dynastii nie zapomniał o marnym losie swojego stryja i ogłosił Nyrob świętym miejscem. Na Ural wysłano pątników, a służąca nowemu władcy Cerkiew zaczęła opiewać cudowną moc miejsca kaźni Michaiła Nikitycza. Z czasem daleka więzienna osada popadła w zapomnienie. Trzy wieki później Mikołaj II Romanow przypomniał sobie o zamęczonym przodku i postanowił wynieść go na ołtarze. Aura świętego męczeństwa, która opromieniła Romanowów już u samych początków, byłaby znakomitym świadectwem nieprzemijającej bożej opieki nad tronem i dynastią.

Z okazji trzechsetlecia rządów dynastii, w 1913 roku w Nyrobie pojawiła się pamiątkowa tablica. W tym samym czasie w miejscowym więzieniu odsiadywał wyrok niejaki Klement Woroszyłow, bolszewicki działacz, zaufany człowiek Stalina, przyszły marszałek Związku Radzieckiego. Zanim nieboszczyka Michaiła Nikitycza zdążono kanonizować, Woroszyłow i jemu podobni wyszli na wolność, wybuchła rewolucja, Mikołaj II utracił tron, po czym sam trafił pod straż.

Egzegeci historycznych znaków ujrzeli w tych wydarzeniach symboliczną pętlę czasu. Ural i Romanowów połączyła metafizyczna więź świętości i męczeństwa. W podziemnych zaświatach, na ofiarniczych ołtarzach w nyrobskiej jamie i jekaterynburskiej piwnicy otworzył się i domknął sakralny cykl początku i końca panowania cesarskiej dynastii.

Trzecim po Nyrobie i Jekaterynburgu podziemnym uralskim miejscem kaźni Romanowów są kopalnie niedaleko Ałapajewska. W pobliżu przemysłowego miasteczka znajduje się szyb, do którego zepchnięto i zarzucono granatami ałapajewskich męczenników – szwagierkę Mikołaja II, świętą księżnę Elżbietę Romanową i kilku wielkich książąt, krewnych ostatniego cara.

Ałapajewsk to zapomniana, depresyjna prowincja z tak zwaną wielką historią, mniej więcej trzy godziny jazdy autobusem z Jekaterynburga. W końcu XVII wieku znaleziono tutaj rudę żelaza i już w czasach Piotra I zabrano się do eksploatacji złóż. Ściągnięto specjalistów i wybudowano warsztaty hutnicze. Przez trzysta lat w Ałapajewsku nieprzerwanie produkowano miedź i żeliwo. Sowiecka industrializacja przyszła tutaj prawie na gotowe. W drugiej połowie XX wieku miejscowy kombinat metalurgiczny przeżył apogeum wydajności produkcji. Gdy na przełomie 1991 i 1992 roku z masztów zjeżdżały czerwone flagi z sierpem i młotem, w Ałapajewsku żyło i pracowało ponad pięćdziesiąt sześć tysięcy ludzi.

Od tamtego czasu ulotniło się stąd prawie dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Ich liczba ciągle spada. A teraz pewnie będzie spadać jeszcze szybciej. Kiedy w lipcu 2018 roku przyjechałem do Ałapajewska, kłódki na bramach tutejszego kombinatu jeszcze kiwały się na nowiutkich błyszczących łańcuchach. Upadłość ogłoszono dosłownie kilka dni wcześniej, choć produkcję ograniczano od dobrych kilku lat, a zbiorowe zwolnienia już dawno temu przetrzebiły miejscowy rynek pracy.

Kombinat umarł. Prawnicy toczyli jeszcze jakieś proceduralne gierki wokół warunków bankructwa, ale były to interesy wyłącznie uralskich magnatów przemysłowych. Miejscowi pracownicy znaleźli się w szarym dole. Ci, którzy mieli jeszcze energię i możliwości, a nie zwiali stąd jakiś czas temu, właśnie pakowali walizy. Pozostali pogrążyli się w głębokim stuporze.

Mimo wszystko miasteczko wyglądało latem całkiem przyjemnie. Strome, zarośnięte bujnymi krzaczorami brzegi rzeki Nejwy, przydawały

mu specyficznego rustykalnego uroku. Leniwe wody wcinały się w pofałdowany, zielony krajobraz upstrzony jednopiętrowymi domkami o spadzistych dachach. Tylko sterczące tu i ówdzie osiedla czteropiętrowych betonowych bloczków nie pozwalały rozpłynąć się w owej pagórkowatej, brzózkami i chaszczami ukraszonej słodyczy.

Szary nurt Nejwy jak stalowa poskręcana lina ściągał Ałapajewsk ku przestrzeniom zachodniej Syberii. Gdzieś tam na wschodzie tutejsza rzeka zlewała się z Rieżem, tworząc Nicę, dopływ Tury, dalej porywał ją silny nurt syberyjskiego Tobołu, by w końcu wpuścić jej wody do Irtyszu i Obu. Zanim Nejwa mogła wyruszyć ku potężnym eurazjatyckim wodnym arteriom, które sunęły aż ku lodowatym arktycznym morzom, sama musiała spić niezliczone uralskie strumyki i rzeczułki.

W dole stromego parowu przecinającego centrum miasta, między wysokimi chwastami ciurkał nurt rzeczki Ałapaichy, dopływu Nejwy. Z przerzuconego nad nim mostu widać było białe ściany soboru Świętej Trójcy. O prowincjonalnej świątyni przypomniano sobie z okazji setnej rocznicy śmierci Romanowów. Okolicę ozdobiono banerami z wizerunkami pomordowanych książąt i wielką uśmiechającą się twarzą patriarchy Cyryla I. W oddali kiwał się na wietrze długi transparent wykrzykujący entuzjastyczne hasło: „Najświętszy Władyko! Ałapajewska owczarnia prosi o Wasze błogosławieństwo”.

Wewnątrz cerkiewnej nawy powiało chłodem i zapachem betonu. Podszedłem do stolika z broszurami. Rozejrzałem się wkoło. Oprócz kilku starszych kobiet modlących się przed ikonostasem nie było nikogo. Pochyliłem się nad blatem.

Znaki nadejścia Dnia Sądu.

W tym czasie, gdy globalizacja na politycznym poziomie zmierza ku zjednoczeniu świata i stworzeniu planetarnego państwa, elektronicznego rządu, światowego systemu opłat, światowej ekonomii, na poziomie religijnym właśnie ekumenizm ma za zadanie stworzyć jedną globalną religię i wlać w nią wszystkie herezje. Zniszczyć w ten sposób u samych podstaw dogmaty wiary Prawosławnej Cerkwi.

Błogosławionej pamięci grecki starzec, archimandryta Afanasij Mitilianos, nazywa ekumenizm ostatnim aktem poprzedzającym nadejście Antychrysta. Święty ojciec naszej Cerkwi Justyn Popowicz w swoim monumentalnym dziele *Cerkiew prawosławna i ekumenizm* pisze:

„Ekumenizm to ogólna nazwa dla pseudochrześcijaństwa, dla wszystkich łże-kościołów zachodniej Europy. W nim to znajduje się serce wszystkich błędów na czele z papizmem. Wszystkie te łże-chrześcijańskie kościoły są niczym innym jak jedną

wielką herezją we wszystkich jej wymiarach. Zaś ogólna jej ewangeliczna nazwa to wszechherezja. Ekumenizm to światowy ruch stawiający sobie za cel zjednoczenie wszystkich chrześcijańskich konfesji i, w ostatecznym rozrachunku, wszystkich światowych religii”.

Herezja zaś to niewłaściwe, skażone, kłamliwe nauczanie o Bogu. Jak przecież wiadomo, przed tryumfującym Antychrystem kroczy łże-prorok. Święci ojcowie pierwszych wieków chrześcijaństwa przepowiadali przyjście łże-proroka głoszącego herezję, łże-proroka, który nadejdzie w przededniu czasu Apokalipsy…

– Jak chcecie, to weźcie ją sobie, są bezpłatne.

Stała przede mną chuda, wysoka kobieta po trzydziestce. Spod białej chustki opadał jej na czoło kosmyk rudawych rzadkich włosów. Nie miałem pojęcia, kiedy podeszła i jak długo przyglądała mi się dużymi wodnistymi oczami.

– Te również – dodała.

Chyba widziała, że przed chwilą wodziłem wzrokiem po blacie i po rozłożonych na nim, odbitych na ksero ulotkach i broszurkach. Kobieta wykrzywiała lekko popękane wargi w życzliwym uśmiechu. Na jej zaczerwienionych od słońca policzkach i ostrym nosie marszczyły się duże piegi.

Byłem ciekaw, co zrobili z tą bibułą, kiedy zjawił się tu patriarcha z całą świtą. No, ale wyniesienie z cerkiewnej nawy dwóch stołów to w sumie żaden problem. Zagaiłem o wizytę Cyryla I.Była zachwycona. Wreszcie ktoś tak ważny tu przyjechał. Czasem pojawiają się tutaj pojedynczy ludzie, niekiedy podjedzie jakiś autokar z pielgrzymką. Poza tym dzieje się niewiele. A przecież to ważne miejsce. Dopiero teraz, na stulecie, coś się ruszyło. Tyle że to wszystko za mało. Za kilka dni znów wszyscy zapomną. Za daleko od Jekaterynburga, miejsce za mało rozpropagowane, zapomniane – opowiadała z żalem, ale bez szczególnych pretensji. Tak po prostu jest. Trzeba się z tym pogodzić.

Wyglądała na zadowoloną, że zjawił się ktoś z zagranicy. Pytała, okazywała zainteresowanie, potakiwała. Jej otwartość trochę mnie zaskoczyła. Zupełnie nie przeszkadzało jej, że przyjechałem z „łże-chrześcijańskiej” Polski, mimo że przed chwilą rekomendowała lekturę broszur o strasznych „papieżnikach” i ekumenicznych agentach lucyferycznego globalizmu. Obok bibuły demaskującej satanistyczne spiski i rychły początek ostatecznej bitwy dobra ze złem leżały ulotki informujące o akcjach pomocowych dla samotnych matek i działaniu wakacyjnej

świetlicy dla dzieci. Otworzyłem usta, żeby o to zapytać, ale ubiegła mnie propozycją.

– Chcecie, pokażę wam cerkiew. Warto obejrzeć, jak już przyjechaliście – dodała.

Cerkiew była trochę zaniedbana. Nie dlatego, że nikt wokół niej nie chodził. Po prostu wciąż nie była wykończona. Na betonowej wylewce leżały nierówno poprzycinane płaty wykładziny z linoleum. Tu i ówdzie na ścianach dało się zauważyć ślady drobnych poprawek.

– Posadzka będzie niedługo – powiedziała półszeptem, jakby się tłumacząc. – Wszystko to odbudowano niedawno. Jeszcze nie zdążyliśmy wykończyć. Ojcowie bardzo się starają, ale pewnych spraw się nie przeskoczy. Nasz sobór jest bardzo stary, ma trzysta lat – dorzuciła z dumą, po czym zaczęła opowiadać nieco głośniej.

Mówiła o bohaterskim prawosławnym ludzie, który mimo bolszewickich represji nie przestał chodzić do cerkwi. O batiuszce Dmitriju, którego czerwoni zabili tutaj na oczach wiernych. I o tym, że kiedy na jesieni 1918 roku weszło kołczakowskie wojsko, to ludzie zaraz odprawili ogromną procesję dziękczynną i piękną panichidę za duszę batiuszki Dmitrija. Opowiadała tak, jakby sama stała w tłumie parafian patrzących na jego śmierć. A potem modliła się przerażona powrotem czerwonych, którzy przegnali stąd wojaków Kołczaka. Jakby na własne oczy widziała spadającą na ziemię złotą kopułę z krzyżem, który potem wywieziono nie wiadomo dokąd. O tym, że komuniści rozpanoszyli się w Ałapajewsku na długo przed przewrotem październikowym, nie powiedziała ani słowa.

Miejscowa siatka bolszewicka była dobrze zorganizowana. Komunizmu nie przynieśli na bagnetach najeźdźcy z centralnej Rosji. Siatkę współtworzyli rosyjscy robotnicy z okolicznych zakładów metalurgicznych i kopalń rud żelaza. Towarzysze z uralskiego komitetu wiedzieli, że gdzie jak gdzie, ale w Ałapajewsku raczej nikt nie kiwnie palcem, żeby ująć się za wielką księżną Elżbietą i cesarskimi krewnymi.

Podeszliśmy do małego kiosku wewnątrz nawy. Na szybce wisiał cennik modlitw w różnych intencjach. Na wystawce leżały świeczki, dewocjonalia, kilka wydań katechizmu, biblijne opowieści dla dzieci, bajki o dawnej Rusi. Przez jedną z okładek ciągnął się tytuł książki Korna: *Na rozkaz tajnych sił. Co skrywały napisy w ipatjewskim domu*.

Zajrzałem mojej przewodniczce przez ramię. Siedząca w środku sprzedawczyni popatrzyła na mnie podejrzliwie.

– Przyjdź do mnie jeszcze – powiedziała sprzedawczyni.

– Zaraz – odpowiedziała uśmiechnięta kobieta od ulotek. – Chodźmy – zwróciła się do mnie. Odprowadziła mnie przed cerkiew. Na zewnątrz poczułem się nieco swobodniej i odruchowo ziewnąłem. – Zmęczeni jesteście?

– Nie – szybko odpowiedziałem – może jestem trochę niewyspany. Wiecie, wcześnie wstałem, żeby przyjechać z Jekaterynburga.

– To na pewno byliście już w Cerkwi na Krwi – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Tak, tak. Oczywiście, że byłem.

– No i jak wam się podobało?

– Bardzo ciekawe miejsce.

– Piękny chram, wspaniały – zachwyciła się.

– Uhum.

Przez chwilę dzieliliśmy się spostrzeżeniami na temat Jekaterynburga. Podstroiłem się pod sposób opowiadania z perspektywy pielgrzyma i zachwyconego turysty. Ze zrozumieniem kiwałem głową, kiedy z kolei ona opowiadała o swoich wrażeniach. Jekaterynburg był dla niej rzeczywistością dość odległą od codziennej. Niezwykłą i fascynującą. Sklepy, uliczne korki, szklane wieżowce, modne knajpy i kawiarnie, do których się nie wchodzi, no bo kto będzie płacił ot tak sobie sto dwadzieścia rubli za mikroskopijną filiżaneczkę espresso.

Po chwili przestałem być przybyszem z jakiejś abstrakcyjnej, odległej Polski. Zamieniłem się po prostu w dobrze zorientowanego mieszczucha. Zupełnie automatycznie zaczęła mówić o Jekaterynburgu tak, jakby był jakimś uogólnieniem dużego miasta, w którym wszystko wygląda inaczej, dzieje się tak szybko, że aż kręci się w głowie. Co za różnica: Warszawa, Moskwa czy właśnie Jekaterynburg.

Trzy godziny jazdy autobusem z Ałapajewska do Jekaterynburga to spory dystans. Nie pokonuje się go dla zachcianki, ot tak sobie. Teraz Jekaterynburg stał się miejscem załatwiania ważnych spraw. Kilka razy wracała do spotkania prawosławnych wolontariuszy, w którym uczestniczyła parę miesięcy temu.

– Pomagacie samotnym matkom? – wykorzystałem ten moment, żeby wrócić do niezadanego wcześniej pytania. – Mieliście ulotki na stole – dodałem zaciekawiony.

– Tak. Mogą zgłaszać się do nas. Mamy najpotrzebniejsze rzeczy… No, wiecie, pieluchy, mleko w proszku… Możemy też pomóc kupić najpotrzebniejsze rzeczy do domu. Dobrze wiemy, czego komu brakuje, kto naprawdę wymaga pomocy, a kto jest naciągaczem. Znamy tutejszych ludzi doskonale, sami jesteśmy stąd.

– A pomoc społeczna? Państwo?

– No niby tak, to wszystko tutaj jest. Oni wypłacają zapomogi i renty, ale wiecie, jak to jest… Państwo… – zastanowiła się chwilę, jak dobrać słowa – …zajmuje się swoimi sprawami. A urzędnik to urzędnik, on nie będzie się przejmował różnymi rzeczami. To znaczy nie chciałabym nic złego… Po prostu urzędnik to urzędnik… No, sami rozumiecie – uśmiechnęła się znacząco.

Nie mówiła tego wprost, ale raczej nie miała złudzeń co do skuteczności urzędów i państwowej pomocy społecznej. Urzędnicy są naturalną częścią krajobrazu. Bez nich nie byłoby świata. Ale tak jak po krajobrazie, tak po urzędnikach nikt niczego szczególnego się nie spodziewa. Wiosną na drzewach rosną liście, jesienią opadają, a w urzędach niezmiennie siedzą urzędnicy.

– Oni zazwyczaj zabierają się do pracy, kiedy ktoś z góry im każe albo ktoś znajomy czy ktoś z rodziny coś załatwi. My nie mamy problemu, bo nasi kierownicy ich znają, więc jak się zadzwoni czy pójdzie do nich, to oni się ruszą. Dobrze też mieć znajomych przedsiębiorców, a najlepiej hurtowników.

Dowiedziałem się również, że dogadali się z kilkoma miejscowymi handlarzami, głównie tymi, którzy mają swoje interesy z Cerkwią. Przy parafii działa coś w rodzaju banku żywności. Tutejszy prawosławny wolontariat, twierdziła, to bodaj ostatnie środowisko, które realnie pomaga ludziom i interesuje się ich losem. Dostarcza odzież, dokarmia dzieci, kiedy trzeba, znajdzie kogoś, kto wyremontuje rozpadający się płot niedołężnemu samotnemu człowiekowi…

W niewielkich, podupadających miasteczkach takich jak Ałapajewsk cerkiewni aktywiści często są ostatnim środowiskiem robiącym coś dla ludzi. Prawosławne organizacje pozarządowe potrafią być bardzo skuteczne w działaniu. Organizują pomoc, imprezy, święta, pielgrzymki, tworzą miejsca pamięci i kultu. Zazwyczaj mają dobre układy z lokalnymi władzami, z policją i miejscowymi biznesmenami.

Państwo nie przeszkadza im w działaniu. Cerkiewne organizacje pozarządowe cieszą się zdecydowanie większym zaufaniem władzy niż te, które nie mają nad sobą lojalnej, wpisanej w system państwowy struktury. Nie mówiąc już o organizacjach utrzymujących się dzięki międzynarodowym grantom, którym zgodnie z rosyjskim prawem przyklajstrowano status zagranicznych agentów. Zagraniczny agent (*inostrannyj agient*) to nie metafora. Organizacje pozyskujące finansowanie z zagranicznych źródeł są rejestrowane w Ministerstwie Sprawiedliwości dosłownie pod nazwą zagraniczni agenci. W 2014 roku jako zagranicznego agenta zarejestrowano między innymi Stowarzyszenie Memoriał.

Nie musi to od razu oznaczać, że grupy konserwatywnych, prawosławnych aktywistów działają z inspiracji władz. Wiele z nich powstaje rzeczywiście oddolnie. Mogą działać na rzecz społeczności lokalnych, uzupełniając, a w wielu przypadkach faktycznie zastępując pomoc społeczną. Przy okazji zajmują się edukacją, promowaniem tradycyjnych wartości i zasad moralnych. Często przenikają się z organizacjami kozackimi, paramilitarnymi i ultrakonserwatywnymi. Zdarza się, że takie organizacje działają na styku oficjalnej Cerkwi i niekanonicznych ruchów religijnych, a w takich przypadkach promowanie tak zwanych tradycyjnych wartości może zamieniać się w propagandę rozmaitych ideologicznych aberracji.

Od kilku lat badania socjologiczne pokazują, że mimo odgórnych ograniczeń sektor pozarządowy cieszy się coraz większym zaufaniem przy spadającym zaufaniu dla władzy. Społecznik – obojętnie, jakie poglądy reprezentuje i z jakim środowiskiem jest kojarzony – to realny człowiek, który robi coś konkretnego. Jego działania mają bezpośredni wpływ na życie społeczności lokalnych, konkretnych grup i ludzi. To ktoś, kogo się zna i komu można zaufać. Albo i nie zaufać – dlatego, że mniej więcej wiadomo, kto to jest i czym się tak naprawdę zajmuje. Z kolei władza państwowa i administracja centralna funkcjonują jak abstrakcyjne awatary. Można je nawet ubóstwiać, modlić się do telewizora albo billboardu z wizerunkiem prezydenta, a jednocześnie mieć poczucie, że na realną codzienność nie mają wpływu.

Do niezależnych organizacji pozarządowych państwo odnosi się nieufnie, jak do potencjalnego rywala, wewnętrznego wroga. Władza od lat poddaje organizacje pozarządowe coraz ściślejszej kontroli. Ich działanie regulują zapisy prawa o organizacjach społecznych (*zakon*

o obszcziestwiennych objedinienijach), które faktycznie tworzą odgórną, pionową strukturę zarządzania organizacjami, poczynając od finansowania, które płynie z budżetu państwa, po instytucje takie jak Izba Społeczna, która decyduje o dotowaniu tych czy innych projektów.

W ten sposób władza nakrywa aktywną część społeczeństwa szczelnym kloszem. Dotyczy to również ludzi angażujących się w wolontariaty. Opracowano długoterminowe projekty rozszerzenia pola działań społecznych. Jednym z oficjalnie postawionych celów realizacji szeroko dyskutowanego, federalnego projektu „Aktywność Społeczna" jest włączenie w działalność społeczną do 2024 roku dwudziestu procent Rosjan. Biorąc pod uwagę, że mowa tu o planowanych milionach przyszłych wolontariuszy, na horyzoncie pojawił się dawny duch czynów społecznych i starych dobrych *subotnikow*.

Pracownicy sektora pozarządowego już kilka lat temu stanęli przed wyborem: albo wejść w państwowy erzac społeczeństwa obywatelskiego. Albo dać się ostatecznie zmarginalizować i obumrzeć, wykrwawiając się w permanentnym konflikcie z państwem, lądując w sądach oraz na listach nielegalnych organizacji i zagranicznych agentów wnioskujących o międzynarodowe finansowanie ich projektów. Jeśli więc chcą bez przeszkód założyć świetlicę dla dzieci, zorganizować wieczorek taneczny dla seniorów, ogłosić zbiórkę środków na rzecz samotnych matek albo poprowadzić miejską grę dla wszystkich chętnych, muszą dołączyć do wielkiej drużyny Władimira Władimirowicza. Choć i to nie gwarantuje im przetrwania. Fundusz Grantów Prezydenckich przyznał w 2018 środki na rzecz dziewięciuset społecznych projektów wolontariackich. W sumie fundusz wyasygnował kwotę jednego miliarda siedmiuset milionów rubli. Wbrew pozorom to nie jest oszałamiająca suma.

Społecznik musi sam się ograniczać i uważać, żeby nie przekroczyć dozwolonych ram, które nie zawsze są jasne. Powinien więc dużo myśleć o tym, co mu wolno, a czego już nie, tak żeby przy okazji złożenia kolejnego wniosku o finansowanie projektu, nie zostać odciętym od pieniędzy. Znam całkiem sporo ludzi, którzy postanowili robić swoje i działać w takich warunkach, jakie są.

Władza stworzyła imitacje różnych demokratycznych instytucji. Po upływie trzech dekad rosyjskie społeczeństwo stało się etatystyczne we wszelkich sferach, również na poziomie organizacji pozarządowych. Bodaj jedną z ostatnich przestrzeni działań oddolnych, w które państwo nie

wtrąca się bezpośrednio, stanowi społeczny aktywizm prawosławny. Tyle że Cerkiew jest dziś na tyle uzależniona od władzy państwowej, że w zasadzie nikt tam nie musi się w nic wtrącać.

– Pomagamy wielodzietnym rodzinom, nie tylko materialnie – opowiadała z zaangażowaniem prawosławna aktywistka.

Mówiła o świetlicy dla dzieci, która działa przez cały rok. Dzieci mogą tam odrobić lekcje, a kiedy trzeba, dostaną obiad. Świetlica odciąża rodziców, którzy mogą poświęcić więcej czasu na pracę i obowiązki. Opowiadała też o pomocy ludziom starszym, samotnym i inwalidom. Czasem zrobią im zakupy albo załatwią leki. Czasem przychodzą do nich po prostu posiedzieć i pomodlić się. Starają się pomagać alkoholikom. Przyciągają ich do grup modlitewnych albo sami próbują wymodlić ich trzeźwość.

– Mężczyźni piją, bo nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Wielu straciło pracę. A dokąd mają wyjechać? Siedzą więc po domach i piją. To nie ich wina. Są nieszczęśliwi. To straszne dla mężczyzny nie móc wyżywić rodziny – mówiła spokojnie, z uśmiechem.

– A kobiety? Jak sobie z tym radzą? – zapytałem.

– Różnie. Trwają przy nich, bo co mają zrobić… Kobiety powinny być przy mężach. Wspierać ich do końca, bo nigdy nie wiadomo, kiedy Bóg ześle łaskę i coś się zmieni.

– A jeśli nie ześle łaski?

– Trzeba ufać Bogu…

– Ale sami powiedzieliście, że pomagacie wielu samotnym matkom, wiele kobiet jest po rozwodach.

– Czasem rzeczywiście już się nie da. To jednak jest tragedia. Wiecie, mężczyzna, któremu w życiu się nie wiedzie, źle się z tym czuje… – mówiła wolno z niezmiennym uśmiechem. Od kilku minut wyglądała tak, jakby ów wyraz życzliwości przyrósł jej do twarzy.

– Mówicie tak, jakby oni nie byli niczemu winni. Przecież wiecznie pijany mąż to koszmar, dzieci patrzą na niego.

– Oni są biedni, ja się za nich modlę. Sami pomyślcie, jak czuje się mężczyzna, który stracił możliwość bycia głową rodziny. Nic od niego nie zależy. Wszyscy nim pomiatają. Na nic nie może sobie pozwolić. Dobrze, jeśli żona przynosi jakieś pieniądze do domu, chociaż dla niego to może być jeszcze gorsze. Trzeba pokazać ścieżkę. Wielu ludzi nie zwraca uwagi na pewne rzeczy. Nie chrzczą dzieci, nic ich nie obchodzi. Nieszczęście

może mieć dobre strony, może ludziom otworzyć oczy. Cierpienie może przynieść coś dobrego, pozwolić zobaczyć szerszy świat.

– Rozmawiacie z nimi o tym?

– Oczywiście, najważniejsza jest dusza człowieka… Jakby to powiedzieć… Trzeba im pomóc zrozumieć, co jest w życiu najważniejsze. Żeby spotkali się z prawdą. – Tym razem uśmiechnęła się szerzej, marszcząc piegowaty nos.

– Prawdą?

– Cierpienie jest ważne, stanowi zaczyn nowego życia, duchowego życia. Zrozumienia, że dusza jest wieczna. Jeśli ona umrze, nic już nie zostaje. Ten świat jest pełen kłamstwa i fałszu, gubi duszę. My nie możemy na to pozwolić. Jeżeli nie my, to kto?

15 Dzień czekisty

– To wspaniale, że będziecie na procesji. Sami zobaczycie, co tam będzie się działo. Cała noc w drodze, rankiem nabożeństwo w Ganinej Jamie. Dziesiątki tysięcy ludzi w lesie – powiedziała na pożegnanie, powoli odwracając się w kierunku wejścia do soboru.

– A wy będziecie? – zatrzymałem ją jeszcze na chwilę.

– Tu też będzie nocna procesja. Na rudnik. Nie taka wielka, ale szykujemy się już od dawna – odpowiedziała. – Następnym razem, jeśli znów będziecie w naszych stronach, nie zapomnijcie pojechać do Nowoj Selimskiej, na rudnik. Z Bogiem.

– Z Bogiem – automatycznie odpowiedziałem i ukłoniłem się.

Dziewczyna uśmiechnęła się i poszła z powrotem do soboru. Przez chwilę stałem na cerkiewnym podwórzu sam, obok pomnika wielkiej księżny Elżbiety Romanowej, pod który odprowadziła mnie prawosławna aktywistka. Na postumencie wisiała tablica informująca, że Elżbietę zamordowano w Ałapajewsku. W rzeczywistości stało się to kilkanaście kilometrów dalej, w szybie kopalnianym w Nowoj Selimskiej. Oprócz Elżbiety zabito tam jej bliską przyjaciółkę mniszkę Barbarę. I sześciu książąt.

Bolszewiccy egzekutorzy wepchnęli wszystkich do szybu. W głąb wrzucili granaty, kawałki drewnianych szalunków, ziemię i kamienie. Ofiary mogły umierać od ran, dusić się przywalone ziemią zmieszaną z kamieniami i drewnem jeszcze przez co najmniej dobę. Po jakimś czasie zaczęły krążyć opowieści o donośnych śpiewach modlitewnych dobiegających spod ziemi. Miejscowi chłopi ponoć jeszcze przez wiele dni słyszeli niosące się kilometrami zawodzenie umierających. Ludowy apokryf trafił dziś do internetu, a opowieść o rozpaczliwej modlitwie ałapajewskich męczenników krąży w sieci. Internet nie zniszczył ludowych mitologii. Przeciwnie. Światłowód jest znacznie szybszy od wędrownych opowiadaczy i głosicieli objawień.

Nie tak dawno rozmawiałem o tych sprawach ze znajomym badaczem z Wyższej Szkoły Ekonomii w Moskwie Borysem Knorre. „Wyszka” to

dość wszechstronna uczelnia, Borys od lat zajmuje się tam socjologią religii i tematami z pogranicza polityki i teologii. Zapytałem go wprost, co sądzi o carobożnikach i czy uważa ich za coś realnie obecnego w codziennym, parafialnym prawosławiu.

– Znacznie bardziej niż mogłoby się wydawać – odpowiedział. – Nie tylko na Uralu i w miejscach związanych z Romanowami. Sam byłem zaskoczony tym, jak bardzo w ostatnich latach ludowy kult Mikołaja II rozpowszechnił się na głębokich wsiach. Do niedawna myślałem, że to typowo miejskie zjawisko, które dotyczy specyficznych grup skrajnie konserwatywnej, czarnosecinnej prawicy. Mówię tu oczywiście nie o kanonicznym kulcie Mikołaja II i jego rodziny, tylko o carobóstwie, które wydawało mi się częścią ideologii radykalnych duchownych kontestujących po cichu cerkiewny establishment. Nie jest przecież wielką tajemnicą, że takie grupy istnieją. Nie sądziłem jednak, że idee carobożnickie tak szybko przenikną do ludowego prawosławia. Nie są tam aż tak wojownicze, ale przyjęły się gładko.

Borys zaczął opowiadać o swoich badaniach terenowych, które prowadził niedawno w okolicach Miednoje i w kilku innych wioskach w rejonach pienowskim i ostaszkowskim obwodu twerskiego. Po powrocie z terenu nie miał wątpliwości, że carobóstwo trafiło pod strzechy. Kiedy o tym słuchałem, zrobiło mi się bardzo nieswojo. To przecież tam w kwietniu 1940 roku NKWD pozbywało się ciał polskich jeńców pomordowanych w Twerze. Jednym z nich był mój pradziadek Bolek. Nie miałem zielonego pojęcia, że po podróży na Ural, gdy będę rozmawiał o tym, co tam zobaczyłem, jedna z usłyszanych opowieści wrzuci mnie niemal w sam środek lasu, w którym kiedyś unicestwiono ciało kogoś z mojej najbliższej rodziny. Długo nikt nie wiedział, co się z Bolkiem działo. Było oczywiste, że już nie wróci. I tyle. Zniknął i nigdy go nie będzie.

Przez myśl przewaliły mi się wspomnienia o nieżyjącej już babci. Borys opowiadał, ale zamiast go słuchać, miałem przed oczami jej twarz, święta, niedzielne obiady w małym mieszkaniu na Grochowie. Kineskopowy telewizor w rogu pokoju, peerelowski tapczan. Lampę na aluminiowym pałąku z półeczką na czasopisma kupioną w siermiężnym sklepie meblowym w Uniwersamie. Przypomniały mi się rozmowy na tysiące różnych tematów. Prawie nigdy o ojcu babci. Pamiętam tylko kilka pourywanych, niedokończonych zdań. O tym, jak czekała na jego powrót.

O tym, jak jej matka, prababcia Anastazja, powoli traciła nadzieję i nie ułożyła już sobie życia z innym mężczyzną. Do śmierci pozostała sama, reagując na każdą błahostkę agresją i awanturami.

Babcia Stenia dorosła w świecie pozbawionym ojcowskiej miłości. Od czasu do czasu patrzył na nią z kilku czarno-białych fotografii z każdym rokiem coraz bardziej obcy mężczyzna. Czy w chwilach samotności wyjmowała jego fotografie ze starego pudełka po czekoladkach? Nawet nie wiem, co wtedy czuła. Czy płakała, a może po prostu obojętnie przyglądała się temu coraz bardziej abstrakcyjnemu wspomnieniu. Babcia dopiero na starość, już po upadku komuny, dowiedziała się, gdzie dokładnie i kiedy zabito jej ojca. Ciężko było mi się skupić na tym, co mówił Borys, ale nie zmieniłem tematu i słuchałem dalej.

Borys po raz pierwszy odwiedził te miejsca wiele lat temu, w końcówce lat dziewięćdziesiątych. Teraz zastał tam nową rzeczywistość. Wioski w okolicach Ostaszkowa i Pienu wymierają. Niektóre wsie straciły ponad połowę mieszkańców. Mnóstwo w nich porzuconych, niszczejących domów. W ciągu ostatnich dwudziestu lat okoliczne sosnowe bory zostały przetrzebione. Puste połacie ziemi po wyciętych pod korzeń lasach ciągną się w wielu miejscach długimi kilometrami. Pod topór poszły nawet młode zagajniki i wątłe, niespełna dwumetrowe drzewka.

Prywatni dzierżawcy lasów w praktyce mogą robić z nimi, co chcą, i rżnąć, ile dusza zapragnie. Lasy przekazywano im do użytku na czterdzieści dziewięć lat. Teoretycznie są zobowiązani do sadzenia nowych drzew w miejsce wyciętych, ale mają to gdzieś. Tu i ówdzie dla świętego spokoju rozlokują jakieś młodniki, ale ich powierzchnia zupełnie nie odpowiada rozmiarom wycinki.

W okolicy, w której rabunkowo wyrębuje się lasy, ludzie mają problem z drewnem na opał, bo drzewo od razu jest wywożone na sprzedaż. Ogromne ciężarówki rozjechały tutejsze szutrowe drogi i zdewastowały niemal do końca podniszczone asfaltówki, pamiętające jeszcze Związek Radziecki. Miejscowi nawet nie wąchają dochodów z wyrębu. Firmy, które zajmują się wycinką dzierżawionych lasów, eksploatują region, nie dając mu nic w zamian. Są zarejestrowane w Moskwie i przywożą własnych robotników sezonowych, często azjatyckich gastarbeiterów. Podatki trafiają poza region. Wracają potem jako centralne dotacje, które w dużym stopniu przechwytują twerscy prominenci i obwodowi czynownicy.

Niektórzy dzierżawcy pogrodzili lasy i zamknęli je przed miejscowymi. Nie da się do nich wejść, zbierać grzybów czy jagód ani nawet kłusować. W zamkniętych, wielohektarowych leśnych ostępach powstały prywatne tereny myśliwskie, w których bogaci moskwianie mogą dla rozrywki postrzelać do zwierząt. Miejscowi mają niewielki pożytek z komercyjnych polowań i jeśli raz na jakiś czas zatrudni się kilku z nich do nagonki, to jest to maksimum korzyści, którą przynosi im ten biznes.

Mimo wszystko w okolicy zostało jeszcze całkiem sporo cichych i malowniczych zakątków. Nad rzekami działa kilka ośrodków wypoczynkowych przypominających stare radzieckie turbazy. Niektóre mają nieznacznie wyższy standard, na przykład ośrodek Wioska Rybacka przyjmująca miłośników wędkowania, szaszłyków i posiadówek w swojskiej drewnianej bani. Cokolwiek by jednak powiedzieć, nie da się tego nazwać przemysłem turystycznym, który zdołałby wyprowadzić region na prostą.

Trudno więc dziwić się ludziom, którzy mają głębokie poczucie, że są ordynarnie dymani przez wszystkich wokoło. Gdyby nie kilka okolicznych ferm rolno-hodowlanych, które uchowały się na pozostałościach po dawnych sowchozach, nie byłoby tu już żadnego poważniejszego pracodawcy. Ale nawet nieliczni prywatni przedsiębiorcy są rozżaleni. Sami ledwo przędą i własnymi siłami nie podniosą regionu, gdyby nawet bardzo chcieli. Narzekają na państwo, które się nimi nie interesuje. Słyszą co chwila w telewizji o nowo wdrażanej polityce preferencyjnej, o programach rozwoju gospodarstw rolnych i hodowlanych. W rzeczywistości przygniatają ich absurdalne formalności i konieczność wchodzenia w szemrane układy z miejscowymi urzędnikami. Na razie jakoś ciągną. Czują jednak, że ich praca jest nic niewarta i nikogo nie obchodzi.

Co będzie, jeżeli któregoś dnia nie przyjdą emerytury, renty i zbankrutuje ostatni okoliczny farmer? Jeśli państwo zacznie zalegać ze świadczeniami i socjałem, region ostatecznie padnie. Miejscowi zdają sobie z tego sprawę. Ale pozostają bierni i niechętni wszystkiemu, co może naruszyć *status quo*, bo są przekonani, że jakakolwiek zmiana będzie zmianą na gorsze.

W okolicy działa kilka prawosławnych parafii. Borys twierdzi, że wnoszą sporo ożywienia w życie tamtejszych społeczności. Duchowni starają się coś robić, organizują festyny i święta. Niektórzy z nich wychodzą do ludzi, jeśli ci nie chcą sami przychodzić do cerkwi. Jeden

z popów skrzyknął wiejski teatrzyk w rejonie pienowskim. Ludzie przygotowali kostiumy, razem zbudowali scenografię, potem fajnie spędzili czas podczas prób. Na premierze zjawiła się cała wioska. Wszystkim bardzo się to spodobało i już myślą o kolejnych przedstawieniach.

Duchowni niemal na każdym kroku starają się przekonywać ludzi do swojego światopoglądu. Teoretycznie nie ma w tym niczego dziwnego. Kapłani są od tego, żeby głosić wyznawaną przez siebie prawdę. Problem w tym, że przy okazji opowiadają wiernym o tajnych światowych sprzysiężeniach czy antyrosyjskich spiskach, ostrzegają ich przed wyimaginowanymi niebezpieczeństwami płynącymi ze wszystkich stron. Sprzedają wizję niebezpiecznego, wrogiego świata zewnętrznego. Do czego ludzi nie trzeba szczególnie zawzięcie przekonywać, bo sami zdążyli nabrać przeświadczenia, że wszyscy wkoło sprzysięgli się przeciwko nim.

Borys na własne uszy słyszał, jak cieszący się sporym autorytetem miejscowy pop tłumaczył parafianom, że za wycinką lasów stoją Amerykanie, którzy nasyłają Chińczyków, żeby niszczyli nie tylko miejscowe bory, ale i całą syberyjską tajgę. Ów człowiek jest i tak dość umiarkowany w poglądach w porównaniu z innym tutejszym duchownym.

W okolicy działa charyzmatyczny kapłan głoszący radykalne carobożnickie poglądy. Zebrał wokół siebie sporą grupę miejscowych, którzy traktują go jak świętego starca, wierzą w jego nadnaturalne możliwości i uważają za uzdrowiciela. Carobożnicki guru naucza, że wielki władca nie może być grzeszny, a wszystkie czyny władzy wyrażają zbiorową wolę ludu i Boga. Podczas kazań i rozmów głosi świętość Iwana Groźnego, opowiada o szczególnej misji bożego proroka Grigorija Rasputina. Nie nazywa Mikołaja II inaczej niż męczennikiem – odkupicielem ruskiego ludu i światowego chrześcijaństwa. Opowiada, że świętego cara zabili słudzy Antychrysta podczas tajemnego obrzędu.

Charyzmatyczny batiuszka chętnie zdecydował się na rozmowę, podczas której z ogniem w oczach wykładał swoje racje, ale jego owczarnia okazała się skrajnie nieufna. Miejscowi carobożnicy sprawiali wrażenie zalęknionych i na widok badaczy pozamykali się w domach. Ci, z którymi udało zamienić się przynajmniej kilka słów, kategorycznie odmawiali dalszej rozmowy. Wszyscy formalnie należą do Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego.

W okolicy nie ma zdeklarowanych rozłamowców. Mimo to trwa tam podskórny konflikt między prawosławnymi, którzy wzajemnie uważają się

za heretyków i łże-chrześcijan. Pozostali popi są znacznie bardziej wstrzemięźliwi w poglądach, ale również zdarza im się opowiadać o odkupicielskiej ofierze Mikołaja II, o świętych carach i międzynarodowych antyrosyjskich sprzysiężeniach. Przedstawiają to niemal jako oficjalne nauczanie Cerkwi.

Parafianie z rozrzewnieniem wspominają stary dobry porządek, kolektywne państwowe gospodarstwa, sielski i spokojny byt pod jaśniejącą radziecką gwiazdą i łopoczącym czerwonym sztandarem. Potrafią najpierw opowiadać, że Mikołaja II zabili agenci światowego spisku, że bolszewicy zostali nasłani przez globalną siatkę masońską, a zaraz potem wychwalać sowiecki porządek, w ramach którego do połowy lat siedemdziesiątych robotnicy kołchozowi żyli przywiązani do ziemi jak chłopi pańszczyźniani. Dopiero w czasach dojrzałego Breżniewa zaczęto wydawać im wewnętrzne paszporty (dowody osobiste) dające możliwość swobodnego poruszania się po kraju.

Borys wyjechał z obwodu twerskiego z ciężkimi myślami. Cerkiew okazała się tam ostatnią instytucją, która interesuje się losem ludzi i stara się cokolwiek dla nich robić. Z drugiej strony nawet mniej radykalni kapłani sprzedają parafianom toksyczne teorie spiskowe, a własne fobie głoszą jako prawdę objawioną. Miejscowa, otwarcie carobożnicka społeczność skonsolidowała się w zamkniętą sekciarską grupę, skonfliktowaną z sąsiadami i oddającą niemal boską cześć swojemu przemądrzałemu guru.

– Takie społeczności wbrew pozorom nie są ewenementami. Rzecz nawet nie w tym, ilu wyrazistych carobożnickich grup można by się doliczyć. Znacznie istotniejsze jest to, że we współczesnym ludowym prawosławiu, nawet w wygładzonej wersji można trafić na te idee prawie na każdym kroku.

Na tym skończył.

Granice między kanonicznym kultem świętych cierpiętników Romanowów, współczesnym ludowym apokryfem, hardlajnowym sekciarstwem i szowinistyczną ultrakonserwatywną ideologią polityczną są bardzo płynne; do tego można dodać narastające poczucie wyautowania, niesprawiedliwości i krzywdy, tęsknotę za sowieckim ładem – i miksturę mamy gotową.

Tymczasem rosyjskie państwo cierpiące na nieuleczalną pomnikozę do dziś nie zdecydowało się na postawianie Mikołajowi II należytego

monumentu. Dlaczego? Na pierwszy rzut oka odpowiedź wydaje się dość prosta. Mikołaj II nie jest ulubioną figurą współczesnej władzy. Wyrosły wokół niego mit jest śliski jak skórka od banana. Władza uznaje go, wyraża szacunek i chyli czoła, a w tym samym czasie dyskretnie spycha kolanem w ciemny kąt. Ktoś taki jak Mikołaj II jest mało atrakcyjnym totemem dla ogarniętej manią wielkości władzy.

Mikołaj Romanow to skończony przegryw. Nie zauważył spisku, który zawiązano pod samym jego nosem. Dał się wykolegować własnym generałom i grupce niezbornych republikanów, którzy na koniec wystawili go bolszewikom. A ci bez skrupułów wykończyli go w jakiejś stęchłej piwnicy. Los Mikołaja to koszmarny sen władzy. Może być co najwyżej przestrogą. Z punktu widzenia kremlowskich macho Mikołaj nie nadaje się do tego, żeby stawiać go na pomnikach.

Co innego jego ojciec. To był ktoś. Aleksander III to jeden z najulubieńszych monarchów Władimira Putina. Ostatni prawdziwy samodzierżca. Wysoki, barczysty, o rumianych polikach, pięściach wielkich jak bochny chleba, z brzuchem mocnym jak samowar, długą brodą niczym u biblijnego Boga Ojca. Prawdziwy twardziel. Wróg drżał przed nim, a lud pokornie go słuchał. Za jego czasów imperium osiągnęło szczyt potęgi. To on stwierdził, że Rosja ma tylko dwóch prawdziwych sojuszników: armię i flotę.

Są jeszcze inne, poważniejsze, powody, dla których lepiej, żeby Mikołaj Romanow nie wyściubiał nosa z ciemnego kąta, do którego wysłano go z należytymi honorami. W gruncie rzeczy obecnej władzy znacznie bliżej do czekisty Jurowskiego, do Gołoszczekina, nie mówiąc już o naszym wielkim rodaku Feliksie Edmundowiczu Dzierżyńskim, niż do Mikołaja II. Co pośrednio władza sama przyznaje rok do roku.

Państwowe święto Dzień Pracownika Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej fetowane jest każdego roku 20 grudnia. Ta data nie ma nic wspólnego z tradycją dawnej carskiej tajnej policji, ochrany. 20 grudnia 1917 roku powstała Wszechrosyjska Nadzwyczajna Komisja do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem (CzeKa), a jej szefem został Feliks Dzierżyński. Potem sowiecka służba bezpieczeństwa zmieniała nazwy, przechodziła liczne restrukturyzacje i wewnętrzne reformy. Dziś jej bezpośrednią spadkobierczynią jest Federalna Służba Bezpieczeństwa. Tak zwany dzień czekisty do kalendarza świąt państwowych wprowadzono na mocy ukazu podpisanego w 1995 roku jeszcze przez Borysa Jelcyna.

W XXI wieku Dzień Pracownika Służby Bezpieczeństwa zyskał opinię korporacyjnej kremlowskiej imprezy. Cichy przewrót, dzięki któremu ludzie obchodzący to branżowe święto zawłaszczyli państwo, dopełnił się mniej więcej między 2004 a 2008 rokiem, w trakcie trwania drugiej kadencji Władimira Putina.

W 2009 roku, w okresie przejściowej kadencji prezydenckiej Dmitrija Miedwiediewa, pomieszkiwałem w jednym z miast na Syberii. Któregoś dnia pojechałem z grupą znajomych dwudziestoparolatków na weekendową kąpiel w Bajkale, alkoholu i zupie rybnej. Wieczorem napatoczyło się jeszcze dwóch znajomych. Chłopaki mieli przed sobą ostatni rok studiów prawniczych. Po kilku kolejnych toastach wdali się w dyskusję o tym, co zrobić z dyplomem magistra prawa w kieszeni.

Jeden z nich, lekko kiwając się za drewnianym stołem, z ukosa popatrując na dziewczyny, zaczął się popisywać układami rodzinnymi, dzięki którym miał już ponoć załatwioną posadę w FSB. Drugi przyznał, że najchętniej też by się zatrudnił w organach, ale na razie nie wie, jak się do tego zabrać. Wciąż brakowało mu odpowiednich dojść, a sam dyplom prawnika może sobie wsadzić w tyłek. Podpity koleżka, nie przestając popatrywać na dziewczęta, zaczął go zapewniać, że pomoże, załatwi, zadzwoni i pogada z kim trzeba. Rozmowa trwała do nocy.

Towarzystwo odniosło się dość ironicznie do pijackiego szpanu magistra prawa *in spe*. Ale wszyscy byli zgodni, że robota w organach to jedna z najpewniejszych trampolin kariery. Jeśli udałoby się na nią wskoczyć, to już po kilku latach można byłoby wymościć sobie dość wygodne miejsce w życiu, złapać odpowiednie kontakty, a nawet rozkręcić jakiś cichy biznesik na boku. Czysty pragmatyzm. Nikt nawet nie zająknął się na temat takich głupot jak służba państwu, patriotyzm czy romantyczne tropienie międzynarodowych siatek szpiegowskich i terrorystów.

Nie wiem, czy chłopcy noszą dziś wymarzone pagony na ramionach, jeżdżą porządnymi furami i prowadzą lukratywne interesy. Zasnęli z głowami na stole, a rano gdzieś zniknęli i więcej już ich nie spotkałem. Tak czy owak, wchodzący w dorosłość rosyjscy millenialsi, o czym nieraz się przekonałem, już wtedy nie mieli wątpliwości, kto realnie rządzi krajem i gdzie zarabia się pieniądze. Wiedzieli również, że miejsca są już pozajmowane, a starsi zdążyli się okopać na swoich pozycjach. Urzędniczy i mundurowy erzac klasy średniej od lat jest najstabilniejszą podporą etatystycznego putinowskiego systemu. Dopóki system będzie w stanie go

wykarmić, dopóty będzie istnieć. Na dłuższą metę raczej nie kryje się za tym jakaś demoniczna superstrategia.

Na razie naczelnym awatarem tej wielopiętrowej, skomplikowanej konstrukcji jest siedzący na węglowodorowym tronie były pułkownik KGB. Co roku 20 grudnia razem z kolegami obchodzi kameralny Dzień Pracownika Służby Bezpieczeństwa. Ani on, ani jego najbliższa ekipa niespecjalnie więc palą się do stawiania pomników człowiekowi zamordowanemu przez ojców założycieli branży. Było, minęło, o czym tu jeszcze gadać?

Niemniej to bardzo dobrze, że są na tym świecie duszpasterze gotowi głosić, że Mikołaja II nie zastrzelił średniej rangi czekista, tylko nasłany z Zachodu wysłannik tajnych sił. A za wszystkimi biedami stoją agenci Rządu Światowego, kabalistyczni magowie i Antychryst we własnej osobie. Nawet za rabunkowym wycinaniem lasu pod Twerem.

16 Wokół kłamstwo, zdrada i tchórzostwo

Paranoja to wierna przyjaciółka manii wielkości. Jeśli chcecie porozmawiać z facetami w kozackich kostiumach, to wiecznie niezaspokojona miłość własna każe im sądzić, że węszycie. Ludzie pragnący pozostać w cieniu przysłali was z daleka po to, żebyście ich obserwowali i raportowali. W sumie – kto by nie chciał, żeby wreszcie gdzieś zaraportowano o jego istnieniu? Wiadomo przecież, że nie raportuje się o byle kim.

Nie jest więc łatwo porozmawiać z facetami w kozackich kostiumach. Są czujni, mają oczy dookoła głowy. Robią, co mogą, żeby wyglądać na ważnych. Zachowują się jak przerośnięci chłopcy, którzy przebrali się za żołnierzy. Włożyli durszlak na głowę, wyszli na podwórko i skradają się po krzakach, szukając okazji, żeby wreszcie czymś się wykazać, kogoś chwycić za kołnierz.

Przy Międzynarodowym Festiwalu Kultury Prawosławnej działało centrum informacyjne, które wystawiało jakieś glejty. Ale tam potrzebne były legitymacje, pieczęcie i papierki. Jeśli zacząłbym coś organizować oficjalnymi kanałami, to zaraz padłyby pytania o akredytacje, pozwolenia i inne cuda. Poza tym nie chciało mi się gadać z którymś z nabzdyczonych przedstawicieli organizacji kozackich. Czekałbym całymi dniami na to, aż jakiś wyszczekany facio w dziwnym mundurze zasypie mnie wyuczonymi na pamięć okrągłymi zdaniami o tradycji, Bogu, carze i ojczyźnie. W najlepszym razie wylądowałbym w gabinecie jakiegoś atamana, najpewniej emerytowanego efesbesznika albo byłego milicjanta. Może efektem tego stałaby się jakaś barwna anegdota. Wolałem jednak porozmawiać z kimś niefunkcyjnym, najlepiej z niezrzeszonym w odgórnych organizacjach pielgrzymem, ewentualnie działaczem niższego szczebla. A takich ludzi trzeba było łapać na spontanie.

Pod Centrum Carskim wypatrzyłem samozwańczego atamana z bujnym wąsem, w improwizowanym stroju. W papasze na głowie, bluzie w kolorze khaki, spodniach od taniego garnituru, w rozłażących się mokasynach. Rozmawiał z ubranymi na sportowo szemranymi facetami. Podszedłem

i zapytałem, czy nie znalazłby chwili na rozmowę. Wziął mnie pod ramię i odprowadził kilka kroków na bok.

– O czym chcesz gadać, ktoś cię tu przysłał? – strzelił krótko, bez zbędnych wstępów.

Usiłował mnie wylegitymować i zagroził zatrzymaniem, jeśli natychmiast nie powiem prawdy. Paszportu nie okazałem, bo niby z jakiej racji, ale wyznałem najprawdziwszą prawdę, że przysłałem się tutaj sam. Ataman rzucił z satysfakcją do stojących obok kolegów, że ma zwiadowcę. I znów zażądał paszportu, powtarzając pytanie, kto mnie przysłał. Zamiast odpowiedzieć, zapytałem go, czy naprawdę sądzi, że zagraniczne służby nie mają czym się zajmować, tylko nasyłać na niego swoich agentów. Przegiąłem. Teraz wkurzył się na serio. Zacisnął pulchną pięść i puknął mnie mocno w ramię. Miałem, czego chciałem. Uciąłem sobie rozmowę na spontanie.

Próby przesłuchania mnie na miejscu przerwało nadejście posępnego, barczystego popa. Podążała za nim wysoka, dość elegancka kobieta w obcisłej spódnicy i kwiecistej chuście na głowie. Pop przywołał basującym głosem atamana i jego kumpli. Ataman zaczął pokrzykiwać, że ma tutaj takiego jednego, znaczy się mnie, ale pop najwyraźniej nie miał czasu na głupoty. Chyba nie wyglądałem na kogoś, kogo mocodawcy mogą mieć rangę odpowiadającą randze barczystego batiuszki.

– Wal się stąd. I uważaj, od teraz mam cię na oku – na odchodne syknął ataman i pomknął za popem, który wmaszerował szybkim krokiem do Centrum. Za popem weszła tam zgrabna kobieta w chuście, a po chwili w drzwiach zniknął również mój niedoszły rozmówca w otoczeniu trzech facetów w obcisłych koszulkach z logo Under Armour i Everlast.

Następnego dnia wieczorem znów poszedłem do Centrum Carskiego. Zaliczyłem premierowy pokaz kolejnego filmu dokumentalnego ujawniającego nieznaną prawdę o carze Mikołaju II. Rzecz oczywiście nie była skierowana do prostego odbiorcy. Bezpardonowo rozprawiała się z fałszerstwami i manipulacjami określonych środowisk. Po projekcji przemawiał egzaltowany moskiewski filozof, zdaje się autor scenariusza demaskatorskiego dzieła. Przy okazji ględził też o najgłębszych i ostatecznych aspektach prawdy.

Dotrwałem do końca. Warto było wysiedzieć. Czujny ataman chyba nie był kinomanem, więc nikt nie miał mnie na oku. Po seansie i pogadance poznałem trzech facetów około pięćdziesiątki. Wyglądali na nieco

zmęczonych ważnym dokumentem, ale twardo wysiedzieli w sali. Przyjechali z Orenburga, obwodowego miasta na południowych krańcach Uralu, niedaleko granicy z Kazachstanem.

Jeden z nich miał na sobie czarny T-shirt z niewielkim napisem na piersi „Za wiarę i ojczyznę” i spory srebrny krzyżyk na szyi. Pozostali byli jeszcze bardziej wstrzemięźliwi w stylistyce – dżinsy, koszulki, czapki bejsbolówki. Chwilę pogadaliśmy o filmie.

– Trzeba to będzie obejrzeć jeszcze raz – rozgadał się ten z napisem na koszulce. – Od razu widać, że to taki film bardziej do pomyślenia, a nie jakieś gówno, które dają w telewizji. W ogóle nie da się już oglądać telewizji.

Wszyscy pokiwaliśmy głowami. Facet miał na imię Jegor. Gadał jak najęty. Pozostali przytakiwali i dorzucali zdawkowe komentarze. Przyglądali mi się dość uważnie, słyszeli obcy akcent, ale o nic nie pytali.

Od słowa do słowa udało mi się umówić z Jegorem na dłuższą rozmowę. Pozostali odmówili. Jegor opowie wszystko jak trzeba – wykręcali się. Na co Jegor sentencjonalnie oznajmił, że nie ma nic do ukrycia. Skoro człowiek przyjechał z daleka i chce się czegoś dowiedzieć, to trzeba mu wyjaśnić, jak się sprawy mają. Dorzucił mimochodem, że sam pochodzi z Kozaków, ale są ważniejsze sprawy na tym świecie.

– Miło się gadało, ale musimy już iść. Późno już, a czekają na nas starzy jekaterynburscy przyjaciele. Jutro będzie czas, żeby dłużej pogadać.

Na pożegnanie Jegor mocno ścisnął mi dłoń. Pozostali kiwnęli głowami i odwrócili się na pięcie bez podawania ręki. Miałem wątpliwości, czy przyjdzie, mimo wszystko następnego dnia wróciłem pod Cerkiew na Krwi, gdzie mieliśmy się spotkać.

Przyszedłem wcześniej. Już rankiem ulicę Carską wyłączono z ruchu. Scena-ołtarz, na której Cyryl I miał odprawić nocne nabożeństwo, była już gotowa. Zostało jeszcze pół godziny do spotkania, więc postanowiłem pokręcić się między świątynią a kinem Kosmos i namiotowym miasteczkiem. Kolejne grupy pielgrzymów, którzy od rana zjeżdżali się autokarami, powoli opanowywały okolicę.

– Raz, raz, raz… raz, dwa, trzy… Dobrze, jeszcze raz… raz, raz… okej. – Dźwiękowcy ustawiali nagłośnienie i sprawdzali głośniki.

Tu i ówdzie pielgrzymi porozkładali na trawnikach obrusiki i objadali się przywiezionym prowiantem. Po parkowych alejkach kręcili się popi,

faceci przebrani za Kozaków, wycieczki wiejskich parafianek i grupy wolontariuszy ubranych w jednolite koszulki.

Nieopodal kina Kosmos klęczało kilku ludzi z przekrwionymi oczami i spoconymi, czerwonymi z gorąca policzkami. Między nimi stał wychudzony kapłan w starej, spranej riasie. Opierał się o dwumetrowy drewniany krzyż z zawieszonym na nim portretem Mikołaja II w cierniowej koronie, spod której ciekła krew. Z czoła rozmodlonego ojczulka lał się pot, ludzie klęczący na rozgrzanym chodniku oddychali ciężko i w modlitewnym skupieniu poruszali wysuszonymi wargami. Obok przechodzili pielgrzymi. Z powagą przyglądali się krzyżowi, umęczającym się w palącym słońcu ascetom i bez słowa szli dalej. Dźwiękowcy skończyli sprawdzać nagłośnienie. Ni z tego, ni z owego z rozstawionych obok sceny głośników popłynęła muzyka. W kierunku zalewu poniósł się stary, zapomniany przebój popularnego przed trzydziestu laty piosenkarza Igora Talkowa:

> Marzę o tym, by wrócić z wojny,
> na której urodziłem się i dorastałem
> na ruinach ubogiego kraju,
> pod deszczami łez.
> Niezłożony do ziemi tyran,
> wypowiedział ojczyźnie wojnę,
> której końca nie widać…

W końcówce lat osiemdziesiątych z fasady radzieckiego imperium sypał się już tynk, a Talkow śpiewał sentymentalne popowe szlagiery o zdradzonej ojczyźnie, prawosławnej wierze, rozstrzelanych białych generałach, zapomnianych bohaterach i trudnych miłościach. W 1991 roku oldskulowy nacjonalistyczny bard wdał się w awanturę na zapleczu sceny leningradzkiego Pałacu Sportu. Po krótkiej przepychance Talkow zginął od strzału z pistoletu, zaledwie kilka godzin przed rozpoczęciem koncertu.

Muzyka urwała się po niecałych dwóch minutach. Nie wiem, czy po prostu sprawdzano dźwięk i puszczono akurat Talkowa, czy może jakiś fan białogwardyjskiego Johna Lennona dorwał się do aparatury i usiłował puścić wiązankę niezapomnianych ballad. Kilka ulic dalej tętniło życie milionowego nowoczesnego miasta. Ludzie pocili się w biurach, załatwiali sprawy albo zbijali bąki w letnim skwarze.

Jegor przyszedł punktualnie. Nie liczyłem na to, że w ogóle się zjawi. Nad zalewem znaleźliśmy pustą ławkę i siedliśmy w cieniu kilku

karłowatych drzewek. Ukradkiem przyjrzałem się mu nieco dokładniej. Wysoki, szczupły, ale dość mocno zbudowany, o długich trochę patykowatych, wyżyłowanych rękach. Twarz miał chropowatą, lekko śniadą, pokrytą zmarszczkami. Włosy gęste, szpakowate, obcięte na krótko. Czuć było w nim jakiś niepokój, kompulsywnie rozglądał się głęboko osadzonymi brązowymi oczami. Mocno ściskał wąskie wargi, a kiedy zaczynał mówić, szczerzył nieco nadpsute, przyżółkłe od papierosowego dymu zęby. Ale nie palił. Pewnie niedawno rzucił.

Na drugim brzegu pobłyskiwał w słońcu szklano-metalowy gmach Centrum Jelcyna. Nie zdążyłem o nic zapytać. Jegor zaczął mówić sam z siebie. Szybko wyjąłem dyktafon.

– Nagrywaj, nie mam nic do ukrycia – oznajmił i zaczął głosić, patrząc przed siebie, w kierunku Centrum Jelcyna. – Widziałeś, kurwa, jaki skromny budyneczek? Uciśnieni rosyjscy liberałowie, cały cywilizowany świat we łzach… A wiesz co to jest?

Nie odpowiedziałem, spojrzałem na niego wyczekująco. Chyba niespecjalnie interesowały go moje opinie na temat Centrum.

– Szalupa ratunkowa. W ostateczności kremlowscy rozpoczną następną pieriestrojkę, żeby bezpiecznie ratować to, co nakradli. Zobaczysz, wcześniej czy później będzie kolejna złodziejska hucpa i ten sam burdel co kiedyś.

– No ale świat raczej niepokoi się losem opozycji, a nie systemowych liberałów…

– Jeden czort. Poza tym świat martwi się o kieszeń, a z tymi gnojami będzie znacznie łatwiej się dogadać.

Plan rozmowy, który wcześniej obmyśliłem, prawie od razu rozleciał się w drobny mak. Trudno rozmawiać z ludźmi takimi jak Jegor.
To apostołowie. Znają prawdę i nie wahają się jej głosić. Można wyjąć kartkę i czytać po kolei pytanie po pytaniu, a oni i tak będą do was przemawiać jak na wiecu. Dialog z apostołem nie jest jednak niemożliwy. Czasem po prostu trzeba za nim gonić i nie dawać mu odpłynąć. Należy zadawać to samo pytanie dwa albo nawet trzy razy. Apostołów zazwyczaj nie peszą polemiki. Przeciwnie. Nakręca ich to, że nie zawsze zgadzacie się z nimi, a nawet trochę ich prowokujecie. Lubią przekonywać do swoich racji. Oczywiście nie wolno przeciągać struny.

Zapytałem o Kozaków. Jegor machnął ręką. Uśmiechnął się sarkastycznie i niespodziewanie oznajmił:

– Odciąłem się od tych organizacji. To już nie to. Kozaków prawie nie ma.

Wziąłem wdech i przygotowałem się do wysłuchania emocjonalnej tyrady, że tylko on i jego kumple w dżinsach są prawdziwymi Kozakami. Tymczasem Jegor mówił już zupełnie spokojnie:

– Kozacy kiedyś jeszcze wrócą… Kiedyś jeszcze się odrodzimy, ale teraz to nie to. Nie to. Jestem tu z innych powodów. Może nie z innych, bo to wszystko łączy się ze sobą – nie przerywał. – Przyjeżdżamy tutaj każdego roku z wdzięczności. Jesteśmy tutaj, żeby podziękować i poprosić o siłę na przyszłość. Duszę można uleczyć tylko wtedy, gdy wróci się do korzeni, do źródła swojej siły, wiary, energii życiowej.

Robiło się coraz ciekawiej. Wewnętrzne siły witalne, energie, podróże w głąb siebie. W tym, co mówił, wybrzmiewały mi bardziej newage'owe poradniki niż teorie spiskowe z samodzierżawnym, prawosławnym hard core'em w tle. Jeszcze chwila, a zacznie gadać o nowej duchowości i ekologii, pomyślałem.

– Twoi przyjaciele też się odcięli?

– Nie. Oni nigdy nie należeli do organizacji kozackich. Nie są Kozakami. Im też jest potrzebna siła. Dużo siły.

Otworzyłem usta, żeby zapytać, do czego potrzebna im ta siła, ale mówił dalej sam z siebie. Zeszło na rozmowę o życiu. Zacząłem więc wypytywać, skąd pochodzi, gdzie spędził młodość, czym się zajmował i tak dalej.

Jegor wychował się w Orenburgu, niedaleko granicy z Kazachską Socjalistyczną Republiką Radziecką. Jego ojciec był milicjantem. Miał kozackie korzenie, z czym za komuny niespecjalnie się afiszował, ale kiedy wypił, lubił się tym przechwalać. Matka Jegora, Baszkirka, nie przywiązywała szczególnej wagi do pochodzenia. Typowa sowiecka baba, jak z czułą ironią ją określił. Po czym szybko dodał, że gdyby nie ona, to cholera wie, czy dziś jeszcze byśmy rozmawiali. Niestety ojciec poznał inną babę, nie za ładną i nie za mądrą, ale mu się spodobała. Wyprowadził się z domu niespodziewanie, z dnia na dzień, tuż przed czternastymi urodzinami Jegora. Matka została sama z dorastającym synem i mizerną pensją kucharki w szkole podstawowej.

Sowiecka baba użerała się z dorastającym synem zupełnie sama. Jegor był agresywny, wdawał się w awantury i przypały. Bicie szło mu całkiem dobrze. Dorastał w czasach wideo. W końcu zapisał się na karate.

Od początku szło mu na treningach bardzo dobrze. Był wysoki, dość silny i starał się udowodnić wszystkim, że się nie boi.

Któregoś dnia jeden ze starszych kolegów przyszedł na trening z dwugłowym orłem wczepionym w kołnierz tureckiej dżinsowej kurtki. To był jakiś 1988, może 1989 rok. Saszka imponował Jegorowi. Rozbijał wszystkich na treningach. W dodatku miał dwadzieścia trzy lata i wydawał się bardzo poważnym dorosłym facetem. Pod koniec lat osiemdziesiątych Związek Radziecki trząsł się już w agonalnych konwulsjach, ale nikomu nie śniło się nawet, że za chwilę się rozpadnie.

Wkrótce w Orenburgu, tak jak w wielu innych rosyjskich miastach, zaczęły powstawać oddolne organizacje kozackie. Po krótkiej rozmowie okazało się, że Saszka chodzi na zebrania. Kręci się w gronie poważnych ludzi, załatwia jakieś interesy – a przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Kozacy robili na mieście coraz więcej zamieszania.

Po którymś treningu Jegor, chcąc mu zaimponować, powiedział, że jest synem najprawdziwszego Kozaka orenburskiego. Saszka go spławił. Ale po jakimś czasie zaczepił Jegora przed klubem, dał mu adres i powiedział krótko, że jeśli chce, to może przyjść na spotkanie takiego a takiego dnia. Jegor oczywiście pobiegł tam w podskokach. Podczas rozmowy z kierownictwem strasznie nabajerował o poszanowaniu kozackich tradycji, których przestrzegano w jego domu od zawsze. O tym, jak to niby jego ojciec wychowywał go potajemnie na Kozaka. Po kilku pytaniach „starszyzny” okazało się, że nie ma bladego pojęcia o kozackich obyczajach, historii i bojowych szlakach przodków. Mimo wszystko pozwolono mu przyjść jeszcze raz. Na próbę. Wszystko dzięki Saszce, który zarekomendował go jako bojowego i perspektywicznego chłopaka.

Jegor powoli wchodził do grupy. Na początku lat dziewięćdziesiątych zaczęły się wspólne popijawy, patriotyczne pikiety, agitacja, składanie kwiatów, oddawanie czci i tym podobne hece. Po kilku miesiącach poszedł z paroma kompanami na pierwszą akcję. Nic wielkiego. Przekopali jakiegoś człowieka przed osiedlową klatką schodową. Jegor nigdy wcześniej nie widział go na oczy, ale powiedziano mu, że to sprzedawczyk i zdrajca ojczyzny. Jakiś czas później okazało się, że ów zdrajca spod klatki schodowej zalegał komuś ze spłatą długu.

Na treningi miał już mniej czasu. Nie poszedł na studia. Matka trochę poględziła, ale tym akurat przejął się najmniej. Trochę migał się przed wojskiem, ale w końcu wylądował w kamaszach. Większego burdelu niż

ruskie wojsko w tamtym czasie nigdy nie widział, opowiedział krótko z uśmiechem na ustach. Po powrocie z armii wdał się w huczne powitania i niekończące się imprezy. Z robotą było słabo. Popracował jako kierowca autobusu, ale po paru miesiącach mu się odechciało.

Orenburskie kozactwo zmieniało się. Sprawy wyglądały teraz inaczej niż na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, kiedy wpatrywał się w starszych towarzyszy jak w obrazek. Organizacja miała strukturę, poważnego atamana, pojawiły się mundury, choć nie wszyscy je dostali. Część chłopaków zaczęła obstawiać bazary i chronić Ruskich przed rozpanoszonymi cwaniakami z Azji Centralnej i Kaukazu. Jegor przyłączył się do nich. Zaczął zarabiać więcej, a przy okazji, co kilkakrotnie podkreślił, sporo czytał i nabierał świadomości.

Kilku dalszych znajomych zdążyło zaliczyć prawdziwe wojenki. Imponowało mu to. W mediach zaczęto mówić o zielonych ludzikach i wojnie hybrydowej dopiero niedawno. W latach dziewięćdziesiątych nie było jeszcze fabryk trolli, zalewu internetowych fejków, memów i tysięcy użytecznych idiotów na Facebooku, którym macherzy cyfrowej propagandy wyłączyli myślenie. Ani tak sprawnego jak dziś koordynowania lokalnych operacji wojskowych i globalnych wojen informacyjnych. Ale przed 2014 rokiem, zajęciem Krymu i części Donbasu Rosja stoczyła wiele innych niewypowiedzianych wojen. W latach dziewięćdziesiątych „nieoznakowani” wojskowi, najemnicy i ochotnicy walczyli w interesie Rosji w Naddniestrzu, Abchazji, Osetii Północnej, na Bałkanach na długo, zanim w sztabie generalnym nastał generał Walerij Gierasimow.

Jegor nie brał w tym udziału. Mimo to nie siedział spokojnie na tyłku. Wplątał się w szemrane porachunki, ochronę drobnych handlarzy na bazarach, układy z milicją, bijatyki, a nawet ostrzejsze akcje. Jakie? O tym już szczegółowo nie opowiedział. Można się jedynie domyślać, że w grę wchodziły jakieś haracze i walka o strefy na bazarach. Opowiadał o tym okresie ogólnikowo, na swój sposób emocjonalnie, bez agresji, raczej z poczuciem straty, którą odczuwa się na myśl o bezpowrotnie minionych czasach młodości i pozostawionym za plecami życiowym gruzowisku. Nadrabiał miną.

– Ruscy są najbardziej bezbronną grupą. Wszyscy inni mają swoje ziomkostwa, diaspory, wpływy. A my jesteśmy rozproszeni. Nie potrafimy się organizować i gospodarzyć we własnym kraju. Popatrz na Czeczenów, jest ich mało, ale trzymają się mocno w kupie. Nikt nawet nie pomyśli

o tym, żeby im podskakiwać. Niby wygraliśmy z nimi wojnę, a i tak robią, co im się podoba.

Jegor wrócił do opowieści o Kozakach. Stara gwardia rozchodziła się. Jedni poszli w bandyterkę i różne dziwne układy ze służbami. Inni się ustatkowali albo byli marginalizowani. W oficjalnych stowarzyszeniach zaroiło się od podejrzanych osobników bez żadnych korzeni, przebierańców i zwykłych czubków. Atamani zasysali dotacje, przekręcali państwową kasę, a funkcje w organizacjach kozackich stawały się źródłem dochodów dla byłych milicjantów i efesbeszników, którzy stopniowo przejęli całkowitą kontrolę nad środowiskiem. Heroiczne lata dziewięćdziesiąte odeszły w przeszłość.

– Na początku, kiedy wszystko odradzało się, Kozacy mogli stać się podporą dla Ruskich.

– No ale przecież są dziś dotowani przez państwo, wspierani, mają przywileje…

– E tam, to są przebierańcy. Kozacy zostali nakryci czapą – odparł Jegor. – Już bolszewicy wiedzieli, że trzeba zniszczyć Kozaków najszybciej jak się da. Bo nikt nie potrafił się tak dobrze samoorganizować jak oni. Trocki to powiedział. To, co potem czerwoni Żydzi zrobili z Kozakami, to był prawdziwy holokaust. Rzeź, jaką urządzili po powstaniu na Donie, trudno sobie nawet wyobrazić. Mordowali wszystkich jak leci, niszczyli wioskę po wiosce. Ci, którzy przetrwali, trochę się odkuli. W połowie lat dwudziestych znów był dobry urodzaj, zaczynali odżywać i wtedy znowu przykręcono im śrubę. Zaczęła się kolektywizacja, głód i represje.

– Dotknęła nie tylko Kozaków – wtrąciłem. – A inteligencja nie była prześladowana? Chłopów nie prześladowano? Robotników nie prześladowano? Represjonowano wszystkich…

– Czerwoni zawsze bali się kozactwa. Wiedzieli, że Kozacy będą pamiętać i nigdy im nie wybaczą. Ruski chłop nic nie potrafi zrobić sam z siebie. Czeka, kiedy naczelnik coś powie, i bez polecenia z góry nie skosi nawet trawy na podwórku. Kozak to co innego. Dlatego zabijali naszych bez litości, praktycznie unicestwili, a chłopów po prostu zamienili w niewolników kołchozowych.

Jegor wypowiadał te zdania, pocierając usta palcami, tak jakby palił niewidzialnego papierosa i wydychał dym. Nagle położył dłonie na udach i zaczął pocierać nimi o nogawki spodni. Mówił, nie patrząc na mnie.

Brzmiało to jak od dawna przygotowana oracja, którą wielokrotnie powtarzał w myślach.

Władza doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że nieprzemyślane zagrywanie z kozacką tożsamością może być ryzykowne. W pamięci o dawnych zbrodniach, o rozkozaczaniu lepiej nie grzebać zbyt głęboko. Z kolei wdawanie się w dyskusje o tym, że większość Kozaków w ogóle nie miała ochoty walczyć w wojnie domowej, a ci, którzy poszli się bić, służyli pod różnymi sztandarami – od czerwonego, przez republikański, monarchistyczny, na separatystycznych skończywszy – też może okazać się bardzo śliskie. Za dużo tu mielizn, szarości i możliwych problemów, z punktu widzenia państwa gorszych nawet od zapiekłego, ale dającego się skanalizować nacjonalizmu i antysemityzmu.

Kozacki separatyzm to osobny temat, począwszy od prób proklamowania niezależnej Republiki Kozackiej na Kubaniu, po utopijne idee panmongolskie na syberyjskim Zabajkalu i próby tworzenia stepowego imperium przez atamana Grigorija Siemionowa. Co gorsza, w sakralnej dla współczesnej Rosji Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej wielu idoli odradzającego się po 1991 roku kozactwa walczyło po stronie hitlerowskich Niemiec. Ciężko brać udział w państwowym kulcie 9 maja i zwycięstwa nad faszyzmem, a jednocześnie wzdychać na przykład do dońskiego generała Piotra Krasnowa, powieszonego w 1946 roku za kolaborację z nazistami i zdradę ojczyzny. Nasza rozmowa zeszła na ten temat.

– Oni nikogo nie zdradzili. Nikogo. Większość żołnierzy Krasnowa nawet przez minutę nie miała obywatelstwa ZSRR. Jak mogli zdradzić czerwonych, skoro od zawsze z nimi walczyli? Najpierw w czasie wojny domowej bronili swojej ziemi przed bolszewikami, a potem przedostali się za granicę i wrócili, żeby wyzwolić ojczyznę spod ich satanistycznego panowania.

– Dobrze, że poszli z Hitlerem?

– Tego nie powiedziałem. Ale z drugiej strony, jakie mieli wyjście? Większość z nich to nie byli naziści, tylko patrioci, którzy chcieli wrócić do ojczyzny i ocalić ją za wszelką cenę.

Po tym pytaniu Jegor nieco przystopował z wychwalaniem służących w armii Hitlera Kozaków Krasnowa i von Pannwitza. Mimo to czekałem, kiedy dla lepszego efektu wyskoczy z sentencjonalnym cytatem barona Piotra Wrangla: „Choćby z samym diabłem, byle przeciw bolszewikom”. Nie wyskoczył.

– Zrobili to, co zrobili. Bóg im sędzią – stwierdził po chwili. – Niech historycy zajmują się tym, jak było. Tyle że większość historyków to zwykli kłamcy. Ja wiem jedno. Oni walczyli za naszą ojczyznę. A na koniec zostali zdradzeni przez wszystkich.

Po przegranej przez białych wojnie domowej Piotr Krasnow wyemigrował do Francji. Przez jakiś czas współtworzył czasopismo „Dwugłowy Orzeł", wokół którego skupiło się antysemickie środowisko monarchistyczno-konserwatywne. Krasnow, zauroczony pierwszymi latami rządów Adolfa Hitlera, wyniósł się do Niemiec. Tam zaczął zmieniać poglądy na narodowosocjalistyczne. Po inwazji Hitlera na Związek Radziecki zaangażował się w tworzenie kozackich formacji w szeregach niemieckiej armii.

W trakcie II wojny światowej tysiące Kozaków wiernie służyło w armii niemieckiej i formacjach pomocniczych. Wśród nich byli ideowi naziści, antysemici, konserwatywni monarchiści. Wielu z nich chciało po prostu zemsty. Nie brakowało również zwykłych żołnierzy, którzy zmieniali mundury, bo chcieli po prostu przeżyć.

Rozkozaczanie oznaczało wywózki, masowe mordy, prześladowania, niszczenie kultury, tradycji i obyczajów. Niemcy doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Oprócz formacji złożonych z emigrantów udało im się przyciągnąć ochotników, którzy przetrwali na terenie ZSRR. Czarowali pozostałych przy życiu Kozaków. Obiecywali im oddanie ziemi, otwierali cerkwie, agitowali i dawali do ręki broń. Sformowali między innymi korpus kawaleryjski złożony z sześciu pułków: dwóch dońskich, dwóch kubańskich, tereckiego i syberyjskiego, do którego wcielono również Kozaków z Uralu. Kozacy w służbie Hitlera byli wyjątkowo bezwzględni. Finał wojny okazał się dla nich nie mniej okrutny.

Oprócz zdolności organizacyjnych Krasnow wykazywał się dość wybujałą wyobraźnią. Snuł gawędy o starożytnym pochodzeniu kozactwa, które miało zrodzić się z połączenia najszlachetniejszych pierwiastków rasy nordyckiej z kaukaskimi i czarnomorskimi koczownikami. Opowiadał o pradawnej Kazakii, krainie na przedgórzu kaukaskim, zamieszkiwanej w starożytności przez wojowniczych przodków Kozaków. Barwne opowieści o dawnych jeźdźcach przypadły do gustu szefowi SS Heinrichowi Himmlerowi. Jesienią 1944 roku Niemcy mieli obiecać Krasnowowi stworzenie nowej Kazakii w północnych Włoszech.

Wyimaginowana kraina Kozaków, których zadaniem miała być ochrona serca aryjskiej III Rzeszy przed barbarzyńcami, nigdy nie powstała. Nacierający z południa alianci wyparli wojsko Krasnowa z Bałkanów do Austrii. 7 maja Kozacy złożyli broń i poddali się Brytyjczykom. Osadzono ich razem z rodzinami w alpejskiej dolinie Drawy.

Brytyjskie dowództwo zagwarantowało Krasnowowi, że jego żołnierze, ich żony i dzieci nie zostaną deportowani do Związku Radzieckiego. Nie było ku temu formalnych podstaw. Przecież większość z nich nigdy nie miała sowieckiego obywatelstwa. Kozacy nie mieli pojęcia, że w tym samym czasie Brytyjczycy negocjowali z Sowietami warunki ich wydania. Nie wiedzieli też, że ich los przesądzono już na konferencji w Jałcie, gdzie Stalin kategorycznie zażądał wydania wszystkich Rosjan bez względu na obywatelstwo. Pod koniec maja brytyjskie dowództwo zaprosiło kozackich oficerów pod pretekstem konferencji i negocjacji. Wszyscy przybyli zostali aresztowani. Potem, nie zwlekając, przetransportowano rosyjskich żołnierzy do austriackiego miasteczka Judenburg, gdzie przekazano ich Sowietom.

Przegnano ich przez most na Drawie do sowieckiej strefy. Niektórzy desperacko rzucali się do rzeki. Do uciekinierów próbujących ratować się wpław z obydwu brzegów strzelali Anglicy i Sowieci. Większość kozackich jeńców rozstrzelano na terenie opuszczonej strefy przemysłowej w Judenburgu. Podczas masakry w Dolinie Drawy nie oszczędzono nawet kobiet i dzieci. Krasnowa przetransportowano do Moskwy. Po przeszło roku spędzonym w celi na Łubiance kozacki generał zawisł na szubienicy.

– Kozaków zawsze tępiono, zawsze oszukiwano i wykorzystywano. Myślisz, że coś się zmieniło?

Pokiwałem głową. Tak po prostu, czekając, aż zacznie mówić dalej. Przy okazji przypomniała mi się niedawna śmierć uralskiego najemnika Stanisława Matwiejewa. Facet mieszkał w przemysłowym miasteczku Asbiest niedaleko Jekaterynburga. Zaciągnął się do prywatnej formacji Wagnera, rosyjskiej firmy wojskowej, i pojechał do Syrii. W lutym 2018 roku brał udział w rajdzie na szyby naftowe w Dolinie Eufratu. W bazie ochraniającej złoża stacjonowali amerykańscy żołnierze. Kolumna rosyjskich najemników trafiła pod amerykański ostrzał rakietowy i ogień ze śmigłowców. Do dziś nie wiadomo dokładnie, ilu najemników zginęło. Rosyjskie władze długo zwlekały z komentarzami, a armia umyła ręce, bo najemnicy nie byli kadrowymi żołnierzami. Pojawiały się różne liczby, od

kilkunastu zabitych, do których w końcu przyznały się władze, po najprawdopodobniej wyolbrzymioną liczbę sześciuset poległych, o której spekulowano w mediach.

Rosyjskim dziennikarzom udało się dotrzeć do rodziny Matwiejewa. Pojechali do Asbiestu i włączyli kamerę przed zrozpaczoną wdową. Zapłakana kobieta nieopatrznie chlapnęła przed kamerą, że ich rodzina znalazła się w tragicznej sytuacji finansowej, więc mąż zdecydował się pojechać na wojnę, żeby zarobić trochę grosza. Trafił do nisko opłacanej jednostki, którą wykorzystano jako tanie mięso armatnie. Prawdopodobnie ktoś chciał sprawdzić, do jakiego stopnia Amerykanie są zdeterminowani, żeby utrzymać złoża w okolicach miasteczka Dajr az-Zaur. Śmierć jej męża świadczyła o tym, że nie zamierzają się stamtąd ruszać.

Jegor niechętnie zareagował na moje próby rozmowy na ten temat.

– O czym tu mówić? Jedni jeżdżą za pieniądze. Inni dla idei, albo po prostu nie potrafią się zatrzymać. Tymi, którzy polegli albo stracili zdrowie, nie interesuje się nikt. Są ludzie, nie ma ludzi. Ci z góry mają to gdzieś – mruknął i urwał wątek.

Po krótkiej chwili milczenia postarałem się zagaić jeszcze raz. Zbył mnie. Wróciłem do początku naszej rozmowy.

– A kiedy pierwszy przyjechałeś na procesję do Ganinej Jamy?

– Jakieś dziesięć lat temu. Razem z przyjaciółmi, jeden z nich mnie nakłonił. Było mi już zupełnie wszystko jedno, więc dałem się namówić. To była najważniejsza chwila w moim życiu. Nowy początek.

U progu XXI wieku Jegor się ożenił. Przekroczył już trzydziestkę. Temat małżeństwa też szybko urwał. Żona zwiała od niego, a przynajmniej tak można było wywnioskować z kilku półsłówek, które rzucił na temat swojego związku. Trochę spochmurniał. Nie pytałem więcej o to. Po chwili zaczął chwacko opowiadać, że bez baby znowu odżył, coraz więcej balował i zamiast się uspokoić, robił się coraz bardziej brawurowy. Szybko zarobione pieniądze błyskawicznie rozpuszczał.

Któregoś razu poszedł z kilkoma kolegami załatwić, jak powiedział, pewną sprawę. Już na drugi dzień okazało się, że trafili na człowieka dobrze osadzonego w miejskich układach. Po paru dniach zrobiło się na tyle nieciekawie, że Jegor musiał pakować manatki i czym prędzej znikać z Orenburga. W 2005 roku trafił do Moskwy. Zakotwiczył u starego znajomego z Orenburga, który na początek załatwił mu pracę w firmie ochroniarskiej. Po kilku zapojach Jegor dostał zgrzebną czarną kurtkę

z naszywką „ochrona” na rękawie i całymi nocami cieciował za śmieszne pieniądze w podmoskiewskim składzie materiałów budowlanych. Od wieczora do rana siedział w mikroskopijnej budce i pił tanią wódkę przed starym kineskopowym telewizorkiem. Po którejś wpadce wyleciał z pracy.

Potem zamieszkał na przedmieściach w niewielkim mieszkanku wciśniętym między betonowe ściany zapuszczonego bloczku. Oprócz niego w dwóch pokoikach z kuchnią gnieździło się jeszcze trzech innych facetów, którzy trafili do stolicy z wiosek w centralnej Rosji. Los okazał się dla niego łaskawy. Za relatywnie niezłe pieniądze załapał się na budowę. Oprócz kilku Rosjan z prowincji i dwóch Ukraińców spod Charkowa pracowali tam sami gastarbeiterzy z Azji Centralnej.

Pił przed pracą, żeby jakoś funkcjonować, a po skończonej robocie schlewał się do nieprzytomności. Któregoś dnia pobił na kacu brygadzistę, Tadżyka, wrzeszcząc, że żaden zasrany czurka nie będzie mu wydawał poleceń. Po jakimś czasie wyleciał również z obskurnej klitki na przedmieściach. Po drugim miesiącu niedorzucania się do opłat i wszczynania awantur współlokatorzy mieli go serdecznie dosyć. Na do widzenia solidnie obili go grubymi chłopskimi pięściami.

Właśnie zaczynało się lato, więc przez jakiś czas sypiał po parkach. Stracił resztki kontaktu z rzeczywistością. Trafiał na dołki, bił i był bity. W sierpniu wylądował w szpitalu. Rzucono go na jakieś trzeszczące metalowe wyrko na korytarzu i zostawiono samemu sobie. Spłynął na samo dno.

– Gdybym miał więcej sił, tobym stamtąd uciekł, ale nie byłem w stanie zwlec się z łóżka dalej niż do kibla. Najpierw się pociłem, dostałem drgawek. A drugiego dnia zobaczyłem diabła. Prawdziwego, pierdolonego biesa. Miał czerwone oczy, siedział na wysokiej metalowej szafie i walił łapą w drzwi. Nie mogłem tego łomotania znieść – patrząc przed siebie, opowiedział krótko o delirycznej halucynacji.

Zbaraniałem. Chyba to zauważył, wbił we mnie wzrok, uśmiechnął się i powiedział:

– Każdemu o tym opowiadam. Daję świadectwo i przestrogę. To jest moje zadanie. Mówić o tym, czym jest prawdziwe piekło.

Po wyjściu ze szpitala pozbierał się jakoś i wrócił do Orenburga. Był listopad 2007 roku. Dawny kolega ojca, emerytowany milicjant, znalazł mu robotę. Od stycznia Jegor zaczął pracować jako konwojent w firmie

ochroniarskiej. Zarabiał średnio, ale starczało. Z dwoma byłymi milicjantami przewoził mizerne utargi ze sklepów. Znowu zamieszkał z matką na jednym z orenburskich blokowisk.

W ciągu dnia jeździł po mieście starym, opancerzonym busikiem tabletką, pamiętającym wczesne lata dziewięćdziesiąte. Wieczorami siedział przed telewizorem i tępo przełączał kanały, paląc jednego papierosa za drugim. Nie wychodził z domu. Bo i po co? I tak nie miał z kim się spotykać. Nie starał się odbudowywać dawnych kontaktów. Starzy kumple albo się rozpili, albo gdzieś poznikali. Poza tym nie był do końca pewien, czy dawny przypał z wpływowym człowiekiem nie odbije mu się czkawką.

Oficjalne organizacje kozackie omijał szerokim łukiem. Po pierwsze, bał się alkoholu, który piło się tam przy każdej okazji. Po drugie, byli to już zupełnie inni ludzie. Zorganizowani odgórnie, podporządkowani resortom. Niszczyła go nuda, monotonia, pogłębiający się dół i brak chęci do życia. W końcu go poniosło. Poszedł w cug, olał pracę. Pił na umór przez trzy tygodnie. I znów trafił do szpitala. Tym razem ledwo go odratowano.

– Byłem po tamtej stronie. Ale wróciłem. Sąsiad zaprowadził mnie do cerkwi. Poszedłem na kilka spotkań grupy trzeźwości. Akurat organizowali autokar do Jekaterynburga, na procesję z okazji dziewięćdziesięciolecia zamordowania naszego świętego monarchy, odkupiciela naszych grzechów. Wiesz, że Mikołaj II urodził się w dniu Świętego Hioba? I sam stał się Hiobem, cierpiącym za nas i dla nas?

– Tak, słyszałem o tym.

– No widzisz. Właśnie dlatego tu przyjeżdżamy. My wszyscy cierpiący, ale pełni nadziei. Wtedy, dziesięć lat temu, byłem tak słaby, że ledwo doszedłem do Ganinej Jamy. Dziś przychodzę pełen sił i z każdym rokiem dostaję jej więcej. Każdemu o tym mówię. Każdemu chcę dać nadzieję. Ktoś, kto przychodzi do naszego ojca, cara odkupiciela, dostanie to, po co tu przychodzi. Z każdym rokiem staję się coraz bardziej wolny.

Znów popatrzył mi prosto w oczy. Teraz już wiedziałem, skąd wzięła się jego zaskakująca otwartość i szczerość. Zachowywał się trochę jak weteran mityngów Anonimowych Alkoholików opowiadający co tydzień tę samą historię. Zrzucający z siebie balast poczucia winy, ciężar przegranych szans, wspomnień pijackich majaków i koszmarów.

– Każdy z nas toczy wewnętrzną walkę, odbywa własną krucjatę – rozwijał opowieść. – Dopóki nie odbudujemy swego ducha, nie stworzymy wspólnoty, system będzie nas niszczył, rozpijał, zabijał powoli. Musimy

wyrwać się z tego kręgu kłamstw, który nas omotał. Dopóki nie oczyścimy naszej świadomości, nie będziemy zdolni do walki. Ciemne siły wlazły w nasze dusze i to je musimy pokonać w pierwszym rzędzie. Musimy być świadomi, moralnie czyści, niewzruszeni. Żeby to zrozumieć, musiałem przejść przez niewyobrażalne cierpienie. Umrzeć i narodzić się na nowo.

Od walki z pijaństwem, chorobami duszy nieprawdopodobnie gładko wrócił do stojącego na drugim brzegu Centrum Jelcyna.

– To jest ich świątynia. Świątynia kłamstw.

– No ale przecież aktualna władza chce… – wykorzystałem tę dygresję, żeby skończyć już wątek abstynenckiego dżihadu, który wyczerpał mnie psychicznie.

– Co chce? – przerwał mi w pół zdania. – Jak oni mogą wciskać ciemnotę, że walczą ze złem, z obcymi siłami, skoro w ich bankach złożyli ogromne fortuny, tam mieszkają ich dzieci, tam mają domy. Rozpuścili bajdy o tym, jak dali po zębach sprzedajnym oligarchom i co? Oligarchia jest jeszcze bogatsza niż kiedyś. Dossali się do narodu jak pijawki. Ten ich wielki biznes nic nie wytwarza. Zarabiają na państwowych zamówieniach. Dzielą się między sobą dochodami z surowców. Cały ten system to rozdzielanie naszego majątku między swoimi. Wąska grupa to kontroluje i daje zarabiać swoim, lojalnym.

– Mniej więcej to samo mówią demokraci. Podobnie mówi Nawalny, o tym mówił Niemcow, póki jeszcze żył…

– Tak, tak… Tyle że jak do władzy dorwą się tacy jak Nawalny, to będzie jeszcze gorzej. Oni nie będą nawet udawać, że zależy im na kraju. Ci przynajmniej starają się zachować resztki godności, a liberałowie sprzedadzą kraj do ostatniego kawałeczka…

– W latach dziewięćdziesiątych jednak nie sprzedali…

– Bo nie zdążyli, a poza tym podzielili majątek między sobą. To państwo należy do gangsterskiego klanu, a nie do narodu.

– Komuniści byli lepsi?

– Bzdura. Każdy, kto przyjedzie z zagranicy, zaraz zaczyna powtarzać, że wszyscy Rosjanie tęsknią za ZSRR. Non stop to samo gadanie, robienie z nas ciemniaków tęskniących za Sowietem. Chodzi o to, że ci teraz uważają państwo za swój folwark, ojczyzna to po prostu złoża nafty i gazu. Dziś mają gęby pełne patriotycznych frazesów. Jak wiatr powieje z innej strony, to znów wywieszą czerwone flagi albo będą pieprzyć o demokracji, tak jak za Jelcyna. A u was wszyscy poważni durnie kupują te ich

patriotyczne, konserwatywne gadki. Piszą o suwerennej demokracji i innych wymysłach cwanych politycznych technologów. Też zaraz pojedziesz do siebie i nawypisujesz głupot o tym, jacy to z kremlowskich prawosławni konserwatyści, że Putin to nowy car, nowy Piotr I albo nowy kniaź Władimir, chrzciciel Rusi. Jeśli oni w ogóle czytają te wszystkie bzdety, to muszą pękać ze śmiechu. Naprawdę mają was za idiotów.

– Przed chwilą mówiliście, że mimo wszystko są bardziej patriotyczni od liberałów.

– No pewnie. Tyle że i tak gówno mogą.

– No ale przecież odzyskują ziemię, na przykład Krym, zwalczają obce wpływy…

– Jak?

– No… walczą z Zachodem, starają się ograniczać przepływ treści w internecie. Niedawno pogonili z Rosji fundację Georga Sorosa…

– No i co z tego? Soros trzyma z Rothschildami, a kremlowskich mają pod kontrolą Rockefellerowie. Nawet o tym nie wiedziałeś? Nie słyszałeś o wojnie Rothschildów z Rockefellerami?

Jegor miał błyskawiczną i prostą odpowiedź na każde pytanie. Szast-prast i wszystko stawało się jasne.

– Chcesz powiedzieć, że Rosją rządzi ktoś z zewnątrz?

Znów spojrzał na mnie z ironicznym uśmiechem. Chwilę milczał i odpowiedział pytaniem:

– Byłeś kiedyś na placu Czerwonym w Moskwie?

– Tak.

– No i co?

– Co?

– Jakbyś wytłumaczył to, co tam widziałeś? – zadał kolejne pytanie, ale tym razem nie czekał na odpowiedź. – Przecież tam stoi coś, co kompletnie nie pasuje do architektury placu. Nie ma żadnych wzorów w tradycji rosyjskiej.

Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to pstrokaty pocztówkowy sobór podobny do urodzinowego tortu. Oblepiony kolorowymi świderkowatymi kopułami, wyglądającymi, jakby wypluła je maszyna do kręcenia lodów.

– Chodzi o sobór Wasyla Błogosławionego? – zapytałem. Jegor spojrzał na mnie jak na przygłupa.

– Nie widziałeś mauzoleum, tam, gdzie leży mumia Lenina?

– Widziałem.

– No i?

– No czy ja wiem… ZSRR upadł trzydzieści lat temu, a komunistyczne symbole…

– Głupoty gadasz. Jakie komunistyczne symbole? Mauzoleum to nie jest żaden komunistyczny symbol.

– A co to jest?

– A piramidę z mumią w środku widziałeś gdziekolwiek w Rosji? Bo ja żyję tutaj pięćdziesiąt lat i nigdzie czegoś takiego nie widziałem. W książkach historycznych też nie. Wiesz, co to znaczy?

– Co to znaczy?

– Jesteś głupi czy mnie podpuszczasz? Naprawdę nie wiesz, co to może znaczyć?

– Nie.

– No to może czasem postaraj się zobaczyć to, co widać gołym okiem. Trzeba tylko chcieć to zauważyć. W samym centrum naszej stolicy umieszczono symbol tych, którzy nieprzerwanie rządzą nami od 1917 roku. I nie są to Rosjanie – oznajmił.

Mauzoleum Lenina nie było jego zdaniem zwykłym grobowcem i symbolem, tylko silnie emanującym punktem energetycznym rozpraszającym siłę duchową Rosjan. Przez kilka kolejnych chwil mówił o Babilonie, starożytnym Egipcie, okultystach, kabale i masonach.

Podobne historie słyszałem już dziesiątki razy. Jegor powtarzał fragmenty konspirologicznych blogów tudzież dekonspiratorskich filmików na YouTubie, w których opowiadano o najtajniejszych szczegółach planu wąskich grup dzierżących władzę nad światem. Sprawiał przy tym wrażenie głęboko przekonanego, że jest jednym z niewielu prawdziwie przebudzonych ludzi na ziemi. W grze, którą Jegor prowadził z „ciemnymi siłami”, nawet sam Putin był zwykłym pionkiem. Naprzeciw masońskiego matrixu i „sił ciemności” stoi tylko on i kilku jego kumpli, którzy opierają się złu. Reszta jest bez znaczenia.

Ogarniał mnie coraz głębszy smutek i zmęczenie. Po deptaku przechadzali się zwyczajni ludzie z dziećmi i zziajanymi psami. Mniej lub bardziej normalne rodziny, które niosły zwykłe problemy, ciche i małe radości. Wyglądali na w miarę zadowolonych, a nawet szczęśliwych w swojej zwyczajności.

Daleko, po drugiej stronie zalewu, na wysokości Swierdłowskiego Akademickiego Teatru Dramatycznego obok Centrum Jelcyna stał samotny

wędkarz. Miałem ochotę wstać z ławki, kupić sobie loda, pójść do niego i spytać, jak biorą ryby. Może nie poznałbym tajników światowej zakulisy, ale pewnie wesoło pogadałoby się o tym i owym. Brnąłem jednak dalej, a Jegor nie przestawał głosić.

– Koniec jest bardzo blisko. Boże, miej nas w swojej opiece, bo to będzie ciężka próba dla nas ruskich, prawosławnych ludzi, ale ta zgnilizna nie narodzi już nic wartościowego – wchodził w stadium patosu i proroctw.

Czułem, że w ciągu ostatniej godziny Jegor położył mi na plecy ciężki głaz, którego nie miałem siły już trzymać. Kiedy skończyliśmy rozmawiać, poczułem ulgę.

Szedłem na przystanek tramwajowy, mijając zaparkowane autokary. Z naprzeciwka zbliżało się kilku Kozaków. Przewodził im dorodny, brodaty facet w mundurze przypominającym operetkowy kostium. Stylistyczny miks wściekłego uralskiego atamana Jemieliana Pugaczowa z marszałkiem Związku Radzieckiego. Brakowało mu tylko epoletów wyciętych z papierka po czekoladzie i papugi na ramieniu. Było gorąco, więc zdjął z głowy ciemną puchatą papachę. Wyglądał z nią tak, jakby trzymał na rękach sporego, niestrzyżonego pudla. Obok niego kroczył niewysoki facet w okularach z grubymi szkłami. Na jego wypiętej piersi można było przeczytać krótkie nadrukowane zdanie, które Mikołaj II zanotował w swoim dzienniku tuż przed podpisaniem aktu zrzeczenia się tronu: „Wokół kłamstwo, zdrada i tchórzostwo”.

17 Układ odpornościowy

– Imperator i Chrystus są między nami!

Niewysoka kobieta w przydługiej cienkiej spódnicy z szarego materiału przypięła mi do piersi wstążkę w biało-żółto-czarnych barwach imperium rosyjskiego. Ukłoniłem się nisko i posłałem jej nienaturalnie szeroki uśmiech. Zamrugała, radośnie ściskając mnie za łokieć. Sięgnęła do płóciennej torby po kolejną wstążkę.

– Imperator i Chrystus są między nami! – powtórzyła, przypinając imperialną wstążkę starszemu człowiekowi stojącemu obok.

– Z Bogiem. Wszystkiego dobrego – podziękował.

– Wszystkiego najlepszego w dniu święta! – Kobieta uścisnęła go, po czym dała nura w tłum, pozdrawiając i przypinając wstążki wszystkim po drodze.

Tysiące wiernych wpatrywały się w wielki ołtarz, rozświetlający noc reflektorami i jaskrawymi telebimami. Z głośników płynęły psalmy wyśpiewywane niskimi męskimi głosami. Nad głowami ludzi powiewały sztandary upadłego przed wiekiem imperium. W morzu flag i religijnych proporców nie było ani jednej państwowej rosyjskiej flagi. Tak jakby przed stu laty świat zapadł się pod ziemię i dopiero dzisiejszej nocy wynurzył się między brzegami miejskiego zalewu a zboczem Wzgórza Wozniesienskiego.

Wokół Cerkwi na Krwi zmaterializowała się fantazmatyczna retrotopia. Z własną scenografią, symboliką, kolorami flag, gadżetami i kostiumami. Na trawnikach, skwerach i chodnikach stały kobiety w skromnych szarych chuścinach albo barwnych kokosznikach na głowach. I mężczyźni w kozackich uniformach, papachach, polowych mundurach, odprasowanych koszulach zapiętych na ostatni guzik.

Przez tłum przeciskali się faceci w kangurkach khaki. Taszczyli kilkumetrowy portret Mikołaja II ze sporym napisem „Pan i Odkupiciel”. Za nimi sunął brodaty jegomość w czerwonej rubaszce. Niósł na rękach kilkuletniego chłopczyka w kozackim mundurku. Tu i tam ludzie trzymali w rękach niekanoniczne ikony własnej roboty, chałupniczo uszyte religijne

chorągwie i transparenty ozdobione hasłami wymyślonymi zgodnie z własną inwencją. Nieopodal, pod młodą topolą przygarbiony pop wygłaszał przemowę do zbitych wokół niego starych kobiet.

Brnąłem przez wielotysięczny tłum, posyłając na lewo i prawo życzliwe uśmiechy. W zasadzie nie wiem po co. Większość ludzi i tak nie zwracała na mnie uwagi. Stali w bezruchu i wpatrywali się w ołtarz, szeptali modlitwy albo przepychali się bez ładu i składu, w tę i we w tę, rozglądając się na wszystkie strony. Wreszcie, choć na moment, znalazłem się zupełnie sam.

Zamknąłem się w cuchnącym dezynfekującymi płynami i uryną toi toiu. Odpiąłem z piersi imperialną wstążkę i wsunąłem ją do tylnej kieszeni spodni. Nawet obserwacja uczestnicząca ma swoje granice. Postałem przez chwilę na wdechu i zamaszystym gestem otworzyłem plastykowe drzwi przenośnego, błękitno-białego eremu. Z nową energią wcisnąłem się w gęsty tłum.

Zbliżała się północ. Nocna liturgia na cześć świętego cierpiętnika i jego rodziny rozpoczęła się zgodnie z planem. Przy dźwięku dzwonów na wysoką scenę weszli hierarchowie w złotych mitrach. Ustawili się równym rzędem naprzeciw tłumu. W samym środku stanął Cyryl I. Patriarcha krzepko dzierżył pastorał i z surowością arcykapłana patrzył przed siebie. Przemawiał głębokim, niskim głosem.

– …taka zbrodnia, jaką tutaj popełniono, nie może być przypadkowa. Coś musiało się za nią kryć. To zbiorowa wina całego ludu naszego. To swoisty zakręt na historycznej ścieżce Świętej Rusi, który wyrzucił lud nasz w ciężką i straszliwą ślepą uliczkę. Co też się stało z ludem naszym? Przecież kraj pełen był świątyń i klasztorów. Przecież absolutna większość naszych ludzi była ochrzczona! Przecież świątynie były wypełnione wiernymi. Dlaczego więc to się stało? Dlaczego mordercy pociągnęli za spust? I czyniąc to, co uczynili, nie zadrżeli?… Dziś dobrze widzimy to, jak na przestrzeni co najmniej dwustu lat, które oddzielały lud nasz od tragedii w ipatjewskim domu, zaczęły się w świecie takie przemiany, które stopniowo i nieodwracalnie oddalały ludzi od Boga. Zrywały prawdziwie duchowy związek ludzi z Cerkwią. I z wielowiekową tradycją ludu naszego. Kiedy to wszystko się stało? Dlaczego to wszystko się stało? Kiedyż wpadliśmy w ten straszliwy wiraż?… Stało się to wtedy, gdy obce myśli, obce ideały, obce światopoglądy, sformułowane w ramach filozoficznych i politycznych idei niemających nic wspólnego

z chrześcijaństwem, naszą narodową tradycją i kulturą, zostały uznane przez inteligentów, arystokratów, a nawet część duchowieństwa za myśli przewodnie. Idąc ślepo za nimi, myśleli oni, że można zmienić na lepsze życie ludu… A wiemy przecież, że najstraszniejsze i najkrwawsze katastrofy wydarzały się zawsze wtedy, gdy ludzie starali się za wszelką cenę zmienić życie na lepsze…

Niedaleko ołtarza kręcił się w tłumie zdezorientowany turysta. Wysoki, w koszulce polo i zaciągniętych pod sam pępek szortach. Na jego podłużnej koniowatej twarzy błąkał się głupawy uśmieszek. Tłumaczył coś po angielsku z amerykańskim akcentem.

– Ty kto? Prawosławny? A krzyż masz? Krzyż gdzie masz? – zaczepił go kościsty emeryt w koszuli w kratę.

– Zostawcie człowieka, niech zobaczy – przerwał mu drugi starszy facet i pojednawczym gestem odprawił wysokiego turystę. – Idź, idź. Patrz sobie, oglądaj.

– Mówił, że ma rosyjskie korzenie – dorzuciła jakaś rezolutna kobieta.

– To dlaczego nie mówi po rosyjsku? – nie odpuszczał emeryt w kraciastej koszuli.

– Może go nie nauczyli – odpowiedziała kobieta.

– Jak to nie nauczyli? To jaki z niego Ruski? – podejrzliwy emeryt nie dawał za wygraną.

– Nie Ruski, tylko korzenie ma ruskie… Pewnie z emigrantów, przyjechał do ojczyzny przodków, a wy się tak nieładnie zachowujecie – kobieta skarciła kościstego emeryta.

– Ma albo nie ma. Nie wiadomo, co z niego za jeden – mruknął pod nosem i zaczął coś tłumaczyć swoim kompanom.

Turysta w szortach zniknął, ale rozmowa na jego temat rozwijała się w najlepsze. Patriarcha wciąż przemawiał z wyżyn ołtarza:

– Wodzowie wszystkich przewrotów wmawiali ludziom, że nie ma innej drogi niż droga przez krew – mówił powoli, wyraźnie cedząc każde słowo. – I tak, w pewnym momencie dziejów, inteligencję i arystokrację, i tak jak już mówiłem, część duchowieństwa, po tym jak utracili związek z Cerkwią, z Bogiem, zamroczyła myśl o konieczności radykalnej zmiany, o budowie sprawiedliwego świata, w którym nie byłoby takiego rozwarstwienia majątkowego jak wcześniej. Ale czyż można przez krew, przez przestępstwa i gwałty, przez niszczenie świątyń zbudować to szczęśliwe życie? Historia dowodzi nam jasno: to nie jest możliwe… Jaki

wniosek możemy wyciągnąć z tej zbrodni sprzed wieku? Brzmi on tak: żadne marzenia o nowym szczęśliwym życiu, żadne nadzieje na pomoc z zewnątrz, gdzie, jak się niektórym wydaje, ludzie są zdolniejsi i lepiej wykształceni, nie powinny otumaniać naszego ludu. Powinniśmy pamiętać tragedię przeszłości. Powinniśmy wzmacniać w sobie układ odpornościowy, który uchroni nas przed każdym wezwaniem, by osiągać szczęście przez zniszczenie tego, co jest…

Nabożeństwo skończyło się przed drugą w nocy. Pół godziny później spod Cerkwi na Krwi wyruszyła uroczysta procesja. Przez ulicę Carską wolno przetoczyły się dwie karetki pogotowia, tak na wszelki wypadek. Sunęły za nimi czarne terenówki Federalnej Służby Ochrony, a po nich policyjne radiowozy. Za radiowozami w dwóch równych rzędach kroczyli gwardziści i uralscy Kozacy w jednolitych mundurach. Za porządnie umundurowanymi Kozakami dumnie maszerowali przerośnięci brodaci chłopcy. Ubrani z kozacka. Po swojemu, z fantazją i zgodnie z własnym wyobrażeniem o tym, jak powinien się prezentować najprawdziwszy Kozak. Przebierańcy nieśli religijne proporce i czujnie łypali na lewo i prawo.

W ślad za nimi podążała ponad stuosobowa grupa kapłanów. Wreszcie pojawił się sam patriarcha Cyryl I. Szedł dostojnie w towarzystwie kilku hierarchów, ledwo widoczny zza szczelnej ochrony, którą dodatkowo otaczał tłumek Kozaków i napakowanych dresiarzy.

– O zobacz, patriarcha, chodźmy z nimi! – krzyknął niewysoki chłopczyk do stojącego na chodniku ojca.

– Nie, nie. My pójdziemy dopiero potem.

– Szkoda, fajnie byłoby pójść obok nich – zmartwił się blondasek.

– Nie wolno. My pójdziemy za Jego Świątobliwością, tak jak wszyscy – poważnie odparł ojciec.

Po chwili chwycił synka za rękę i wszedł z nim na ulicę. Obydwaj zniknęli w tłumie podążającym za patriarchą i jego świtą – w większości ludzi starszych, skromnie ubranych w znoszone odświętne ciuchy.

Niektórzy nieśli drewniane krzyże samoróbki. Prości popi prowadzili grupki leciwych parafianek. W tłumie mignęła jakaś samotna kobieta w krasnoarmiejskiej furażerce, z workowatym, brezentowym plecakiem z czasów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Dumnie kroczyli czarnobrodzi faceci w czetnickich czapkach, z serbskimi flagami w rękach. A niedługo po nich wysportowana ekipa w polowych mundurach i czarnych „kubankach”

na głowach z flagami Noworosji i kozactwa dońskiego. Wszyscy monotonnie wyśpiewywali powtarzającą się formułę hezychastycznej Modlitwy Jezusowej: „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nad nami”.

Z ulicy Carskiej przez Tołmaczowa rzeka ludzi zakręcała w aleję Lenina i dalej wlewała się na plac 1905 Roku. Tu rozpływała się w meandrach między sporym parkingiem i pomnikiem Włodzimierza Iljicza. Spiżowy wódz światowej rewolucji wskazywał im dłonią dalszą, ponad dwudziestokilometrową drogę w kierunku jekaterynburskich blokowisk, industrialnych przedmieść i podmiejskich lasów. Naraz ktoś zawołał:

– Chrystus Zmartwychwstał!

Tłum odpowiedział gromkim okrzykiem:

– Zaprawdę zmartwychwstał!

– Boże, zbaw ziemię naszą od przeklętych! Niech zmartwychwstanie Święta Ruś i zginą jej wrogowie! – wrzasnął starszy wąsaty facet w ciemnym nylonowym golfie. Ukląkł na asfalcie i chaotycznie wykrzykiwał kolejne wezwania. Ludzie mijali go, śpiewając jednostajną, powtarzalną formułę Modlitwy Jezusowej.

Po przeszło dwóch godzinach procesja posuwała się już przez rozległe osiedla kilkunastopiętrowych bloków z wielkiej płyty, które zostawił po sobie towarzysz sekretarz obwodowy Borys Jelcyn. Wewnątrz, za oknami odbijającymi pomarańczowe, wczesnoporanne słońce, w ciasnych mieszkaniach spali zwykli ludzie. Inteligenci, robotnicy, kierowcy, nauczycielki, drobni handlarze i policjanci. W oddali, za blokami, sterczały rzędy betonowych kominów. Snuła się nad nimi porwana smuga ciemnoszarego, ciężkiego dymu. Jak ogromne skrawki brudnego filcu dym przemykał po jaśniejącym, budzącym się niebie.

Idące obok mnie kobiety, ciężko dysząc ze zmęczenia, prowadziły urywaną rozmowę. Przed chwilą rozwodziły się nad tym, że Krym był ulubionym miejscem wypoczynku świętej rodziny. Jego Wysokość świetnie się tam czuł, uwielbiał tamtejsze plaże i krajobrazy. Tak, Krym jest święty, przecież Mikołaj nie mógłby ukochać nawet najpiękniejszego, ale pozbawionego głębokiej duchowości miejsca. Przez chwilę pomilczały. Złapały oddech i zaczęły kolejny temat.

– Do dziś nie wiadomo, co się stało. Czytałam, że wcale nie znaleziono szczątków naszego Mikołaja. Mają jakieś inne kości, ale o niczym nas nie informują. Cały czas migają się przed odpowiedzią na najważniejsze

pytania – powiedziała kobieta w długiej spódnicy i solidnych, wygodnych adidasach.

– Kręcą. Kłamali sto lat temu i do dziś kłamią… – odpowiedziała jedna z jej towarzyszek, ale urwała w pół zdania i znów się zasapała. – Trzeba poznać prawdę, jakkolwiek gorzka by była… Prawda w końcu wyjdzie na jaw.

– Przyszłość i tak będzie straszna. Przed nami już ostatnie lata, nie tylko przed nami. Przed całym światem – odpowiedziała ta w adidasach, a pozostałe kobiety pokiwały w milczeniu głowami.

– Jak długo jeszcze będziemy szły? – ni z tego, ni z owego włączyła się milcząca do tej pory mała, sucha kobietka w okularach ze sporym plecakiem i przytroczoną do niego karimatą.

– Jeszcze trochę – rzuciła wieszcząca koniec świata piechurka w adidasach. – Jestem tu już kolejny rok z rzędu i zawsze byliśmy w Ganinej Jamie około siódmej, może ósmej. Jeszcze jakaś godzinka przez miasto, a potem przez las – oznajmiła.

Żadna z kobiet nie odpowiedziała. Przez chwilę szły w ciszy, aż w końcu zaczęły cicho śpiewać razem z pozostałymi maszerującymi.

– Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nad nami…

Słońce stało już wysoko, kiedy procesja przechodziła przedmieściami. Pielgrzymi dawno pozdejmowali bluzy i kurtki. Kozacy trzymali fason, twardo maszerowali w mundurach albo długich czerkieskach. Czoło stutysięcznego pochodu weszło w las. Kapłańska wierchuszka dawno powskakiwała do samochodów. Chyba jeszcze w nocy, w samym centrum.

Podmiejski bór wchłaniał kolejne fale rozciągniętej na kilka kilometrów ludzkiej rzeki. Przed stu laty niedaleko stąd ukryto ponoć zmasakrowane szczątki świętego cierpiętnika Mikołaja II. A może to nie jego kości znaleziono w Ganinej Jamie? Czy sto tysięcy ludzi zbliżało się do leśnego jaru, w którym wydobyto fragmenty zwłok kogoś zupełnie innego? Wielu idących przez las nie wierzyło w powszechnie opisywaną wersję zabójstwa. Oficjalnego śledztwa w sprawie autentyczności szczątków Mikołaja II do dziś nie zamknięto. Nawet Cerkiew wciąż wstrzymywała się z uznaniem autentyczności cesarskich zwłok. Ale ludzie szli.

Nieśli w sobie pozłacany erzac pamięci, zmaterializowany w dobrym carze – Świętym Hiobie, kochanym mężu i czułym tacie w imperatorskiej koronie. Cierpiącym za miliony odkupicielu, władcy złotego wieku zdradzonym za garść judaszowych srebrników, które sypnęła szatańska

dłoń. Opuszczonym w chwili próby przez własny lud. Dźwigali z sobą poczucie krzywdy zmiksowane z poczuciem winy. Czerwony terror, głód, GUŁag, czystki, pomordowanych dziadków i zastraszonych rodziców. Przekazywany z pokolenia na pokolenie lęk. Kilka milionów donosicieli, pracowników aparatu represji. Kaci i ofiary. Sami swoi. Bliscy, krewni i sąsiedzi.

Zapowiadał się kolejny upalny dzień. Słońce przebijało się przez konary wysokich sosen. Tam, gdzie bór trochę się przerzedzał, słońce przypiekało spocone karki. Z głębi lasu odezwały się dzwonnice klasztoru Świętych Cierpiętników Carskich w Ganinej Jamie.

Zmęczeni, niewyspani ludzie szli przez las coraz szybszym, transowym marszem. Tak jakby właśnie wybudzili się i nabrali rozpędu. Marsz zamienił się niemal w trucht. Śpiewali coraz mocniej i głośniej. To już nie było ciche nucenie, które ledwo wyciskali z siebie, idąc o świcie między ogromnymi betonowymi blokami. Też szedłem dziarsko i coraz szybciej. Przykleiłem się do grupki zdrowych, silnych mężczyzn ubranych w jednolite koszulki z napisem „Magadan” na piersi i flagą imperium na plecach, w trekkingowych spodniach i krosowych butach. Szczupli, żylaści i wysportowani. Ze zdrową cerą na ascetycznych twarzach ozdobionych eleganckimi, męskimi zmarszczkami. Wyglądali trochę jak doświadczeni podróżnicy. Gdzie indziej można byłoby ich wziąć za doświadczonych wspinaczy, a nawet instruktorów jogi.

Na pierwszy rzut oka robili bardzo dobre wrażenie. Typ zaangażowanych aktywistów, otwartych, uśmiechniętych i spontanicznych. Chcących działać na rzecz wszystkich bożych istot. W ich pełnych zrozumienia oczach czaiło się jednak coś fanatycznego, a zarazem bardzo magnetycznego, budzącego niepokój, ale przyciągającego. Coś, od czego można się uzależnić, a nawet toksycznie pokochać.

Jeśli potem wszyscy wkoło będą ci tłumaczyć, żebyś się puknął w głowę, bo właśnie zadałeś się z fanatykami, to obrazisz się na cały świat. A jeśli będą cię zamęczać perswazjami, to zerwiesz z nimi kontakt. Po to, żeby z każdym dniem stawać się coraz bardziej podobnym do tych wspaniałych ludzi, znających ostateczną prawdę. Prawdę, którą rozumieją tylko oni, a teraz dzięki nim również ty.

18 Miasto biesów

– Wy chyba kiepsko pamiętacie, czym wsławiło się, jeśli można tak powiedzieć, miasto Jekaterynburg. Nigdy nie zadawaliście sobie tego pytania? Nie zadawaliście sobie pytania, gdzie rozstrzelano Mikołaja Romanowa i jego rodzinę?… I to miasto, w którym biesy hulają do dziś. To miasto, które zniszczyło swoją katedrę i nie odbudowało jej do dziś, znowu rozpętało czarci sabat! Potomkowie tamtych biesów odprawiają dzisiaj ten sam sabat co wtedy! Bo dla nas wszystkich jest oczywiste, że to, co się teraz dzieje u was, to próba rozkręcenia majdanu w samym centrum Rosji! Bo to, co widzimy, to są czysto majdanowe techniki. A to wy jesteście miastem, które zabiło ostatniego imperatora! Niesiecie to przekleństwo! Podoba się to wam czy nie! – wrzeszczał wiosną 2019 roku Władimir Sołowiow, naczelny medialny politruk.

Działo się to nie w głębi uralskich lasów czy podziemiach odległego monastyru, ale w studio popularnej państwowej radiostacji Viesti.FM. Inkwizytorskiej przemowy nie wyrzucił z siebie zwariowany carobożnik albo przebrany za Kozaka oszołom, tylko cyniczny, profesjonalny propagandzista. Człowiek specjalizujący się w robieniu ludziom wody z mózgu i bodaj najlepiej opłacana gwiazda rządowych mediów.

W tym samym czasie, kiedy Sołowiow straszył czarcimi sabatami, w Jekaterynburgu trwały protesty przeciwko odbudowie soboru Świętej Katarzyny na terenie śródmiejskiego skweru przy Swierdłowskim Akademickim Teatrze Dramatycznym. Konflikt o miejsce odbudowy świątyni zburzonej pod rządami Stalina osiągnął apogeum w maju 2019 roku. Ma jednak długą i pełną zwrotów historię. Trwa z przerwami od lat. Pierwsza awantura o lokalizację soboru wybuchła już w kwietniu 2010 roku.

Jekaterynburski sobór Świętej Katarzyny zbudowano w 1723 roku. Murowana cerkiew przetrwała ponad dwa stulecia. Do 1930 roku stała niedaleko brzegu miejskiego zalewu, tyle że w innym miejscu niż współczesny skwer teatralny. Tam, gdzie niegdyś wznosiła się świątynia,

tryska dziś miejska fontanna Kamienny Kwiatek, popularne miejsce spacerów i randkowych spotkań.

Wiosną 2010 roku na wieść o planach wyburzenia i zabudowy popularnego placu zebrał się kilkutysięczny tłum jekaterynburżan żądających wyznaczenia innej lokalizacji odbudowy. Po tych protestach pomysłodawcy i lobbyści inwestycji odpuścili na jakiś czas. Przez kolejne lata trwała względna cisza.

W 2016 roku upubliczniono dość ekscentryczny pomysł usypania sztucznej wyspy na środku zalewu i zbudowania na niej gigantycznego soboru. Architekci zatrudnieni w urzędzie miejskim nie wygłaszali oficjalnych opinii, ale wieść, że nie są entuzjastycznie nastawieni do idei sypania sztucznej wyspy, bardzo szybko rozniosła się po mieście. Mieszkańcy Jekaterynburga znów zaczęli pikietować. Podczas jednego z happeningów ludzie trzymający się za ręce otoczyli zalew żywym łańcuchem. Wreszcie przeciwko koncepcji budowy sztucznej wyspy wypowiedział się główny architekt miasta Timur Abdułajew. Za sprzeciw zapłacił zwolnieniem z pracy, ale dziwaczny projekt upadł.

Na tym nie skończyły się dyskusje i spory wokół nieistniejącego soboru Świętej Katarzyny. Wkrótce nieodbudowaną cerkiew zaczęto nazywać świątynią niezgody. W takiej atmosferze ogłoszono miejsce kolejnej planowanej lokalizacji soboru – tym razem na terenie skweru przy Teatrze Dramatycznym, prawie nad samym brzegiem zalewu.

Okazało się też, że wcale nie chodzi o odtworzenie historycznej budowli, tylko o budowę nowego, monumentalnego przybytku. Za wzór projektu posłużył rusko-bizantyjski styl soboru Uspienskiego we Włodzimierzu, a nie dawnej jekaterynburskiej katedry. Nowy sobór w samym centrum miasta miał być znacznie większy niż ten, który przed dziewięćdziesięciu laty komuniści zrównali z ziemią, i pomieścić dwa i pół tysiąca wiernych. Wrota świątyni postanowiono otworzyć w 2023 roku i w ten sposób uświetnić obchody trzechsetnej rocznicy powstania Jekaterynburga.

Finansowanie kosztownej inwestycji wzięli na siebie dwaj uralscy oligarchowie i dolarowi miliarderzy. Pierwszym z nich jest Andriej Kozicyn, dyrektor generalny Uralskiej Kompanii Górsko-Metalurgicznej i związanego z nią holdingu kapitałowego, człowiek wielokrotnie honorowany wysokimi orderami cerkiewnymi za sponsoring i dobroczynność. Drugi to Igor Ałtuszkin, współwłaściciel Rosyjskiej

Kompanii Miedziowej, a przy okazji szef sieci klubów sportów walki. Obydwu porównywano w mediach do bajecznie bogatych Demidowów, potężnej dynastii przemysłowej, która w złotych czasach imperium Romanowów decydowała o losach mieszkańców Uralu. Demidowowie kontrolowali warsztaty, a potem fabryki. Dawali ludziom pracę, obdarzali jałmużną, urządzali ludowe jarmarki. A u ich boku czuwali dobrze opłacani ludzie pod bronią.

W drugiej dekadzie XXI wieku Igor Ałtuszkin i Andriej Kozicyn mieli już wszystko. Fortuny, władzę i wpływy. Teraz zapragnęli przejść do historii i postawić pomnik własnej wielkości podziwiany przez kolejne pokolenia. Po Jekaterynburgu krążyły słowa jednego z zaufanych pracowników Ałtuszkina, który podczas nieoficjalnej rozmowy miał powiedzieć wprost, że jeśli pan Igor wykłada pięćdziesiąt milionów dolarów, to chce widzieć swój chram w najważniejszym punkcie miasta.

Chęć przejścia do historii ani na chwilę nie uśpiła w uralskich oligarchach biznesowego drygu. Sobór Świętej Katarzyny okazał się częściowo komercyjnym projektem. Na terenie przylegającym do świątyni zaprojektowano wielofunkcjonalne centrum użytkowe z apartamentami, miejscami biurowymi, klubem fitness i płatnym podziemnym parkingiem. Duchową stroną interesu zajął się prawosławny metropolita jekaterynburski. Do roli gospodarza wielofunkcyjnego chramu szykował się zaufany człowiek diecezji, zwierzchnik Cerkwi na Krwi, ojciec Maksym Mieniajło. Całe przedsięwzięcie zakulisowo wspierał gubernator obwodu swierdłowskiego Jewgienij Kujwaszew.

Naprzeciw biznesowego i cerkiewnego establishmentu stanęły bardzo różne środowiska, które zjednoczył sprzeciw wobec zabudowy skweru. Ujęli się za nimi niepozbawieni wpływów politycy, jak choćby były mer Jekaterynburga Jewgienij Rojzman. Argumentowano, że skoro sobór Świętej Katarzyny i tak powstawałby w innej formie i innym miejscu niż pierwotnie, to dlaczego miałby zastąpić akurat jeden z ulubionych miejskich skwerów? Zwrócono uwagę na to, że w ścisłym centrum Jekaterynburga znajduje się już dwadzieścia pięć chramów i kaplic, w tym niebosiężna Cerkiew na Krwi. Następna wielka świątynia mogłaby stanąć trochę dalej.

Jekaterynburg to spory ośrodek akademicki i kulturalny z dużym potencjałem oddolnych działań obywatelskich. Ale protesty nie wyłoniły lidera i jasnej struktury organizacyjnej, wokół której mogłaby powstać silna

opozycyjna organizacja. Czołową rolę odegrali działacze ruchu miejskiego Parki i Skwery Jekaterynburga. Istotną postacią był Rinat Nizamow, przedsiębiorca i szef sieci miejskich portali internetowych, którego wsparła grupa regionalnych dziennikarzy. Wokół akcji skupiła się rozproszona i niezadowolona młodzież, głównie dzieciaki z inteligenckich rodzin, studenci i hipsterka. Po kilku dniach eskalacji konfliktu do Jekaterynburga zaczęli zjeżdżać działacze z innych miast.

Do protestów podłączyli się miejscowi zwolennicy opozycjonisty Aleksieja Nawalnego. Oczywiście wykorzystały to rządowe kanały telewizyjne i o całą awanturę oskarżyły właśnie Nawalnego i jego zagranicznych mocodawców. Prawosławne media poszły jeszcze dalej. Konserwatywny radykał i magnat finansowy Konstantin Małofiejew zaczął wprost grozić protestującym. W telewizji Cargrad oznajmił bez ogródek:

– Widzimy was, wiemy kim jesteście, nie zawahamy się zareagować.

Słowa te padły dzień po tym, jak nasłani, najprawdopodobniej przez Ałtuszkina, zawodnicy MMA zaatakowali pikietujących studentów. Ludzie nie przestraszyli się. Kolejnego dnia wrócili znacznie liczniejsi i protest rozpoczął się na całego. Na pierwszej linii stanęło młode inteligenckie pokolenie wychowane już w XXI wieku, które straciło nadzieję na możliwości rozwoju i zaspokojenia rozbudzonych aspiracji życiowych. Wkurzone dzieciaki rozebrały, a w zasadzie wyszarpały z rąk ochrony i policji fragmenty metalowego ogrodzenia terenu budowy, po czym powrzucały je do zalewu.

Dziś prawie co piąty młody Rosjanin idzie na studia. To mniej więcej tyle samo co w Europie Zachodniej. Rosyjska młodzież jest nie najgorzej wykształcona, elastyczna, zna języki, tak jak rówieśnicy na całym świecie żyje w smartfonach i internecie, potrafi szybko odnaleźć się niemal w każdych warunkach. Rosjanie urodzeni na przełomie tysiącleci mogli stać się pokoleniem, które, jeśli dostałoby szansę, byłoby siłą napędową modernizującą kraj, wzbogacałoby go ideowo i materialnie.

Tymczasem często już na egzaminie wstępnym studenci uczą się, że ścieżka kariery od samego początku wiedzie przez łapówki i układy. Epidemia plagiatów i prac pisanych na zamówienie to osobny problem, dotyczący wszystkich, począwszy od studentów kopiujących albo kupujących prace zaliczeniowe w internecie, a skończywszy na ministrze kultury Władimirze Medinskim, któremu koledzy przepchnęli żenująco

słabą pracę doktorską, w wielu fragmentach splagiatowaną. I co? Ano nic. Po tej aferze ministerialny stołek nawet pod nim nie drgnął.

Badania z ostatnich kilku lat pokazują, że młodzi ludzie mają poczucie braku wpływu na cokolwiek. Są apatyczni i na razie wygląda na to, że w swej masie dali się przekonać do bezalternatywności systemu, w którym dorastali. Nie wierzą władzy, opozycji, Cerkwi, organizacjom młodzieżowym i pozarządowym. Nikomu. Polityka ssie. Szkoda na nią czasu. I tak z góry wiadomo, kto zostanie prezydentem i która partia zdobędzie większość w parlamencie.

Młodzież widzi w zasięgu swoich możliwości niewiele życiowych opcji poza przystosowaniem się, emigracją wewnętrzną albo wyjazdem za granicę. Odpływ twórczych i zdolnych ludzi jest jednym z najpoważniejszych problemów współczesnej Rosji. W 2019 roku czterdzieści procent Rosjan w wieku między osiemnastym a dwudziestym trzecim rokiem życia zadeklarowało chęć wyjazdu z kraju. Najzdolniejsi i najbardziej operatywni już spakowali walizki i szukają szansy rozwoju w zagranicznych uczelniach i korporacjach.

Marazm i coraz głębsze poczucie niepewności dotknęły również pokolenia ich rodziców. Pierwsza dekada XXI wieku rozbudziła nadzieje w grupach, które można by określić jako klasę średnią. Spora część Rosjan poczuła wtedy poprawę sytuacji bytowej. Ludzie mogli sobie pozwolić na większe mieszkania, działki, regularne wyjazdy za granicę. Rzecz nie tylko w pieniądzach, ale w rosnących oczekiwaniach i aspiracjach. Od kilku lat sytuacja zmienia się na gorsze.

Kremlowska sitwa zyskała nieograniczoną władzę, ale społeczeństwo w zamian dostaje coraz mniej. Raczkująca klasa średnia zaczęła ubożeć. Realne dochody spadają już szósty rok z rzędu i nic nie wskazuje na to, by ten trend miał się odwrócić. Najszybciej tracą drobni przedsiębiorcy, pracownicy umysłowi, inteligencja techniczna i ludzie wolnych zawodów. Reżim przez całe lata wisiał na haśle stabilności i putinowskim konsensusie, które już się wyczerpały. Społeczeństwo obudziło się z ręką w nocniku.

Rosjanie, którzy w 2018 roku zadeklarowali przynależność do klasy średniej, zarabiali przeciętnie pięćdziesiąt osiem tysięcy rubli miesięcznie (przy ówczesnym kursie rubla to niecałe cztery tysiące złotych). Wielki biznes, który teoretycznie powinien ciągnąć gospodarkę w górę, wisi na budżecie państwa i eksploatacji złóż naturalnych. W ostatnich dwóch

dekadach system oligarchiczny organicznie zrósł się z państwem i pasożytuje na społeczeństwie jak nigdy wcześniej. To w epoce Putina, a nie Jelcyna rosyjscy oligarchowie zaczęli okupować wysokie miejsca na liście „Forbesa".

Dzieciaki, które wiosną 2018 roku wrzucały kawałki ogrodzenia do miejskiego zalewu, nie pamiętają lat dziewięćdziesiątych, mają gdzieś straszenie opowieściami o ulicznych gangach, plemiennych wojnach politycznych klanów i chodnikowych bazarach w centrach miast. Dla nich to już prehistoria. Znają za to upasionych, kremlowskich gerontów, którzy doprowadzili do perfekcji quasi-mafijny, skorumpowany, klientelistyczny system. To ci starsi faceci, wciągający brzuchy przed kamerami, starają się ograniczać im swobodny dostęp do internetu i tłamszą ich życiowe aspiracje już na poziomie szkoły.

Kraj trzymają za twarz podstarzali „czekiści". Putin dobija do siedemdziesiątki. Podobnie jak Siergiej Iwanow, stary sprawdzony *siłowik* i filar kremlowskiej ekipy. Tak samo minister obrony narodowej Siergiej Szojgu i prokurator generalny Jurij Czajka. Około siedemdziesiątki mają przewodniczący Komitetu Śledczego FR Aleksandr Bastrykin, szef FSB Aleksandr Bortnikow i sekretarz Rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa Jurij Patruszew. Mniej więcej w tym samym wieku są zaufani kremlowscy oligarchowie przebrani za menedżerów i urzędników – Siergiej Cziemiezow, Wiaczesław Timczenko, Arkadij Rotenberg, Jurij Kowalczuk i wielu innych.

Im więcej władzy bawiący się w geopolitykę kremlowscy geronci czują w swoich rękach, tym bardziej obawiają się ją stracić. Pewnie dlatego niemal każdy regionalny protest momentalnie urasta do rangi politycznego problemu, z którym musi zmierzyć się władza centralna. Nie ma znaczenia, czy są to protesty lokalnych społeczności przeciw budowie toksycznego wysypiska odpadów w okolicach miejscowości Szijes w Obwodzie Archangielskim albo przeciw fabryce chemikaliów w Pskowie, czy zamieszki w Nazraniu wywołane przesunięciem administracyjnej granicy ingusko-czeczeńskiej, czy wreszcie zwykły sprzeciw wobec nieuczciwości tego czy innego regionalnego urzędnika.

Największym problemem nie są ani przyczyny niezadowolenia, ani nawet formułowane postulaty. Najgorszy sen władzy to zdolność ludzi do samoorganizacji. Niemal każdy przejaw niekontrolowanego oddolnego działania staje się więc z definicji antysystemowy. Z drugiej strony długie

lata sztywnego, pionowego stylu zarządzania państwem spowodowały, że regionalne sitwy polityczne straciły zdolność samodzielnego rozwiązywania poważniejszych sytuacji kryzysowych. Niemal we wszystkim oglądają się na decyzje płynące bezpośrednio z Moskwy. Władzę w regionach namaszcza centrum. Regionalni czynownicy trzęsą portkami i oglądają się na centralę, a z drugiej strony są uwikłani w układy z miejscowymi bonzami i na nich opierają swoją pozycję w interiorze.

Lokalny spór o sobór Świętej Katarzyny w Jekaterynburgu stał się groźny, bo wyzwolił energię młodej inteligencji. Sprzeciw wobec samowoli Cerkwi, oligarchów i regionalnych władz skupił na sobie uwagę całego kraju i urósł do rozmiarów problemu państwowego. Sytuację w Jekaterynburgu dodatkowo skomplikował potencjalny konflikt zwolenników i przeciwników budowy soboru. W odpowiedzi na protesty przeciw nowej lokalizacji na skwer zaczęły ściągać niewielkie procesje i prawosławni aktywiści. Jewgienij Kujwaszew, gubernator obwodu swierdłowskiego, zaprosił przedstawicieli obu stron do rozmów. Spotkanie skończyło się erupcjami urzędniczego pustosłowia i nie przybliżyło kompromisu ani o pół kroku. Uralski establishment wpadł w stupor i bezradnie odwrócił wzrok w stronę Kremla.

Regionalna władza pokazała, że nie potrafi skutecznie zarządzać, negocjować między mieszkańcami, gasić konfliktów, szukać kompromisów, podejmować decyzji i ponosić za nie odpowiedzialności. Zadziałała zgodnie z jedynym znanym sobie schematem. Jeśli pojawiają się problemy, regionalny czynownik czeka, co powie zwierzchnik, ten czeka na opinię jeszcze większego ważniaka, aż wreszcie sprawa trafia na biurko naczelnika wszystkich naczelników.

Po kilku dniach eskalacji konfliktu do akcji wkroczył Władimir Władimirowicz. Na pytania dziennikarzy o jekaterynburskie protesty, odpowiedział pytaniami: „A kto tam wychodzi? Bezbożnicy?”. Po tym jak puścił oko do prawosławnej prawicy, odwrócił kota ogonem i orzekł, że należy przeprowadzić sondę i dowiedzieć się, co sądzą na ten temat mieszkańcy. W ten sposób sprytnie zakończył awanturę wokół soboru.

Sonda przeprowadzona przez Wszechrosyjskie Centrum Badania Opinii Publicznej pokazała coś, co wiedziano od dobrych kilku lat. Już wcześniejsze badania ujawniały negatywny stosunek mieszkańców Jekaterynburga do pomysłu budowy kolejnej świątyni w ścisłym centrum. Późną wiosną 2019 roku ponad siedemdziesiąt procent przebadanych

jekaterynburżan odpowiedziało, że skweru nie należy ruszać, a sobór może zostać odbudowany w innym miejscu. Sprawa znów została zahibernowana. Możliwe, że za jakiś czas obejrzymy kolejny sezon serialu ze świątynią niezgody w roli głównej. Na razie stanęło na tym, że sobór Świętej Katarzyny ma zostać odbudowany, ale nie wiadomo gdzie.

Latem 2019 roku niektórzy dali się ponieść hurraoptymizmowi. Zaczęli nawet przebąkiwać, że władza ustąpiła pod naporem aktywnych obywateli i pod presją społeczeństwa musiała uznać ich racje. Tymczasem nieco mniej naiwni ironicznie uśmiechali się pod nosem i napomykali, że Kreml po prostu uciął rozkręcający się protest, który w przypadku dłuższego trwania mógł przerodzić się w oddolny ruch polityczny. Konflikt został wygaszony, aktywiści nie zdążyli sformułować dalekosiężnych celów i programu ewentualnych dalszych działań, nie mówiąc już o stworzeniu jakichś trwalszych struktur organizacyjnych.

Poza tym kremlowskich średnio interesowała regionalna szamotanina wokół budowy jakiegoś tam soboru. Umyli ręce, bo tak było wygodniej. A jeśli Kozicyn z Ałtuszkinem chcą sobie stawiać świątynię, to niech sami załatwią ten problem. Patriarcha Cyryl I też nie zamierzał umierać za taką czy inną lokalizację soboru. Uznał, że jest to zmartwienie uralskich hierarchów.

Raz na jakiś czas można pójść na pewne ustępstwa, ale pod żadnym pozorem nie wolno dopuścić, żeby wśród ludzi wyrastali liderzy albo, co gorsza, społeczeństwo zyskiwało trwalszą zdolność niezależnego działania. Tym bardziej że badania socjologiczne z 2018 roku ujawniły wzrastającą gotowość Rosjan do wyrażania sprzeciwu. Pokazały również, że pojawiła się, na razie stosunkowo niewielka, część społeczeństwa, która jest gotowa walczyć o swoje interesy, a przy tym ma świadomość, że jeśli już decyduje się na protest, to musi być nastawiona na to, by wytrwać przy swoim do końca.

Społeczeństwo nie jest jednak gotowe do poważniejszej konfrontacji z władzą. W ostatnich latach protesty wybuchały całkiem często. I zazwyczaj szybko gasły albo były chaotyczne i niewiele z nich wynikało. Nie wytwarzały poważniejszych idei, nie konsolidowały różnych grup społecznych. Władza od czasu do czasu szła na pozorne kompromisy, po czym przystępowała do nękania albo podkupywania potencjalnych liderów. Znacznie częściej rozbijała protesty siłą, podbijając zwykłym ludziom cenę

za wyjście na ulicę zatrzymaniami, aresztami, grzywnami albo tępym pałowaniem.

Rosjanie, którzy na ulicę w większości nie wychodzą i być może nigdy nie wyjdą, są sfrustrowani swoim położeniem bytowym. Z różnych przyczyn są przekonani, że żyją w niesprawiedliwym systemie, na każdym kroku robiącym ich na szaro. Ale niewiele z tego wynika. Aktywne grupy obywateli od prawa do lewa nie mają do siebie zaufania. Podczas moskiewskich masowych protestów w latach 2011–2012 stali obok siebie wszyscy niezadowoleni: demokraci, liberałowie, lewacy i nacjonaliści. Dzisiaj jest to nie do pomyślenia.

Władza też ma coraz większe problemy z tym, by skupiać wokół siebie społeczną większość. Euforyczny ogień zwycięstwa nad złymi banderowcami i nowy krymski konsensus, który w 2014 roku zmobilizował wokół rządzących większą część społeczeństwa, już się wypalił. Integrujące rytuały, takie jak militarystyczne masówki 9 maja w Dzień Zwycięstwa czy inne obrzędy patriotyczne i religijne, zamieniają się w nużące, powtarzalne widowiska odgrywane na tle niezmiennych dekoracji. Z roku na rok milcząca większość traktuje to coraz mniej serio.

Po przegranym starciu o sobór Świętej Katarzyny ulało się również konserwatywnym radykałom. Snuto teorie, że sprzedajni oligarchowie chcą zdestabilizować sytuację, wyprzedawać kopalnie diamentów i złoża gazu. Przypominano, że wielu z nich ma obce obywatelstwa. Dyskretnie nie napomknięto przy tej okazji, że małżonka hojnego dobrodzieja Cerkwi Igora Ałtuszkina ma paszport poddanej Korony Brytyjskiej. Klepano starą mantrę o chaosie lat dziewięćdziesiątych i wiecznie pijanym Jelcynie. Ostrzegano przed pazernymi liberałami, którzy rwą się spod dywanu, żeby znów okradać naród.

Telewizja Cargrad postraszyła swoich widzów nową pieriestrojką 2.0. Szefa Sbierbanku Germana Grefa oskarżono o plany oddania sektora bankowego w łapy zachodniej finansjery. Wspominano o tajnych planach rozmontowania państwa rosyjskiego od wewnątrz, które zgodnie z życzeniem globalistów powinno runąć, tak jak niegdyś runął Związek Radziecki.

W kraju robiło się coraz goręcej. 6 czerwca 2019 roku moskiewska policja zatrzymała dziennikarza śledczego Iwana Gołunowa, który rzekomo zamierzał handlować znalezionymi przy nim narkotykami. Od samego początku sprawa wyglądała na dętą. Mało kto uwierzył w to, że znalezione

narkotyki rzeczywiście należały do Gołunowa. Za prawdziwą przyczynę aresztu opinia publiczna uznała śledztwo, które Gołunow prowadził w sprawie powiązań moskiewskich przedsiębiorstw pogrzebowych z funkcjonariuszami FSB, najprawdopodobniej patronującej lewemu cmentarnemu biznesowi.

Za Gołunowem murem stanęło środowisko dziennikarskie, włącznie z częścią systemowych mediów, opozycja i organizacje obywatelskie. Wygłaszano apele do władz, pisano listy otwarte i podpisywano petycje. Na Facebooku pojawiły się adekwatne nakładki na profilowe zdjęcia. Po pięciu dniach pikiet, medialnego szumu i zakulisowych rozmów Gołunow został zwolniony. Radość z ustępstw, na które rzekomo poszła władza, trwała zaledwie dobę. Nazajutrz po wypuszczeniu Gołunowa z aresztu moskiewską manifestację w obronie wolności słowa brutalnie spacyfikowano policyjnymi pałkami. Morał tej historii wydawał się dość prosty: czasem idziemy na ustępstwa, bo mamy taki kaprys, ale niech wam się nie przewraca w głowach, bo to my ustalamy reguły gry.

O tym, że w najbliższym czasie nie będzie żadnej nowej odwilży czy pieriestrojki 2.0, wszyscy ostatecznie przekonali się w sierpniu przed wyborami samorządowymi. Niezależnych opozycyjnych kandydatów zdjęto z list wyborczych. Start w wyborach uniemożliwiono między innymi Ilji Jaszynowi, dawnemu współpracownikowi Borysa Niemcowa, Lubow Sobol, działaczce Fundacji Walki z Korupcją Aleksieja Nawalnego, i niezbyt radykalnemu opozycjoniście Dmitryjowi Gudkowowi, synowi dawnego pułkownika KGB i do niedawna establishmentowego polityka Giennadija Gudkowa.

Opozycyjnym kandydatom zarzucono błędy formalne na listach poparcia i wpisywanie na nie martwych dusz. Część moskwian, głównie inteligentów i studentów, zaczęła gromadzić się na ulicach, gdzie bito ich i zatrzymywano w aresztach. Niedoszli kandydaci na radnych trafiali co rusz na krótkoterminowe odsiadki pod wyssanymi z palca zarzutami.

Największa zalegalizowana akcja protestacyjna odbyła się w pierwszej połowie sierpnia na prospekcie Sacharowa w Moskwie. Ludzie wyszli z domów i pokazali, że istnieją i nie zgadzają się z tym, jak traktuje ich władza. Na ulicznej scenie wystąpiły gwiazdy alternatywnego szołbizu. Publikę rozbujali Oxxxymiron, Face, grupy Krowostok i IC3PEAK. Skrzydlate przemówienia wygłosili starzy telewizyjni wyjadacze pokroju Leonida Parfionowa i nowe gwiazdy YouTube’a z Jurijem Dudiem na czele.

Pod sceną oklaskiwali ich aktywiści, starsi inteligenci, młodzi moskiewscy hipsterzy i studenciaki. Następnego dnia różne źródła oszacowały liczbę uczestników na od czterdziestu do sześćdziesięciu tysięcy.

W aglomeracji moskiewskiej żyje około siedemnastu milionów ludzi. Albo i więcej. Chyba nikt nie zna prawdziwej liczby mieszkańców tej gigantycznej metropolii. Ktoś pewnie mógłby powiedzieć, że nawet sześćdziesiąt tysięcy uczestników to kropla w morzu. Ale po co się czepiać? To i tak była największa akcja opozycji od czasów serii masowych protestów przeciw przekrętom wyborczym w latach 2011–2012.

Po zakończeniu mityngu, dokładnie o ustalonym czasie, wszyscy wyszli z wielkiej otoczonej metalowymi płotami klatki, którą ustawiono na prospekcie Sacharowa. Po czym cicho się rozeszli. Tylko niewielka grupa małolatów nie odpuściła i ruszyła w okolice siedziby kancelarii prezydenta na moskiewskim Kitaj Gorodzie. Dzieciaki poszły pokojowo, ale i tak dostały solidny łomot od policji i gwardzistów. W sumie zatrzymano tamtego dnia około stu czterdziestu osób. W tym czasie modni raperzy rozjeżdżali się taksówkami. Gwiazdor internetu Jurij Dud′ czmychnął na jakąś imprezę, którą miał prowadzić, pewnie za niemałe pieniądze, bo facet się ceni. Starsi inteligenci spokojnie mknęli metrem do domów. Nie ma sensu krytykować ludzi, którzy wyszli na mityng, ale nie zdecydowali się iść na spacer pod kancelarię. Łatwo jest oceniać innych, siedząc przed klawiaturą komputera. Mieli czego się obawiać.

Warto też pamiętać, że tak zwane pokolenie Putina to nie tylko niezależni hipsterzy i młodzi aktywiści. To również, a może przede wszystkim niezauważana przez media ogromna armia młodych oportunistów należących do różnych słusznych organizacji, biorąca udział w szkoleniach liderów, już teraz mająca świetne układy i spore ambicje. Ta młodzież po cichu dorasta i być może wkrótce zacznie przebierać nogami. Na razie młodzi karierowicze uderzyli głowami w szklany sufit. Wyczekują w milczeniu. Ciszej jedziesz, dalej zajedziesz – mówi stare rosyjskie przysłowie.

Jeśli któregoś dnia putinowski system zacznie się sypać, z pewnością nie kiwną palcem w bucie, by go ratować. Bo upadek systemu może otworzyć drzwi do gabinetów pozajmowanych przez omnipotentnych zgredów, począwszy od biur lokalnych i regionalnych administracji, skończywszy na najwyższych urzędach w państwie. Pamiętacie lata dziewięćdziesiąte i błyskotliwe kariery ostatniego pokolenia komsomolców?

W sierpniu i wrześniu 2019 roku zza szczelnych kremlowskich murów dochodziły niezrozumiałe odgłosy. Infosfera huczała od prognoz i analiz. Coraz więcej mówiono i pisano o wewnętrznej walce między klanami w MSW i FSB. Wymądrzano się, która z kremlowskich wież zyskuje przewagę nad pozostałymi. O tym, kto w najbliższym otoczeniu prezydenta walczy z kim i o co. Gównoburze mieszały się z poważniejszymi świadectwami wewnętrznych tarć.

Donoszono o uzupełnianiu państwowych rezerw złota, co mogło świadczyć o przygotowaniach do długotrwałych problemów wewnętrznych i kolejnych zagranicznych wojen. Przyglądano się słupkom ekonomicznym, cenom ropy i gazu, aktualnemu kursowi rubla. Co rusz prezentowano sondaże pokazujące poparcie dla władzy, nie wiedząc nawet, czy można im zaufać. Omawiano spadek popularności Putina. Podkreślano, że sympatię do niego deklaruje tylko co czwarty Rosjanin, a przecież jeszcze dwa lata temu lubił go co trzeci ankietowany. Powtarzano sobie, że to najniższe poparcie od 2011 roku. No ale z drugiej strony, dodawano z powagą, prawie siedemdziesiąt procent respondentów ocenia jego pracę pozytywnie. Ponad połowa Rosjan widziałaby go w roli prezydenta nawet po wygaśnięciu ostatniej konstytucyjnej kadencji. Lubią czy nie lubią, ludzie go jednak szanują. A może nie szanują? Ściemniają, bo nie chcą powiedzieć ankieterom, co naprawdę myślą? I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej…

Jesienią 2019 roku władza uporała się z moskiewskimi protestami. Hybrydowa dyktatura zabrała się do hybrydowych represji. Wielu zatrzymanych uczestników protestów trafiło na ławy oskarżonych. Kirył Żukow, student moskiewskiej Wyższej Szkoły Ekonomii, dostał karę trzech lat pozbawienia wolności za chwycenie osłony kasku jednego z rosgwardiejców rozpędzających demonstrację. Następnie złagodzono wyrok i zwolniono go warunkowo. Teraz załapał się do pracy jako prezenter w liberalnej radiostacji Echo Moskwy, będącej własnością holdingu Gazprom Media. Inny młody uczestnik protestów, Ajdar Gubajdulin, nie miał tyle szczęścia. Wylądował za kratami za rzucenie w policjantów plastykową butelką po wodzie, a dwudziestokilkulatkowi, Daniłowi Biegliecowi wlepiono dwa lata odsiadki za smyrnięcie omonowca po ręku. Absurdalne procesy ciągnęły się przez całą jesień 2019 roku. Ludzie dostali jasny komunikat: lepiej siedźcie w domu, bo wyjście na ulice, protesty, nawet pokojowe, mogą skończyć się kilkuletnimi wyrokami

więzienia, a w najlepszym razie połamanymi kończynami albo siniakami po kopniakach i pałach.

Przez kilka miesięcy komentatorzy wylewali z siebie kolejne egzegezy letnich protestów. Ci, którzy chcieli uchodzić za dobrze zorientowanych, dopatrywali się w działaniu władzy przemyślanych planów i perfekcyjnie skonstruowanych gambitów. Inni eksperci przekonywali, że władza sprawia wrażenie pogubionej i sama nie wie, co robi, chaotycznie pałując, zamykając, to znów zwalniając kolejnych zatrzymanych. Jedni wieszczyli rychły upadek systemu, inni wróżyli mu długie lata trwania.

Zblazowany liberalno-demokratyczny komentariat przez długie miesiące fiksował się na roztrząsaniu hipotetycznych wariantów ustąpienia albo wiecznego trwania na Kremlu Władimira Putina. Wciąż uciekano ku magicznej cezurze 2024 roku, w którym skończy się jego ostatnia kadencja. Bez końca dywagowano o tym, jak będzie przebiegać ewentualny transfer władzy. Czy ktoś zostanie namaszczony na następcę Władimira Władimirowicza? A jeśli tak, to kto? Zastanawiano się, w jaki sposób będą reprodukować się kremlowskie elity. Co wyniknie z cichej zmiany pokoleniowej i jak przebiegnie przejmowanie węglowodorowego interesu?

Sedno niekończących się rozmów i analiz nader często sprowadzało się do wywodów samozwańczego szamana Aleksandra Gabyszewa, który wiosną 2019 roku wyruszył na piechotę z Jakucji do Moskwy, by – jak oznajmił – wygnać stamtąd złego ducha Putina. Gabyszew, zapytany po drodze o to, co się stanie, kiedy kremlowski demon zostanie pokonany, wzruszył ramionami i bez najmniejszego wahania odparł: wystarczy wygnać Putina, a potem wszystko ułoży się samo. I tyle.

Wojowniczy szaman nie wygnał złego ducha Putina. Do ostatecznego zwycięstwa nad kremlowskimi ciemnymi siłami, po którym miała nastać nowa wspaniała era szczęścia i światłości, zabrakło mu do przejścia ponad pięć tysięcy kilometrów. Jednostka specjalna FSB zwinęła go niedaleko Bajkału, przy federalnej autostradzie między Ułan Ude a Irkuckiem. Z aresztu odesłano go na badania psychiatryczne. Kilkumiesięczny medialny hajp wokół wędrownego pogromcy duchów przyblakł.

Państwo z wolna podgniwało. Stopniowo pogrążało się w intelektualnym marazmie i ekonomicznej stagnacji. Dobrze zakonserwowanych kremlowskich starców wciąż było stać na ekscytujące gry w geopolitykę. Handel złożami naturalnymi nie kręcił się tak dobrze jak

kiedyś, ale pieniędzy na gumowe pałki, bębenki i wojenki jeszcze starczało. Na nowe jachty i rezydencje z basenami również.

Pod koniec listopada 2019 roku Centrum Analityczne Jurija Lewady opublikowało dane pokazujące, że już pięćdziesiąt trzy procent Rosjan w wieku od osiemnastu do dwudziestu czterech lat chciałoby opuścić powstałą z kolan ojczyznę. Kolejni samodzielni, utalentowani młodzi ludzie pakowali się i zbierali do wyjazdu.

Na początku 2020 roku dywagacje o możliwych wariantach transferu władzy ustały. Zabrano się do przygotowania zmian w konstytucji, tak by po 2024 roku wieczny prezydent wciąż mógł sprawować urząd. Zahipnotyzowane społeczeństwo w ciszy przyjęło do wiadomości, że Władimir Władimirowicz będzie z nim już do śmierci. Pozostał jeszcze tylko jeden malutki krok. Należało wyreżyserować referendum, w którym naród zgodzi się na wszystko. I wtedy znów zadrżały kremlowskie żyrandole.

Wiosną załamał się rynek naftowy. Ceny ropy spadły poniżej progu opłacalności wydobycia. W Rosji utracono kontrolę nad wzrostem bezrobocia i recesji, która już wcześniej doskwierała społeczeństwu. Przymusowa izolacja wyłączyła z rynku pracy całe masy ludności. W kwietniu nawet oficjalnie publikowane dane wykazywały, że około osiemdziesięciu procent Rosjan skarży się na dotkliwy spadek dochodów. Wskaźniki gospodarcze spadły poniżej progu kryzysu w 2009 roku. Na świecie rozhulał się koronawirus.

Pandemia zamiast posłużyć za kanwę kolejnego epickiego widowiska z omnipotentną władzą w roli głównej, zaczęła ujawniać jej bezradność. Dane, które przenikały do wiadomości publicznej, wskazywały na wyjątkowo szybki spadek popularności Władimira Władimirowicza. Poparcie dla wielkiego lidera w maju deklarował już tylko co czwarty Rosjanin. Jak było naprawdę? Trudno powiedzieć. Ludzie złym okiem przyglądali się władzy pompującej środki z rezerw w koncerny kontrolowane przez kremlowskich oligarchów. Biurokraci, mundurowi i część nękanej inflacją budżetówki póki co żyli nieźle, bo na ich konta wciąż wpływały wypłaty, ale reszta została na lodzie.

Rządowi propagandyści zaczęli tracić kontrolę nad produkcją głównych przekazów dnia. Dotychczas niezniszczalny politruk Władimir Sołowiow wikłał się w kolejne internetowe pyskówki. Okazało się, że kremlowski

mistrz ciętej riposty zupełnie nie radzi sobie z realnymi adwersarzami spoza bezpiecznego studia telewizyjnego, w którym dyskusje i polemiki są starannie wyreżyserowanymi spektaklami. W internecie Sołowiow zbierał srogie cięgi, które spuszczali mu nawet komentatorzy sportowi. Ośmieszał się coraz dotkliwiej, bezradnie wrzeszcząc i wygrażając wszystkim wkoło jak pijany gopnik pod klatką schodową.

Pod koniec kwietnia z uralskich lasów wychynął charyzmatyczny ojciec Siergiej. Carobożnicki guru wezwał do niepodporządkowywania się poleceniom władz i cerkiewnych hierarchów. Rzucił klątwę na kapłanów, którzy pozamykali świątynie w obawie przed epidemią. Ogłosił początek satanistycznej elektronicznej niewoli. Oznajmił, że Putin, którego lud widzi w telewizji, został podmieniony. Prawdziwego Putina dawno już nie ma.

Sprawą prawosławnego watażki zajęła się FSB. Ojca Siergieja oskarżono o ekstremizm. Cerkiew postawiła go przed sądem kanonicznym, zarzucając mu otwarte nieposłuszeństwo wobec patriarchy. Siergiej zjawił się na procesie, wygłosił płomienną przemowę, oskarżył hierarchów o zdradę, po czym ostentacyjnie wyszedł, nie czekając na wyrok. Uralska eparchia zakazała mu wypowiadać się publicznie i odprawiać nabożeństwa. Hierarchowie usiłowali usunąć go z żeńskiego klasztoru sriednieuralskiego. Bezskutecznie.

Siergiej przegnał stamtąd wyznaczoną przez eparchię przeoryszę, pozbył się wysłanników eparchii i zatrzasnął się w monastyrze. Do klasztoru ściągnęli Kozacy i inni wyznawcy prawd głoszonych przez ultraprawicowego renegata, gotowi do obrony świętego miejsca przed sługami elektronicznego szatana. Pod murami zjawiła się jednostka Rosgwardii, ale nie podjęto próby szturmowania zbuntowanego klasztoru. Zdezorientowani pałkarze, brzuchaci hierarchowie i sprytni efesbesznicy przyglądali się potworkowi, którego wyhodowali pod swoim skrzydłem.

W tym samym czasie nie mniej ciekawe wydarzenia rozegrały się w mainstreamie. Zasłużony filmowiec Nikita Michałkow na oczach wielomilionowej widowni odleciał w przestworza galaktyk zamieszkiwanych przez płaskoziemców, antyszczepionkowców i innych cudaków. Na przełomie kwietnia i maja ogłosił na antenie rządowej telewizji Rossija 24, że w opisach koronawirusa zaszyfrowano liczbę 666, a Bill Gates jest już o krok od zrealizowania koronkowego planu zaczipowania ludzkości. Przy okazji porównał szefa Sbierbanku Germana

Grefa do Heinricha Himmlera i natarł na kilku prominentnych polityków. Publicystyczny program Michałkowa *Biesogon* zdjęto z anteny.

Kiedy Michałkow żegnał się na jakiś czas z rządową telewizją, efektownego powrotu dokonała Natalia Pokłonska. Po brawurowych rolach dzielnej krymskiej antyfaszystki, a potem przywódczyni ultrakonserwatywnej rebelii Pokłonska wcieliła się w dojrzałą, elegancką kobietę po przejściach. Z sympatycznym uśmiechem opowiadała o życiowych zakrętach, patriotyzmie, mężczyznach i wonnych, kwitnących kasztanowcach w kijowskich parkach. Dyskretnie odżegnała się od carobożnickich aberracji i szalonego batiuszki Siergieja, choć przyznała, że Mikołaj II na zawsze pozostanie dla niej postacią szczególną. Prawosławna wojowniczka przepoczwarzyła się w damę, która z całego serca kocha życie, choć zna jego bolesne ciernie. Podjęła w życiu wiele trudnych decyzji, których nie żałuje, ale dziś o niczym nie marzy tak bardzo jak o pokoju na świecie. A przede wszystkim o wiecznym braterstwie Rosjan i Ukraińców, jednego, nierozerwalnego ruskiego ludu, który żył sobie spokojnie we wspólnej zagródce, dopóki nie skłócili go banderofaszyści i ich pazerni kuratorzy. Wyciągała delikatną dłoń na zgodę. Nie dało się kijem? No to może przyszedł czas na sentymentalną opowieść o marchewce ze wspólnej grządki na starej rodzinnej daczy.

Na przełomie maja i czerwca 2020 roku Władimir Władimirowicz ogłosił koniec pandemii, wyznaczył datę parady zwycięstwa i termin referendum, które miało zagwarantować mu kolejne lata niepodzielnej władzy.

Podziękowania

Książka powstawała od lipca 2018 do wczesnej wiosny 2020 roku. W tym okresie pomogło mi wiele życzliwych osób. W szczególności chciałbym podziękować moim rozmówcom. Imiona niektórych z nich zmieniłem. W jednym przypadku dla bezpieczeństwa zamieniłem miejsce opisywanej rozmowy i połączyłem dwie osoby w jedną.

Dziękuję za dyskusje i uwagi Aleksiejowi Iwanowowi, Borysowi Knorre i Siergiejowi Parchomience. Szczególną wdzięczność winien jestem Igorowi Biełowowi za podpowiedź kilku istotnych lektur i kontaktów, Hieronimowi Grali za pomoc w załatwieniu formalności wyjazdowych, Annie Marii Dyner, Jędrzejowi Morawieckiemu i Markowi Radziwonowi za lekturę pierwszej wersji tekstu i życzliwe uwagi krytyczne, Stanisławowi Łubieńskiemu za dobre chęci i przyjacielskie wsparcie na końcowym etapie pisania, wreszcie mojej mamie Danusi Jawłowskiej za kawałek biurka do pracy, kiedy w pewnym momencie niespodziewanie go zabrakło. Ponadto Hani Brudzyńskiej, Joannie Diem, Agnieszce Prokopowicz, Oldze Szlachcic, Robertowi Zydlowi – moi drodzy, sami wiecie za co.

Bibliografia

Anderson J., *Religion, State and Politics in the Soviet Union and Successor States*, Cambridge 1994

Awen P., A. Koch, *Rewolucja Gajdara. Historia rosyjskich reform z pierwszej ręki*, przeł. J. Stawiński, Kraków 2015

Babkin M. A., *Rossijskoje duchowienstwo i swierżenije monarchii w 1917 g*, Moskwa 2008

Bishop Ch., *Zagraniczne formacje* SS. *Zagraniczni ochotnicy w Waffen-SS 1940–1945*, przeł. G. Siwek, Warszawa 2015

Bugrow K.D., *Socgoroda Bolszogo Urała*, Jekatierinburg 2018

Buranow J., W. Chrustalow, *Zagłada dynastii Romanowów*, przeł. K. Kwiatkowski, Warszawa 1995

Gudkow Ł., B. Dubin, N. Zorkaja, *Postsowieckij czełowiek i grażdanskoje obszczestwo*, Moskwa 2008, levada.ru, bit.ly/2xO0Udv (dostęp: 19.03.2020)

Iwanow A., *Joburg. Gorod chrabrych – zdiełano w diewianostyje*, Moskwa 2017

Jelcyn B., *Prezydencki maraton*, przeł. A. Łabuszewska, Warszawa 2001

Kiriłłow A.D., G. M. Kajota, *Pierwaja żyzń Borisa Jelcina*, Jekatierinburg 2011

Knorre B., *Kult Iwana Groznogo w Rossii. Religioznyj i swietskij format*, „Swiaszczennaja Chorugw'" 2009, nr 8, drakula.org, bit.ly/2WqOkLJ (dostęp: 19.03.2020)

Koliesnikow A., *Tri fronta „obszczestwa grażdan". Usilenije konfliktnosti*, „Moskowskij Centr Karniegi", 27.02.2019, carnegie.ru, bit.ly/3d91Yc5 (dostęp: 19.03.2020)

Koliesnikow A., D. Wołkow, *My ždiom pieriemien. Jest li w Rossii massowyj spros na izmienienija?*, „Moskowskij Centr Karniegi", 5.12.2017, carnegie.ru, bit.ly/2WrxZpS (dostęp: 19.03.2020)

Korn W., *Po prikazu tajnych sił. Czto skrywali nadpisi w Ipatjewskom domie*, Jekatierinburg 2015

Krutow M., *Karmannyje atamany Putina. Kazaki pod kryłom FSB*, „Radio Swoboda", 7.05.2018, svoboda.org, bit.ly/2WlXp8u (dostęp: 19.03.2020)

Ladouceur P., *Social and Political Thought in the Russian Religious Renaissance*, „Review of Ecumenical Studies" 2018, nr 2

Lazari A., *Czy Moskwa będzie Trzecim Rzymem? Studia o nacjonalizmie rosyjskim*, Katowice 1995

Mitrochin N., *Russkaja prawosławnaja cerkow'. Sowriemiennoje sostojanie i aktualnyje problemy*, Moskwa 2004

Mitrofanowa A.V., *The politicization of Russian Orthodoxy. Actors and ideas*, Leipzig 2005

The Mobilization of Conservative Civil Society, red. R. Youngs, Washington 2018, carnegieendowment.org, bit.ly/2U2GA0G (dostęp: 19.03.2020)

Morawiecki J., *Krajobraz po odwilży. Poradziecka tożsamość religijna mieszkańców współczesnych miast syberyjskich*, Wrocław 2018

Multatuli P., *Impierator Nikołaj II. Muczennik*, Moskwa 2018

—, *Impierator Nikołaj II. Tragiedija nieponiatogo samodierżca*, Moskwa 2018

—, *Mify i prawda o rossijskom impieratorie Nikołaje II*, Jekatierinburg 2011

Ostrowski A., *Rosja – wielkie zmyślenie. Od wolności Gorbaczowa do wojny Putina*, przeł. M. Zawadzka, Warszawa 2018

Paniuszkin W., *Rosyjski Robin Hood*, przeł. A. Sowińska, Warszawa 2015

Płatonow O.A., *Jewriejskij wopros w Rossii*, Moskwa 2005

Prawosławnyj stalinizm, red. K. Grammatczikow, Moskwa 2017

Radziński E., *Jak naprawdę zginął car Mikołaj II*, Warszawa 1994

Ruszczyc M., *Jak zginął Mikołaj II?*, Warszawa 1991

Snyczew I., *Samodierżawije ducha. Oczierki russkogo samosoznanija*, Sankt-Pietierburg 1994

Sokołow N., *Ubijstwo carskoj siemji*, Jekatierinburg 2017

Szabalin N. W., *Russkaja prawosławnaja cerkow' i sowietskoje gosudarstwo w sieriedinie sorokowych – piat'diesiatyje gody XX wieka (na matieriałach Kirowskoj obłasti)*, Czeborkasy 2006

Uspienski B., *Historia sub specie semioticae*, przeł. B. Żyłko, „Teksty” 1976, nr 2 (26)

Wierchowskij A., *Ideołogija patriarcha Kiriłła, mietody jejo prodwiżenija i jejo wozmożnoje wlijanije na samosoznanije Russkoj prawosłwnoj cerkwi*, „Sowa”, 10.2012, www.sova-center.ru, bit.ly/3d8ky4a (dostęp: 19.03.2020)

Zygmont A., *„Christianskoje gosudarstwo”. Obmancziwaja teń prawsławnowo chalifata* [w:] *Politiczeskoje bogosłowije*, red. A. Bodrow, M. Tołstołużenko, Moskwa 2019

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Wydawnictwo Czarne
@wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel. +48 22 621 10 48

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2020
Wydanie I